

**WYBORY
2023**

**CZY JESTEŚMY
W PUNKCIE ZWROTNYM**

**UKRAINA: POWÓDŹ
I KONTROFENSYWA**

**NOSOWSKA:
ŻYCIE MI LEŻY**

Kraków 18 czerwca 2023 nr 25 (3858)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

**Najbardziej
popularna
polska
pisarka**

**WERONIKA
MARCZAK
I JEJ MŁODZI
CZYTELNICY**

**W NUMERZE
WAKACYJNY
WŁÓCZYKIJ
KULTURALNY**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



Zachwycająca Sri Lanka

Plantacje herbaty, urzekające stare świątynie, wizyty w lokalnych wioskach, wyjątkowy Park Narodowy Udawalawe oraz wypoczynek na plaży nad Oceanem Indyjskim.



Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Colombo. Zakwaterowanie i zwiedzanie miasta. **Dz. 3** Colombo – Sigiriya. Twierdza klifowa Sigiriya. **Dz. 4** Sigiriya – Polonnaruwa – Sigiriya. Wycieczka do średniowiecznej stolicy Polonnaruwa. **Dz. 5** Sigiriya – Hiriwadunna – Sigiriya. Obiad u lokalnej rodziny i świątynia jaskiniowa w Dambulla. **Dz. 6** Sigiriya – Matale – Kandy. Ogród przypraw i ogród botaniczny. **Dz. 7** Kandy. Wycieczka po mieście tuk tukiem, Świątynia Zęba i występy taneczne. **Dz. 8** Kandy – Nuwara Eliya. Przejazd pociągami z Kandy do Nuwara Eliya. Plantacje herbaty i piękne krajobrazy. **Dz. 9** Nuwara Eliya – Park Narodowy Udawalawe. Safari i bujna przyroda. **Dz. 10** Park Narodowy Udawalawe – Galle – Colombo. Wycieczka po mieście Galle i kolacja pożegnalna. **Dz. 11** Colombo – Warszawa. Powrót.

11-15 dni | Wyloty z Warszawy 04/11 2023, 10/02 2024

od **9.998,-**



Królewskie miasta Maroka i relaks w Agadirze

Program wycieczki: **Dz. 1** Warszawa – Marrakesz. Przylot do Maroka i powitalna kolacja. **Dz. 2** Marrakesz. Zwiedzanie miasta, Wieża Koutoubia, Pałac Bahia, stare miasto, barwny i tętniący życiem plac Djemaa el Fna. **Dz. 3** Marrakesz – Casablanca. Zwiedzanie Casablanki. **Dz. 4** Casablanca – Rabat – Fez. Przejazd przez stolicę Maroka – Rabat aż do starożytnego królewskiego miasta Fez. **Dz. 5** Fez – Meknes – Fez. Zwiedzanie miasta Meknes oraz Volubilis – rzymskiego miasta wpisanego na listę UNESCO. **Dz. 6** Fez. Zwiedzanie starego miasta, bazar, meczet Andaluzijski, Fontanna Nejjarine, dzielnica Fes el-Jdid. **Dz. 7** Fez – Erfoud – Merzouga. Góry Atlas, pustynne krajobrazy i nocleg w berberyjskim namiocie. **Dz. 8** Merzouga – Tinghir – dolina Todra – Ouarzazate. Wschód słońca na pustyni, Wąwóz Dades i Droga „Tysiąca Kazzb”. **Dz. 9** Ouarzazate – Taroudant – Agadir. Imponujące mury, miejsce w Taroudant i przyjazd do hotelu w Agadirze. **Dz. 10-11** Czas wolny na relaks i plażowanie. **Dz. 12** Agadir – Warszawa.

7 dni | Wyloty z Warszawy
28/11 2023, 25/02, 17/03 2024

od **7.998,-**

RPA – Ucieczka do raj

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot Warszawa – Johannesburg. **Dz. 2** Przylot do Johannesburga i przejazd do campu Honeyguide Mantoben. **Dz. 3-4** Safari w Rezerwacie Dzikich Zwierząt Manyeleti w Parku Krugera. **Dz. 5** Rezerwat Dzikich Zwierząt Manyeleti – Trasa Panoramiczna – Zebra Nature Reserve. **Dz. 6** Zebra Nature Reserve. Wycieczka do Soweto i Pretorii. **Dz. 7** Zebra Nature Reserve – Centrum Gadów – Kapsztad. **Dz. 8** Kapsztad. Półwysep Dobrej Nadziei i pingwiny w Simon's Town. **Dz. 9** Kapsztad. Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 10** Kapsztad. Wizyta w winnicach Stellenbosch z degustacją wina, Ogród Botaniczny Kirstenbosch. **Dz. 11** Kapsztad, czas wolny i powrót do domu. **Dz. 12** Przylot do Warszawy.

12 dni | Wyloty z Warszawy
24/09 2023, 03/03 2024

od **11.998,-**



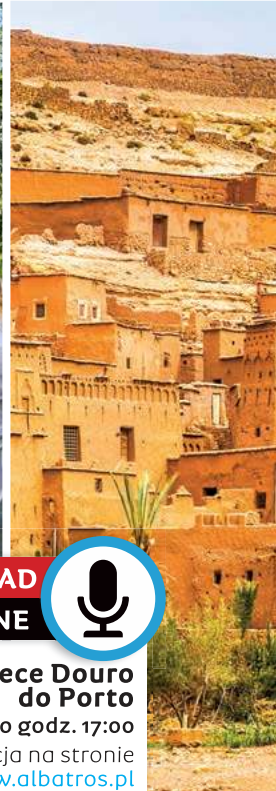
**WYKŁAD
ONLINE**



**Rejs po rzece Douro
do Porto**

22/06/23 o godz. 17:00

Rejestracja na stronie
www.albatros.pl



albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: TP12

KS. ADAM

Boniecki: Kiedy myślę „Europa”

PIERWSZY RAZ WYJECHAŁEM NA ZACHÓD w 1972 r. – fiatem 126p, w miarę wyładowanym. Przez kilka miesięcy nie było odpowiedzi na moje podanie o paszport, potem – pomogła czyjaś dyskretna interwencja – dostałem go z poufną wiadomością, że lepiej by było, gdybym użył go szybko, bo w dłuższym terminie nie wiadomo, co może się wydarzyć. Więc zaraz wyjechałem. Nie będę tu opisywał całej drogi. Jeden szczegół jednak wspomnę. Po dotarciu do Wiednia nie byłem w stanie jechać dalej. Nie, mój mały fiat się nie zepsuł, pieniądze na podróż miałem, nie zachorowałem. Ale widok normalnego świata, Europy, mnie sparaliżował. W Wiedniu była Lony Glaser, był dom, w którym można było się zatrzymać, ale naprawdę ważne było tylko jedno: nie byłem w stanie jechać dalej, bo tu było normalnie, po prostu.

Nie wierzyłem własnym oczom. Szok był pewnie tym większy, że znikąd przecież nie mogłem uprzednio wiedzieć, co to właściwie znaczy – „normalnie”. Nie miałem, nie mogłem mieć, takiego doświadczenia. Ale jednak skądś się brało obezwładniające poczucie normalności tego świata. Czy chodziło o to, że Europa miała przychylny zapach, smak, dbała o siebie i innych, uśmiechała się w windzie i mówiła „dzień dobry”? To musiało być coś elementarnego, skoro w tak oczywisty sposób do mnie przemówiło. Wbrew logice tej podróży zatrzymałem się w gościnnym domu Pax Christi na tydzień. Jakby w kwarantannie albo aklimatyzacji. Potem pojechałem do Rzymu i po jakimś czasie – do Paryża. Tam zostałem na dłużej.

Rzym jest wyjątkowy, bo każdy tam się czuje u siebie. Miasto, wtedy dla mnie całkowicie nowe, od początku nie



było obce, choć nie czułem się tam wtedy zbyt dobrze. Aż zjawiała się możliwość i potrzeba pojechania do Paryża. Paryż, jeszcze bardziej niż Wiedeń i Rzym, kojarzył mi się wtedy z Europą. Nie tylko mnie zresztą, chyba wszystkim ówczesnym ludziom „Tygodnika”. Ale nie było mi łatwo. Może ludzie lepiej przygotowani niż ja wtedy mogli w Paryżu czuć się dobrze od początku – ja nie mogłem tego o sobie powiedzieć. Miasto było ogromne i jakoś obce, mimo normalności, tej samej, o której wspomniałem wcześniej. Nie pamiętam, jak długo trwał ten stan, ale doskonale pamiętam moment, kiedy Paryż stał się miejscem (Rzym, gdzie mieszkalem potem kilkanaście lat, nigdy się taki nie stał), w którym mógłbym zostać już na resztę życia. Tak wtedy pomyślałem. Niepostrzeżenie wyparowała cała obcość, ogrom nie zmalął, tylko przestał onieśmielać. Paryż stał się moim domem. Jego niepoliczalne i egzotyczne ulice stały się nagle swojskim przedłużeniem mojej ulicy.

Stefan Sękowski w tekście „Na europejskim rozdrożu” pokazuje, jak bardzo dzisiejsza Europa jest rozdzielana od wewnątrz interesami państw (czy grup państw) należących do Unii, choć jedynym sposobem ocalenia naszego kontynentu jest głębsza integracja krajów, które nań się składają.

Na pewno nie stworzymy przecież Stanów Zjednoczonych Europy, zbyt wiele nas dzieli. Ale jesteśmy w fascynującym procesie tworzenia bytu, który z jednej strony uwzględnia autonomię i odrębność państw, a z drugiej jednak ogranicza je i koordynuje. To jest nowy sposób istnienia i z nim się trzeba pogodzić. Albo oszaleć i doprowadzić, prędzej czy później, do wojny. Której – dodajmy – nikt nie chce.

©P



**Mitologia współczesnej Polski
w pigułce stolicy.
Niekiedy ciężkiej
do przełknięcia, niekiedy
błogo narkotycznej.**



lat
Wydawnictwa
Literackiego

Patronat:

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

REKLAMA

WYBORY
202320 Na europejskim
rozdrożu

STEFAN SĘKOWSKI

Nawet jeśli Unia nadmiernie rozszerza swoją władzę, to zarazem broni rzeczywistego suwerena – nas – przed uzurpacją rządzących. Dlatego Polska tak bardzo potrzebuje dziś Europy.

27 Pod sierpem
i młotem

ZBIGNIEW ROKITA

Kolejny rozdział polskiej dekomunizacji rozpoczął się po pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę. Ale burzenie pomników poświęconych Armii Czerwonej ma również swoich przeciwników.

42 Ważą się losy
wojny

WOJCIECH PIĘCIAK

Być może historycy uznają kiedyś, że to, co się stało na tamie w Nowej Kachowce oraz na froncie w Nowodonecku, to symboliczny początek ukraińskiej kontrofensywy.



32 Magia czy kontemplacja

JAREMA PIEKUTOWSKI

Nazywana jest modlitwą „nie do odparcia”. Wielu jednak przestrzega przed pogańskim rozumieniem nowenny pompejańskiej.

78 Życie mi leży

ROZMOWA

Z KATARZYNA

NOSOWSKĄ,

PIOSENKARKĄ:

Moja mama, kobieta koło siedemdziesiątki, powiedziała mi ostatnio: „Kasia, ja tam w środku jestem nadal tą samą młodą dziewczyną”. To było piękne, bo mam dokładnie tak samo.



92 Między Odrami

ADAM ROBIŃSKI

Oto kraina spuszczone z łańcucha – bywa, że wiatr oderwie od lądu trawiającą kępę, a potem taka pływająca wyspa zaczepuje śluzę. Między Odrami oprowadza nas Łukasz Ławicki, ornitolog.

6 **Balans na krawędzi**
MAREK KĘSKRAWIEC

7-11 **Obraz tygodnia**

18-19 **Czytania / Widzenia**
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

20 **Na europejskim rozdrożu**
STEFAN SĘKOWSKI

24 **W krainie wielkich nierówności**
PAWEŁ MARCZEWSKI: *Wielu z tych, którzy deklarują, że wiążą koniec z końcem, odpowiada tak, bo wstydy się bieda*

27 **Pod sierpem i młotem**
ZBIGNIEW ROKITA

■ ■ **WIARA**

32 **Magia czy kontemplacja**
JAREMA PIEKUTOWSKI

36 **Kościół zły nowiny**
ŁUKASZ OSTRUSZKA: *Sposób walki z „duchowymi terrorystami” to edukacja*

38 **Nasz czas**
ROZMOWA Z SALLY AZAR, PIERWSZĄ PALESTYŃSKĄ PASTORKĄ W ZIEMI ŚWIĘTEJ

40 **Przepis na dobre życie**
MACIEJ MÜLLER o nowej książce ks. Adama Bonieckiego

■ ■ **ŚWIAT**

42 **Ważą się losy wojny**
WOJCIECH PIĘCIAK

45 **Wiosna przyszła do Awdiijiwki**
ANTONINA PALARCZYK Z OBWODU DONIECKIEGO o miejscu, gdzie liście na drzewach oznaczają głównie lepszy kamuflaż

TEMAT TYGODNIKA

EMPIK / MATERIAŁY PRASOWE



12 **Młoda moda na czytanie**

MONIKA OCHĘDOWSKA

Coraz więcej nastolatków znów sięga po książki, ich ulubioną autorką jest Weronika Marczak. Rośnie głód opowieści o życiu, które dorastający ludzie potrzebują ułożyć sobie po swojemu. Na przekór gustom krytyków.

■ **DODATEK** ■

63 **WAKACYJNY WŁÓCZYKIJ KULTURALNY**

■ **FELIETONY** ■

30 TOMASZ STAWISZYŃSKI **41** ZUZANNA RADZIK
62 ELIZA KĄCKA **90** OLGA DRENDRA **91** PAWEŁ BRAVO
98 STANISŁAW MANCEWICZ **98** BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: WERONIKA MARCZAK
ZDJĘCIE: RAFAŁ MASŁOW

Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

48 **Czterdziestu ostatnich**
MARCIN RYCHŁY Z POLONEZKÖY: *W słynnej polskiej wsi w Turcji żyje coraz mniej Polaków*

51 **Laboratorium Floryda**
MARTA ZDZIEBORSKA: *Gubernator stanu Ron DeSantis wszczyna kolejne wojny kulturowe – i rzuca wyzwanie Trumpowi*

■ ■ **HISTORIA**

54 **Ci gorsi Niemcy**
PIOTR BERNARDYN o niezaleczonych ranach po zjednoczeniu kraju

■ ■ **NAUKA**

58 **Ilość ponad jakością**
KRZYSZTOF I PIOTR SZYMKOWIE: *Dlaczego nie umiemy czytać doniesień naukowych?*

■ ■ **KULTURA**

78 **Życie mi leży**
ROZMOWA Z KATARZYNĄ NOSOWSKĄ

82 **Rozgość się, smutku**
MAGDALENA NOWICKA-
FRANCZAK o opowiadaniach Carson McCullers

85 **Sędzinie**
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Wypiański szukający sposobu, by na scenie oddać głos kobiecie? Oto nowe oblicze wieszczka*

88 **Pogranicze na dopingu**
ANITA PIOTROWSKA o filmie „Pamfir”

89 **To już dziś?**
LEKTOR o „Późnym życiu” Ingi Iwasów

■ ■ **ZMYŚŁY**

92 **Między Odrami**
ADAM ROBIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Moja szwedzka walizka [Własny pokój]**

Do Polski wróciłam przed jej wejściem do Unii. Była w kraju radość, że się wszystko otwiera – opowiada **KATARZYŃNIE KUBISIEWSKIEJ** tłumaczka **JUSTYNA CZECHOWSKA** | TygodnikPowszechny.pl/wlasny-pokoj

➔ **Jordania: Wielkie arabskie wesele [Strona Świata]**

Książę Husajn, dziedzic dynastii Haszymidów, poślubił Saudyjkę, spokrewnioną z jego starymi wrogami – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata

Serwisy specjalne: patrz szerzej

WAKACJE Z „TYGODNIKIEM”

Przygoda jest tutaj

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/WAKACJE

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

BALANS NA KRAWĘDZI

Spodziewajmy się nie tylko protestów kwestionujących wyniki jesiennych wyborów. Nawet uczciwie przeprowadzone mogą nie wyłonić zwycięzcy i rozpocząć erę politycznego chaosu.

MAREK KĘSKRAWIEC

POWYŻEJ:
Marsz 4 czerwca. Warszawa, 2023 r.

DEMONSTRACJA 4 CZERWCA WSTRZĄSNĘŁA władzę i nadała zupełnie nową dynamikę wydarzeniom, których kulminacją już za cztery miesiące będą wybory. Kolejne sondaże wyraźnie pokazują, że możemy się spodziewać dramatycznego boju o parlament. Na dodatek oba główne obozy są przekonane, iż konsekwencje ewentualnej porażki będą tym razem wyjątkowo bolesne. Partia władzy coraz wyraźniej zdaje sobie sprawę, że utrata rządów może oznaczać dla niektórych jej liderów postępowania karne o łamanie konstytucji

oraz znaczącą zmianę polskiej polityki wobec UE. Z kolei dla ugrupowań opozycyjnych trzecia kadencja rządów Zjednoczonej Prawicy to perspektywa domknięcia scenariusza oligarchizacji Polski i ostatecznego przejścia kontroli nad sądownictwem, erozji naszych stosunków z Unią, a także odcięcia od publicznych pieniędzy środowisk i instytucji nieprzyjaznych władzy. W obliczu tak postrzeganych zagrożeń lex Tusk i wizja igrzysk przed komisją badającą rosyjskie wpływy odebrane zostały jako próba zmiany wyniku wybo-

rów, które i tak nie będą równe, biorąc pod uwagę wszechobecną w „publicznych” mediach propagandę.

Zakładam, że komisja powstanie mimo nowelizacji, którą złożył w Sejmie prezydent ledwie cztery dni od podpisania ustawy. Ta spóźniona próba obrony konstytucji poprzez pomysł odebrania komisji możliwości pozbawiania polityków praw publicznych oraz zagwarantowania nadzoru ze strony sądów powszechnych tylko mocniej podkopła autorytet zbudowany przez prezydenta kolejnymi wetami i mądrą polityką wobec wojny w Ukrainie. Andrzej Duda znowu zaczął się jawić jako człowiek słaby i niezdeterminowany, a obraz ten wzmogło jego osobliwe orędzie, w którym najpierw wygłosił paean na cześć Unii, by chwilę później zapowiedzieć skierowanie do Sejmu ustawy gwarantującej mu wpływ na obsadę polskich stanowisk w Brukseli. To oczywiście próba zabezpieczenia się na wypadek wyborczego zwycięstwa opozycji, ale nawet dziś prezydent nie może czuć się zbyt podmiotowo. Losy nowelizacji lex Tusk są w rękach Jarosława Kaczyńskiego, i nawet jeśli marszałek Elżbieta Witek otrzyma polecenie wprowadzenia jej pod obrady, nie miejmy złudzeń: prezydencka propozycja raczej nie zdąży przed wyborami przejść przez Sejm i Senat. Nikt też jej oficjalnie nie wyrzuci do kosza, bo to by oznaczało kolejne spięcie na linii Pałac–Nowogrodzka, niepotrzebne przed wyborami.

DECYZJE O WEZWANIU przed komisję Donalda Tuska czy też o nałożeniu na niego prawnych sankcji będą podejmowane w zależności od tego, co wyniknie z badań społecznych. Obecnie da się zauważyć jedno: PiS nie rozpatruje w ogóle scenariusza, w którym przegrywa wybory. Klęska oznaczałaby erozję, a być może z czasem rozpad na kilka środowisk. Dlatego partia nie myśli o ławach opozycji, ale ucieka do przodu, i po słabym efekcie zapowiedzi programu 800 plus ogłasza kolejne oferty: wcześniejsze emerytury oraz podwyżki dla budżetówki, którą do tej pory ignorowała, uważając za środowisko niechętnie władzy. Dziś jednak wie, że musi poszerzyć swą bazę, bo przegra. Obietnic będzie zatem jeszcze więcej, a od ich skutków sondażowych zależy, jak daleko władza się posunie w nękanii opozycji i łamaniu reguł uczciwej gry wyborczej.

Nie bardzo wierzę w przesunięcie wyborów lub sfalszowanie ich wyników, mogę jednak sobie wyobrazić, że przy minimalnej porażce partia władzy zasypuje Pań-

stwową Komisję Wyborczą protestami, a zatwierdzanie wyników trwa tygodniami. Taką samą taktykę może oczywiście stosować też opozycja, co nie byłoby zaskakujące, biorąc pod uwagę doświadczenia ostatnich lat z osłabianiem instytucji gwarantujących nam demokrację. Ktokolwiek więc wygra, stanimy się świadkami oskarżeń podkopujących ideę wolnych wyborów, o którą walczyły pokolenia Polaków w komunizmie.

KŁOPOT Z JESIENNYMI WYBORAMI może być też bardziej przyziemny. Sondaże, które pojawiły się po 4 czerwca, dowodzą znacznych zmian na scenie politycznej, które jednak nie przybliżają nas do przesilenia, ale jeszcze bardziej gmatwają sytuację i wskazują na możliwość powyborczego pata. Widać wyraźnie, że Zjednoczona Prawica nie ma już szans na utrzymanie samodzielnej większości parlamentarnej. Dziś PiS walczy nie o 231 miejsc w Sejmie, tylko o 200, co nadal będzie go czynić najsilniejszą w Polsce partią, ale może nie dać władzy, nawet jeśli Andrzej Duda to kandydatowi PiS powierzy na wstępie misję formowania gabinetu. Niewiele zmieniają tu pogłoski o ostatecznym dogadaniu się Ziobry z Kaczyńskim co do startu z jednej listy. To raczej objaw rozsądku podszytego strachem: Suwerenna Polska wie, że sama nie ma szans na przekroczenie progu wyborczego, a PiS obawia się, iż Ziobro może odebrać mu nawet 2 proc. zwolenników.

TEN SOJUSZ nie ma jednak znaczenia dla realnego powiększenia elektoratu prawicy, której grozi utrata władzy albo gabinet mniejszościowy, oznaczający nieustanne turbulencje, rządzenie rozporządzeniami, a także szlaban na pieniądze z Unii oraz dalsze uzależnienie od prezydenta, czego również nie chce Kaczyński. Dlatego PiS musi mieć koalicjanta. Tymczasem jedyna partia, która jest w tym kontekście wskazywana, czyli Konfederacja – w ogóle się do tego nie pali. Oczywiście można zakładać, że Sławomir Mentzen z Krzysztofem Bosakiem po wyborach ostatecznie połączą się na stanowiska w ministerstwach, spółkach Skarbu Państwa i pączkujących funduszach, ale to mało prawdopodobne. Mentzen ma pieniądze, a potrzebuje realnej władzy. Z naszych informacji wynika, że jego partia traktuje jesienne wybory tylko jako akt przejściowy w rozmontowywaniu obecnego systemu. Dominuje w niej przekonanie, że trzeba pozwolić duopolowi PiS-PO, rządzonemu przez liderów w wieku emerytalnym, ostatecznie się skompromi-

tować. Po czym czekać na kolejne wybory, które mogą się odbyć szybciej niż za cztery lata.

Liderzy Konfederacji widzą, że im bardziej jesienna elekcja przypomina plebiscyt Kaczyński vs. Tusk, tym więcej osób patrzy w ich stronę (choć nie są to potężne wzrosty popularności). Ponadto program PiS, w retoryce prawicowy, ale oparty na lewicowym podejściu do roli państwa, jest tak sprzeczny z poglądami młodego elektoratu Konfederacji, że wejście do koalicji rządzącej z Kaczyńskim byłoby strategicznym niewypałem. Krzysztof Bosak przećwiczył zresztą coś podobnego na własnej skórze już za młodu, oglądając z bliska, jak umierała LPR u boku PiS w 2007 r.

SCENARIUSZ ZWYCIĘSTWA opozycyjnego sojuszu Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi i Lewicy jest po 4 czerwca bardziej prawdopodobny, ale i w tym przypadku mówimy o balansowaniu na granicy sejmowej większości. Sondaże tylko minimalnie poszerzyły w ostatnich dniach antypisowski elektorat; jego przepływy odbywają się wewnątrz tej samej bazy, a traci głównie Trzecia Droga Hołowni i Kosiniaka-Kamysza. PiS swoją komisją zapędził ludzi na wielką demonstrację Tuska, czyniąc z niego znowu postać dominującą w łonie opozycji. Część wyborców Trzeciej Drogi zauważyła też pasywność jej liderów i straciła ochotę na nuanse, bojąc się, że koalicja spadnie poniżej progu 8 proc. – woli więc zainwestować w silną PO. Mniejsza grupa uznała, że odrodzony duopol jej w ogóle nie odpowiada i raczej zgłasza na Mentzena. Skończyć się to może upadkiem całego projektu i wzięciem części ludzi Hołowni na listy PSL, żeby obniżyć próg do 5 proc., albo przegarnięciem Trzeciej Drogi przez triumfującego Tuska. Tyle że to by oznaczało jedną listę, bo trudno sobie wyobrazić, iż osobno pójdzie Lewica. Nie chce tego Włodzimierz Czarzasty, który nie wierzy w samodzielny sukces i dostrzega, jak Tusk przejmuje lewicowe idee; niechętny sojusznik z PO Adrian Zandberg nie ma zaś wystarczającej siły na samodzielny start.

Zdaniem niektórych ekspertów z jedną listą jest ten kłopot, że obecność na niej szerokiego wachlarza, od konserwatystów z PSL po lewicowych radykałów z Razem, może zniechęcić pewną część elektoratu do wyborów – dwie listy mogłyby dać większy efekt. Jakkolwiek się stanie, bitwa o zwycięstwo będzie zaciekła i wyczerpująca. I może to być dopiero początek dłuższej wojny o Polskę. ©



Ukraina idzie po swoje

WOJCIECH KONOŃCZUK

PRZEZ 30 SEKUND WIDĄĆ UKRAIŃSKICH żołnierzy różnych formacji z palcem na ustach, którzy kolejno szepczą: „Ciiiiii...”. Pod koniec pojawia się siedem słów: „Plany lubią ciszę. Ogłoszenia o początku nie będzie”. Nie jest to zwiastun nowej superprodukcji filmowej, ale filmik zamieszczony 4 czerwca przez ukraińskie ministerstwo obrony. To, że Ukraińcy są mistrzami tego typu komunikacji, wiadomo od dawna. Sprawa jest jednak nadzwyczaj poważna. Już trzy dni później stało się bowiem jasne, że trwa wyciekowana ofensywa ukraińska. Z lakonicznych doniesień oraz informacji z rosyjskiej strony frontu można wyczytać, że zaczęło się najpewniej właśnie w niedzielę 4 czerwca.

Główne uderzenie wyszło w kierunku okupowanych Melitopola i Mariupola. A zatem dokładnie tam, gdzie Rosjanie się tego najbardziej spodziewali. W tym scenariuszu celem kontratakujących jest przerwanie połączenia lądowego między Krymem a Donbasem. Ukraińcy użyli części sił wyszkolonych i wyekwipowanych przez Zachód. Wciąż nie wiadomo jednak, jak dużych – na tym etapie mamy więcej pytań niż odpowiedzi.

Siły ukraińskie próbują zatem przełamać silne w tym rejonie rosyjskie linie obrony. Po kilku dniach wiadomo, że w niektórych miejscach frontu udało im się wejść na pozycje przeciwnika

na głębokość do 10 kilometrów. Dopiero w sobotę 10 czerwca prezydent Wołodymyr Zełenski potwierdził, że trwa ofensywa. Komunikaty ukraińskie są niezwykle skąpe. Czy jest to zatem główny kierunek uderzenia, czy może manewr odwracający uwagę, a najsilniejsze natarcie pójdzie w innej części frontu? Okaże się to w ciągu kolejnych dni.

Cała sytuacja oznacza, że zaczęła się kolejna kluczowa faza wojny. Ukraińska operacja jest niezwykle ryzykowna, gdyż ewentualna porażka będzie oznaczała, że na Zachodzie wzmożą się głosy o konieczności rozmów rosyjsko-ukraińskich i *de facto* ustępstw ze strony Kijowa. Patrząc optymistycznie wydaje się, że Ukraińcy mają szansę na sukces rozumiany jako odzyskanie przynajmniej części utraconych terytoriów. Niebawem okaże się, ile warte są zarówno siły rosyjskie, jak i przygotowywane od dłuższego czasu doborowe jednostki ukraińskie z zachodnim sprzętem. Wiadomo na pewno, że to, co Ukraina dostała w ostatnich miesiącach z Zachodu, jest ważne, ale ilość broni jest nadal mniejsza niż potrzeby.

Ukraińcy wiedzą, że prowadzą wojnę sprawiedliwą, co daje wiarę i determinację, bez której nie ma co liczyć na zwycięstwo. Wiedzą, że idą odzyskać to, co jest ich. Pozostaje trzymać kciuki, aby się im udało. Ukraińskie zwycięstwo będzie także naszym. ©



■ W sobotę 10 czerwca prezydent Wołodymyr Zełenski potwierdził, że trwa ofensywa. Na zdjęciu ukraińscy żołnierze w regionie Zaporozża. 11 czerwca 2023 r.



Polski czebol

MAREK RABIJ

NAJWIĘKSZA POLSKA FIRMA W LIŚCIE INTENCyjnym opublikowanym na początku czerwca potwierdziła krążące od dłuższego czasu spekulacje o przejęciu Zakładów Azotowych Puław. Władze Orlenu piszą wprawdzie tylko o „rozważeniu możliwości zwiększenia zaangażowania w sektor nawozów” (w skład grupy kapitałowej Orlen wchodzi już wrocławski Anwil), ale trudno pozbyć się wrażenia, że decyzje w tej sprawie już zapadły i puławska spółka, którą pogrążyły wysokie ceny gazu po napaści Rosji na Ukrainę, ma się teraz schronić pod skrzydła możnego mecenas z Płocka.

Orlenowi wojna akurat nie zaszkodziła. W zeszłym roku zwiększył przychody ponad dwukrotnie, do 277,5 mld zł, a na czysto zarobił aż 33,6 mld zł. Na ten wynik wpływ miało także wcześniejsze przejęcie konkurencyjnego Lotosu.

Wszystko wskazuje na to, że Orlen staje się centrum, ku któremu dążyć mają kolejne spółki Skarbu Państwa – bądź prywatne firmy, które paliwowo potentat będzie przejmować.

W sejmowych kuluarach od dłuższego czasu słychać spekulacje o kolejnym kroku w budowie polskiego czebola (na wzór koreańskich konglomeratów). Byłoby nim przyłączenie do Orlenu Tauronu i PGE, czyli kontrolowanych przez Skarb Państwa producentów i dystrybutorów energii (trzeci ważny gracz tej branży, czyli Energa, już jest pod kontrolą płockiego giganta). Monstrum powstałe wskutek tych fuzji, w warunkach zbliżonych do ubiegłorocznych, mogłoby wypracować przychody rzędu 340 mld zł. Budżet państwa polskiego, przypomnijmy, wyniósł w zeszłym roku 517,4 mld zł.

Dla takich planów można oczywiście znaleźć uzasadnienie biznesowe, ale warto wziąć pod uwagę także fakt, że skupienie kluczowych dla bezpieczeństwa kraju branż w jednym organizmie niesie ze sobą liczne ryzyka dla konsumentów. W rękach PiS Orlen stał się wyspą gospodarki centralnego sterowania, gdzie o tym, czy i o ile obniżyć ceny paliw, decyduje nie rynek, ale prezes. I to nie prezes Daniel Obajtek. ©©



Partyjny Zamek Ujazdowski

PIOTR KOSIEWSKI

NA FASADZIE CENTRUM SZTUKI Współczesnej Zamek Ujazdowski zawisł duży plakat Wojciecha Korcucia (na zdjęciu), który twarze Donalda Tuska i Władimira Putina wpisał w trupią czaszkę. Dopisał też datę katastrofy smoleńskiej. Plakat pokazano, jak podkreśla Piotr Bernatowicz, kierujący Zamkiem od 2020 r., w proteście przeciw cenzurze. Dzieło to nie zostało bowiem zaprezentowane na 6. Międzynarodowym Biennale Plakatu w Lublinie. Jego jury zrezygnowało z pokazywania plakatów mogących godzić w czyjeś uczucia, szerzących mowę nienawiści lub będących pomówieniem.

Wpisanie sporu w dyskusję o wolności wypowiedzi artysty stawia w trudnej sytuacji środowiska, dla których jest ona ważna. Podobnie Bernatowicz tłumaczył prezentowanie w Zamku Ujazdowskim dzieł rasistowskich, homofobicznych i ksenofobicznych czy zaproszenie artysty głoszącego antysemickie treści. Jednak prawdziwym problemem nie jest wolność artysty – nie

chodzi o zakaz tworzenia, lecz prezentacja dzieł w instytucjach publicznych, a tym samym normalizacja takich poglądów w głównym nurcie debaty.

Publiczne instytucje kultury są przestrzenią debat kulturowych, ideologicznych, a nawet politycznych. Bernatowicz nie ukrywał, że Zamek Ujazdowski traktuje jako narzędzie do przeprowadzenia

tradycjonalistycznej

zmiany w kulturze.

Jednak zawieszenie

tego plakatu przed

marszem 4 czerwca

i w pobliżu jego trasy

musiało też zostać

odebrane jako wpisanie się w partyjną

akcję przeciw Donaldowi

Tuskowi i uczestnikom

tego wydarzenia. W efekcie

instytucja ostatecznie straciła swój

publiczny charakter. Stała się agendą

rządową – *de facto* partyjną. Być może

Piotr Bernatowicz nie zakładał tak radykalnego przeformułowania funkcji Zamku Ujazdowskiego. Lecz ta zmiana wpisuje się w politykę obecnego rządu, podporządkowującego partyjnym interesom kolejne obszary państwa.

Co może się stać atrakcyjnym sposobem funkcjonowania także dla kolejnych rządzących. ©



PAWEŁ WODZIŃSKI / EAST NEWS

NA PUNKTY

KAGANIEC

Europejski Trybunał Sprawiedliwości potwierdził zarzuty stawiane Polsce przez Komisję Europejską ws. ustawy kagańcowej i kilku innych elementów tzw. reformy wymiaru sprawiedliwości z grudnia 2019 r. Władze w Warszawie są zdania, że orzeczenie Trybunału jest niezgodne z polskim prawem.

KOMISJA

À propos niezgodności: Komisja Europejska wszczęła również procedurę naruszeniową w związku z powołaniem sejmowej komisji ds. badania wpływów rosyjskich, a kłopot z ustosunkowaniem się do nowego ciała ma również prezydent Duda, który najpierw podpisał powołującą je do życia ustawę, a potem – zapewne na skutek krytyki, jaka spotkała ją ze strony zachodnich partnerów – złożył projekt nowelizacji.

KONFUZJA

À propos partnerów: żeby Bruksela wypłaciła Polsce środki z KPO, muszą wejść w życie zmiany w ustawie o Sądzie Najwyższym, czekające na ocenę Trybunału Konstytucyjnego. Kłopot w tym, że Trybunał powinien rozstrzygnąć tę sprawę w pełnym składzie, liczącym 11 osób – i niebierającym się w tym gronie, bo część sędziów uważa, że upłynęła kadencja prezes Przyłębskiej. Rządzący chcieliby wprowadzić zmniejszyć ów skład do 9 osób, ale projekt zmian utknął w Sejmie, więc premier skierował do TK wnioski, by sam Trybunał orzekł, co oznacza jego pełny skład – i żeby zrobił to w gronie... niepełnym. ©



Nie zabili, ale życia też nie ocalili

MAŁGORZATA SOLECKA

DRAMAT 33-LETNIEJ DOROTY, która zmarła z powodu sepsy w nowotarskim szpitalu, nie jest ani pierwszym, ani ostatnim pod rządami restrykcyjnie zinterpretowanego przez TK prawa antyaborcyjnego. Od początku było jasne, że decyzja sędziów z jesieni 2021 r. przyniesie takie skutki: lekarze będą się obawiać terminacji ciąży nawet wówczas,

gdy zgodnie z wiedzą medyczną powinni ją zakończyć, chroniąc nie tylko zdrowie, ale wręcz życie ciężarnej.

Bezwodzie na półmetku ciąży jest, zdaniem specjalistów, takim właśnie przypadkiem. I jeśli ktoś miałby prawo decydować o podtrzymaniu ciąży za wszelką cenę, to nie lekarze. Prawo do poświęcenia swojego

życia ma tylko matka. Pod warunkiem, że uzyskałaby wyczerpujące informacje na temat szans i ryzyka, jakie się wiąże z decyzją. Pani Dorota takich informacji nie otrzymała.

W nowotarskim szpitalu personel kazał ciężarnej trzymać nogi w gorze, co miało spowodować powrót wód płodowych. Specjaliści twierdzą,

że nie znają takiej metody terapeutycznej, ale mimo to środowisko lekarskie nie spieszy się ani z wyrazami ubolewania, ani nie zamierza, o co apelują obrońcy praw kobiet, „zbuntować się” przeciw ustawie. Przeciwnie. Gdy jedna z posłanek Lewicy zaapelowała: „Lekarze, przestańcie nas zabijać!”, samorząd zawodowy zareagował apelem o nieuogólnianie i nieferowanie wyroków, poprosił też polityczkę o przeprosiny. Poniekąd słusznie. Lekarze przecież nikogo nie zabili. Ale czy na pewno zrobili cokolwiek, by życie ocalić? ©



KAI PFAFFENBACH / REUTERS / FORUM

Iga Świątek z pucharem Suzanne Lenglen za zwycięstwo w grze pojedynczej kobiet.
Korty Roland Garros, Paryż, 10 czerwca 2023 r.

Świątek królową Paryża po raz trzeci

ROLAND GARROS ■ Można zacząć od statystyk, które kocha tenis. Iga Świątek została pierwszą tenisistką od 16 lat, która zdołała obronić tytuł na paryskich kortach (od czasów Belgijki Justine Henin). Jest najmłodszą zawodniczką z taką liczbą wielkoszlemowych triumfów (RG 2020, 2022, 2023 i US Open 2022) od czasów rozkręcającej się na początku lat dwutysięcznych Sereny Williams. Jeśli Świątek gra wielkoszlemowy finał, to nie przegrywa: dzięki temu dołączyła do Naomi Osaki i Moniki Seles, które w erze Open wygrywały swoje cztery pierwsze finały wielkoszlemowe.

22-letnia Polka do finału dotarła po umiarkowanie emocjonujących meczach. Starcie z Karoliną Muchovą, 26-letnią tenisistką z Czech, która po raz pierwszy występowała w meczu takiej rangi (po brawurowym zwycięstwie w półfinale), było inne. Finał został zaserwowany w najlepszym dla kibiców wydaniu: pełnym zwrotów akcji, buzujących emocji i tenisowych przełamań, na pełnym trzysetowym dystansie, który wypełniony był najlepszą grą.

Ale to nie gwarantuje pełnych trybun – zwłaszcza w tenisie kobiecym. Na finale pustych krzesełek na korcie centralnym Philippe’a Chatriera nie było wprawdzie wiele, ale finały rzą-

dzą się swoimi prawami. Na wielu spotkaniach kobiecych podczas turnieju razili nie puste krzesełka, ale całe rzędy i boksy.

O dysproporcji między męskim a kobiecym tenisem mówi się od lat: finansowej, sponsorskiej, dotyczącej eksponowania meczów na turniejach czy wreszcie zainteresowania kibiców, którzy często pragmatycznie wybierają dłuższe pojedynki (kobiety grają do 2 wygranych setów, mężczyźni do 3). Nie inaczej jest w Paryżu, choć oczekiwania na wyrównywanie szans są tu znacznie większe. Od 2021 r. prestiżowej imprezie szefuje Amélie Mauresmo. Była zawodowa tenisistka, kiedyś numer 1 rankingu WTA, krytykowana jest także otwarcie przez zawodniczki, które chciałyby widzieć w niej swoją stuprocentową sojuszniczkę. Porównując harmonogram meczów męskich i kobiecych, w tym roku na Roland Garros dysproporcja ujawniała się w jednym, ale za to ważnym aspekcie: tylko jedną z dziesięciu najbardziej prestiżowych sesji nocnych obstarwiono meczem kobiecym.

Zwycięstwo w Paryżu zagwarantowało Świątek utrzymanie się na pozycji liderki rankingu WTA – numerem jeden pozostanie przynajmniej do końca Wimbledonu, który rozpocznie się już 3 lipca. ©© EWELINA BURDA

Donald Trump idzie na rekord

SĄDY KONTRA PREZYDENT ■ Były przywódca USA jest pierwszym w historii, któremu postawiono federalne zarzuty karne. Co nie powstrzyma go przed walką o Białą Dom. Trump jest oskarżony m.in. o umyślne przetrzymywanie dokumentów dotyczących obronności, za co grozi do 10 lat więzienia. Według upublicznionych akt sądowych trzymał papiery w sypialni, sali balowej, biurze, a nawet w łazience w klubie w Mar-a-Lago. W pudłach, których nie zwrócił Archiwom Narodowym po zakończeniu kadencji, były m.in. informacje na temat programu jądrowego i zdolności wojskowych USA oraz ich wrogów.

Na Trumpie ciąży 37 zarzutów, w tym utrudniania śledztwa i składania fałszywych zeznań. Zarzuca mu się m.in., że poinstruował swojego pracownika, by przeniósł dokumenty z magazynu do posiadłości Mar-a-Lago, co utrudniło pracę śledczych. Przypomnijmy, że w sierpniu 2022 r. FBI skonfiskowało w jego posiadłości ponad 10 tys. akt, w tym 100 oznaczonych jako tajne.

Trump twierdzi, że jest niewinny. We wtorek 13 czerwca – dzień przed trafeniem „TP” do kiosków – miał stawić się w sądzie w Miami, by usłyszeć zarzuty. To jego drugi raz: dwa miesiące wcześniej nowojorski sąd oskarżył go w związku z zapłatą za milczenie byłej gwiazdki porno Stormy Daniels. Tym razem eksperci prawni są zgodni, że materiał dowodowy jest mocny.

Można się spodziewać, że Trump będzie starał się opóźnić proces. Działania prokuratury nazywa „jednym z największych nadużyć władzy w historii USA”. „Biden chce wsadzić do więzienia swojego rywala (...), tak jak to robiono w stalinowskiej Rosji i komunistycznych Chinach” – przekonywał. Murem za politykiem stanęli członkowie partii, w tym rywal w walce o Białą Dom Ron DeSantis. Zaskoczył za to były wiceprezydent Mike Pence, mówiąc, że „nikt nie jest ponad prawem”.

Trump wykorzystuje sytuację do zbierania funduszy na swoją kampanię, którą według prawa mógłby kontynuować nawet z więzienia. Będzie wykorzystywał system tak długo, jak to możliwe. © MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press”.



Pierwsze
Radio
Informatyka

**DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA”**

co tydzień goszczą w programie

„Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz
w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku
o godzinie 15.00. Zapraszamy!

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole
97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

– www.tokfm.pl

Dyrygentka, kolekcjonerka pierwszeństwa

MUZYKA KLASYCZNA ■ Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia w Katowicach pożegnała się z dyrektorem artystycznym Lawrencem Fosterem, należącym do najwybitniejszych dyrygentów ostatnich dekad. Sprowadzenie go do Katowic przed czterema laty przeniosło zespół do najwyższej ligi. Teraz o pozostanie w niej będzie dbać jedna z najbardziej rozchwytywanych współcześnie batut, dyrygentka Marin Alsop.

Urodzona w 1956 r. Alsop jest prawdziwą kolekcjonerką „pierwszeństwa” w świecie muzyki klasycznej: była m.in. pierwszą kobietą na czele znaczącej orkiestry północnoamerykańskiej (Baltimore), a także południowoamerykańskiej (São Paulo) i brytyjskiej (Bournemouth), również pierwszą kobietą wyróżnioną nagrodą Kusewickiego, pierwszą prowadzącą koncert „The Last Night of the Proms”. Mimo że



KEVIN MAZUR / GETTY IMAGES

polska scena muzyczna ma długie doświadczenie z dyrygentkami (wystarczy wspomnieć Agnieszkę Duczmal i Ewę Michnik), Amerykanka stała się też pierwszą kobietą kierującą jedną z wiodących polskich orkiestr symfonicznych.

Z NOSPR dyrygentka zna się od 2021 r., wspólnie wykonali

MARIN ALSOP
i Nowojorska
Orkiestra Filharmoniczna
podczas koncertu
„We Love NYC”.
Nowy Jork,
21 sierpnia 2021 r.

kilkanaście koncertów, większość podczas tournée po Japonii, z Hayato Sumino, jednym z bohaterów ostatniego konkursu chopinowskiego. Jako dyryktor artystyczna w trakcie nowego, ogłoszonego właśnie sezonu koncertowego poprowadzi orkiestrę czterokrotnie.

Do 2021 r. Alsop pozostawała dyrektorką artystyczną Orkiestry w Baltimore, w 2019 r. objęła tę samą funkcję w Orkiestrze Radia Wiedeńskiego ORF. Artystka zajmuje się dydaktyką, kieruje także organizacją wspierającą młode dyrygentki.

Ostatnio stało się o niej głośno w związku z filmem „Tár”. Dyrygentka, zauważając liczne paralele między życiem filmowej bohaterki a swoim, poczuła się dotknięta. „Zostałam obrażona: obrażona jako kobieta, jako dyrygentka, jako lesbijka. (...) Mieć okazję przedstawić kobietę w takiej roli i zrobić z niej przemocowca – to zламаło mi serce. (...) To antykobiecy” – wyznała „Los Angeles Times”. Trzeba zauważyć, że nazwisko artystki pada w samym filmie z ust bohaterki, co wyraźnie dystansuje te dwie postaci. © BB



LUCA SOLA / AFP / EAST NEWS

Homo naledi: dowody na pochówek?

NASI PRZODKOWIE ■ Od kiedy w 2013 r. Lee Berger (na zdjęciu), paleoantropolog z Uniwersytetu Witwatersrand w Johannesburgu, zobaczył pierwsze skamieniałości *Homo naledi* wydobyte z trudno dostępnych

miejsz Jaskini Wschodzącej Gwiazdy w RPA, słowo „pochówek” chodziło mu po głowie, ale w pracach naukowych albo go unikał, albo opatrywał znakiem zapytania. Odkrywcę tego zadziwiającego gatunku człowieka o małych mózgach i „małpich” ramionach, ale „ludzkich” dłoniach i stopach, żyjącego 200-300 tys. lat temu, mówili ostrożnie o „celowym pozbywaniu się zwłok”. Aż do teraz – w trzech artykułach jeszcze przed naukową recenzją autorzy piszą już o „dowodach na rozmyślne pochówki”.

Nowym znaleziskiem są m.in. trzy płytkie doły z ciałami *Homo naledi* – według odkrywców ktoś najpierw je wykopał, potem złożył tam ciała, a następnie przykrył je błotem i kamieniami. Obok dłoni jednego z ciał dziecka leżał kamień, który mógł być prostym narzędziem. W jaskini znaleziono też świadectwo „myślenia symbolicznego” – geometryczne kształty wyżłobione na ścianie. Już wcześniej Berger zdradził, że odkryto tam ślady ognia, a nawet zwęglone kości niewielkich zwierząt. W jego inter-

pretacji *Homo naledi* rozświetlali mroki jaskini pochodniami, a w jej komnatach szykowali posiłki i odprawiali rytuały.

Ogłoszeniu wyników towarzyszyły medialne tournée Bergera i współpracowników. Zostały one przyjęte z zainteresowaniem, ale i sceptycyzmem. Krytycy twierdzą, że ciała mogły wpaść do zagłębień przypadkiem, a potem pokrył je osad. Że rzekome narzędzie w rękach dziecka może być zwyczajnym kamieniem niepoddanym obróbce. I że żłobienia na ścianach jaskiń nie zostały dotąd datowane. Bergerowi nie udało się także wykazać, że ślady ognia są równie stare jak szczątki *H. naledi*.

Pojawiają się też głosy, że zespół Bergera pośpieszył się z informowaniem o odkryciach ze względu na nadchodzące premiery jego książki i serialu Netfliksa. Ale nie brak i takich głosów, że jeśli Berger ma rację, to będziemy musieli na nowo przemyśleć odpowiedź na pytania, co to znaczy być człowiekiem i po co nam właściwie nasze duże mózgi. © ŁUKASZ KWIATEK

MŁODA MODA NA CZYTANIE

Coraz więcej nastolatków znów sięga po książki, ich ulubioną autorką jest Weronika Marczak. Rośnie głód opowieści o życiu, które dorastający ludzie potrzebują ułożyć sobie po swojemu. Na przekór gustom krytyków.

MONIKA OCHĘDOWSKA

OD PEWNEGO CZASU KAŻDE Z NAS może zamieszkać w Hogwarcie. Bilet w jedną stronę kosztuje ok. 300 złotych, w cenie jest zakwaterowanie z wyżywieniem, miotła, nauka przygotowywania eliksirów i przysposobienie do walki na zaklęcia.

Co prawda nie poznamy osobiście Harry'ego Pottera ani Hermiony Granger, ale to niezła okazja na podróż w czasie – akcja „Dziedzictwa Hogwartu” rozgrywa się w XIX-wiecznych przestrzeniach Szkoły Magii i Czarodziejstwa. Otwarty świat gry przyciąga przed konsole i ekrany komputerów zarówno trzydziestolatków, którzy dorastali z przygodami młodego czarodzieja, jak i nastolatków, którzy zetknęli się z nim najpierw za sprawą fanfików (krótkich amatorskich opowiadań zamieszczanych w sieci) czy trendów na TikToku. Ale właściwie z Potterem było tak od początku – bo czy była to opowieść wyłącznie dla dzieci?

Nawet Mróz zostaje w tyle

Kiedy pojawiały się polskie tłumaczenia kolejnych tomów autorstwa J.K. Rowling, przygotowywałam się do matury. Jednocześnie z zainteresowaniem zerkałam na młodszą siostrę, która całymi dniami, mimo słonecznej pogody, cho-

wała głowę w zadrukowanych drobnym fontem grubych księgach. W końcu porzuciłam powtórki z lektur, by sprawdzić, o co gimnazjaliści robią tyle szumu. „Kamień filozoficzny” pochłonęłam jeszcze tego samego wieczoru, na dobre zostawiając za sobą Hogwart dopiero w połowie trzeciej części przygód.

Ale przecież nie tylko książki Rowling miały taki efekt. Podobnie było z sagą „Zmierzch” Stephenie Meyer, a potem z serialami takimi jak „Stranger Things” czy „Euforia”. Oglądaliśmy wszyscy, choć bohaterami są dzieciaki.

Dziś tomy „Zmierzchu” leżą w empikach lekko przykurzone obok wciąż poszerzającej się serii książek Rafała Kosika o Feliksie, Necie i Nice (ostatnio ukazała się jej 17. część) oraz kolejnych wydań lektur – wszystkie one muszą ustąpić miejsca nowym tytułom. Sieć ma w ofercie ponad tysiąc powieści dla młodzieży. W ciągu ostatniego roku ich sprzedaż wzrosła dwukrotnie, co skłoniło Empik do wyodrębnienia w salonach kategorii „Young Adult” (YA to – najprościej rzecz ujmując – literatura dedykowana osobom wkraczającym w dorosłość). Wchodząc do księgarni można odnieść wrażenie, że pozycje dla nastolatków zajmują niemal połowę wszystkich regałów.



EMPIK / MATERIAŁY PRASOWE

*Kolejka po „Rodzinę Monet”
Weroniki Marczak, Targi Książki Empiku
w Warszawie, 27 maja 2023 r.*

Każde duże wydawnictwo ma swój młodziowski imprint albo osobną serię, a publikowaniem dla młodych czytelników zajmują się nawet ci, którzy dotąd specjalizowali się wyłącznie w literaturze fachowej.

Choć wydawcy niechętnie dzielą się liczbami, wiadomo, że nakład pierwszej części popularnej serii „Rodzina Monet” Weroniki Marczak wyniósł ponad 100 tys. egzemplarzy. Dziś na półkach jest już pięć książek o przygodach Hailie i jej braci. Równie poczytna Katarzyna Barlińska wydała w 2022 r. trzy powieści, sprzedając łącznie – wedle rankingu „Wprost” – ponad 145 tys. egzemplarzy. To mniej więcej tyle, ile egzemplarzy swojej ostatniej książki sprzedała Olga Tokarczuk.



Zarówno wśród bestsellerów Empiku, jak i na liście dwudziestu najchętniej kupowanych książek Nielsen Bookscan Polska (zawierającej dane z księgarni internetowych i marketów) czy w tzw. topce księgarni wysyłkowej TaniaKsiazka.pl, co najmniej połowa to pozycje z kategorii „dla młodzieży”. Wygrywają one w rankingach popularności z autobiografią księcia Harry’ego, kryminałami Remigiusza Mroza czy poradnikami Natalii de Barbaro. O poczytności nowej prozy świadczą także ilości wypożyczeń w bibliotekach.

Kolejka po autograf

– Gdy tylko pojawiły się książki z gatunku YA, zyskały ogromne powodzenie u naszych czytelników, zwłaszcza starszej młodzieży – mówi „Tygodnikowi” Urszula Moskal z Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tarnowie. Wśród najpopular-

niejszych wymienia m.in. powieści Weroniki Marczak czy Edyty Prusinowskiej, ale też Colleen Hoover (Amerykanki, która pierwsze książki wydała dekadę temu własnym sumptem). O podobnych tendencjach mówi także m.in. bibliotekarka ze śląskich Żorów (zob. ramka).

Z opublikowanego pod koniec kwietnia raportu Biblioteki Narodowej wynika, że ponad 70 proc. nastolatków czyta książki (w 2021 r. czytanie deklarowało 60 proc.). W tej grupie przybyło czytelników i czytelniczek (albo – jak mówią o sobie te ostatnie – „książkar”) przyswajających sobie więcej niż siedem tytułów rocznie (wzrost z 5 do 18 proc.). To najbardziej aktywni, oddani swojej pasji młodzi ludzie, których widać nie tylko w księgarniach i bibliotekach, ale też na festiwalach, kiermaszach i spotkaniach autorskich. Pół roku temu na Targach Książki w Krakowie po autograf ulubionych au-

torek młodzi czytelnicy, zapobiegliwie wyposażeni w prowiant i termosy z herbatą, czekali nawet po kilka godzin dziennie. I nie był to wcale obciach, o czym świadczyły liczne tweety i tiktoki udostępniane rówieśnikom.

Obserwując ten trend, Poznań z literatury dla młodzieży uczynił główny punkt odbywającej się na początku marca tego roku imprezy – autorzy kategorii YA mieli na targach książki specjalnie przygotowaną „Strefę Podpisów” do spotkań z wielbicielami. Była też „Strefa BookTooka” dla nastoletnich recenzentów. Podobną strategię przyjęły majowe Targi Książek i Mediów Vivello, wydzielając osobne pasmo dla spotkań z twórcami związanymi z YA. Pod koniec maja Empik przeniósł świat powieści Weroniki Marczak w przestrzeń miejską, tworząc w centrum Warszawy pop-up store (tzw. sklep tymczasowy), urządzony tak, →

→ by przypominał pokój głównej bohaterki „Rodziny Monet”. W środku na swoje czytelniczki i czytelników czekała podpisująca egzemplarze autorka. Kolejka – w której dzielnie stali także rodzice książkar – zaczęła się ustawiać już o 5 rano, a organizatorzy szacują, że przez pokój Hailie tylko jednego dnia przewinęło się ok. 1700 osób.

– Także wejściówki na zwiedzanie Young Power House rozeszły się szybko – opowiada „Tygodnikowi” menadżerka kategorii YA sieci Empik, Julia Krasicka. Była to przestrzeń ze specjalnie zaaranżowanymi wnętrzami poświęconymi twórczości Katarzyny Barlińskiej, Natalii Fromuth, Moniki Rutki, Marty Łabędzkiej i Moniki Marszałek. – Czytelniczki wchodziły w dziesięcioosobowych grupach, mogąc spędzić z ulubioną pisarką kilka chwil w kameralnej atmosferze.

Wszystko wskazuje na to, że kupowanie i czytanie książek stało się ostatnio bardzo modne.

Co łączy Sanah, fandom i Netfliksa

Kiedy razem z siostrą śledziłyśmy przygody Harry’ego Pottera, a potem z rodzicami oglądałyśmy filmowe adaptacje kolejnych powieści Rowling, całą rodziną mimowolnie stawaliśmy się częścią zjawiska, które opisał amerykański filozof i medioznawca Neil Postman w książce „Disappearance of Childhood”. Postawił on tezę o rozpraszaniu się granicy między tradycyjnie rozumianym dzieciństwem a dorosłością. Tendencja zacierania różnic w stylu życia rodziców i ich dzieci polega na tym, że w wolnym czasie gramy w te same gry, oglądamy te same filmy i seriale oraz – no właśnie – czytamy podobne książki.

To tzw. *crossover phenomenon* – wyjaśnia prof. Maciej Wróblewski, kierownik Katedry Antropologii Literatury i Nowych Mediów na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu.

– Obserwuję to na fandomach: Pyrkonie czy naszym toruńskim Coperniconie. Na tego typu imprezy przychodzą rodzice z dziećmi albo dziadkowie z wnukami. Proszę się także przyrzeć publiczności koncertów muzyki popularnej – mówi Wróblewski, a ja widzę międzypokoleniową grupę słuchaczek piosenkarki Sanah czy łączące pokolenia przedsięwzięcia Jimka (Radzimira Dębskiego) z cyklu



MIKOŁAJ GLIŃSKI

Kolejka do stoiska Julii Brylewskiej, autorki m.in. cyklu „Inferno”. Młodym czytelnikom zależy na osobistym kontakcie z ulubionymi autorkami, dlatego wydawcy i księgarnie coraz częściej organizują takie kameralne spotkania. Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie, maj 2023 r.

„Historia hip-hopu”. – Nastolatkomie chodzą na nie z rodzicami. Muzykę popularną, fandom i literaturę YA łączy to, że znosi granicę między dorosłym a nastolatkiem.

Oczywiście to wszystko nie wydarzyło się wczoraj. – Jedną z pierwszych książek z gatunku YA była „Alicja w Krainie Czarów” Lewisa Carrolla wydana w 1865 r. oraz „Królowa i goblin” George’a MacDonald’a z roku 1872 – mówi Wróblewski. – MacDonald był z kolei mentorem twórcy kolejnego dzieła z tej kategorii, czyli J.R.R. Tolkiena, autora „Władcy Pierścieni” (1954-55). Wszystkie trzy utwory nie były kierowane do dziecięcego czytelnika, raczej do kogoś, kto wchodzi w fazę dorastania, formowania, poszukuje własnej tożsamości.

Do tego rodzaju powieści, kierowanych do osób dorastających, zaliczyć można m.in. „Buszującego w zbożu” J.D. Salinger’a (1951), który do dziś pojawia się jako punkt odniesienia wielu utworów z gatunku Young Adult czy New Adult (to z kolei proza dedykowana osobom w wieku 18–25 lat), ulegając przemianom

wraz z przeobrażeniami kulturowymi. Zmieniają się także sami czytelnicy.

Moda na czytanie młodzieżówek – jak pokazują słupki sprzedaży Empiku – rozpoczęła się niedługo po wybuchu pandemii. Co ciekawe, najpierw nastąpił powrót do „lektury obowiązkowej milenialsów, czyli serii o Harrym Potterze. Niedługo później zaobserwowaliśmy, że młodzi czytelnicy szukają kolejnych tytułów” – pisała w zeszłym roku w jednym z raportów nt. literatury młodzieżowej Joanna Marczuk, menadżerka działu Online Books. Jakich? Prześledźmy najpopularniejsze trendy.

Tak pachnie Ameryka

Wystarczy spojrzeć na okładki, by przekonać się, że większość hitów tego rynku – mimo widniejących na nich polskich nazwisk autorek i autorów – ma angielskie tytuły, a ich akcja rozgrywa się daleko od Warszawy. „For Sure Not You” Weroniki Ancerowicz, „Flaw(less). Opowiedz mi nasze historie” Marty Łabędzkiej, „Winter Flower” Julii Brylewskiej, „Let me in” Natalii Fromuth, „He’s Dangerous” Sylwii Kubali, „Spark. The Chain” Moniki Rutki – są ich dziesiątki. Dla nastolatków angielski to język ulubionej muzyki i seriali, jego znajomość niezbędna jest do tego, by grać online i kontaktować się ze znajomymi poznanymi na Twitterze czy TikToku. Wielu młodych czytelników sięga po książki w oryginale, zanim pojawią się na rynku polskie przekłady.

Prof. Małgorzata Chrobak, kierowniczka Centrum Badań nad Literaturą dla Dzieci i Młodzieży z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie potwierdza, że młodzi czytelnicy robią rozeznanie m.in. na portalach takich jak amerykański Goodreads. – Dowiadują się, co jest na czele listy bestsellerów i czytają, a potem dzielą się informacjami o nowych autorach i tytułach w mediach społecznościowych. Komentowane książki przyciągają uwagę polskich wydawców, często decydujących się pod ich wpływem na podjęcie współpracy z zagranicznym autorem. W sieci pojawiają się także nieoficjalne, amatorskie tłumaczenia fragmentów popularnych za granicą książek, które stają się podstawą do lobbowania przez czytelniczki i czytelników na rzecz wprowadzenia jakiegoś tytułu na nasz rynek. Osiąga on potem gigantyczne nakłady – tłumaczy prof. Chrobak.

Bohaterka Weroniki Marczał już na pierwszych stronach powieści przeprowadza się do Stanów. „Ameryka pachniała inaczej, wyraziściej” – myśli Hailie z „Rodziny Monet” zaraz po wyjściu z samolotu na płytę lotniska.

– Z jednej strony to miejsce wciąż owiane tajemnicą – mówi Marczał w rozmowie z „Tygodnikiem”. – A z drugiej: organizuje uniwersalny świat przedstawiony. Wszyscy oglądamy dziś seriale i czytamy książki, których akcja rozgrywa się w Stanach.

Nawet jeśli pisana z myślą o młodych odbiorcach historia toczy się nad polskim morzem – jak w serialu HBO Max „#BringBackAlice” (reż. Dawid Nickel) – podkreślona wizualnie Gdynia przypomina Miami Beach, a gdańskie liceum amerykańską szkołę średnią z charakterystycznymi szafkami na książki i drużyną cheerleaderek. Seriale w serwisach streamingowych to produkty dla międzynarodowej publiczności, muszą przemawiać do wyobraźni widza w każdym zakątku świata – są więc skazane na pewnego rodzaju homogeniczność.

Także Marczał nie ukrywa pragmatycznego podejścia dla osadzenia swojej historii w USA przyznając, że opisując perypetie Hailie od razu tłumaczyła je na angielski. Choć modelowanie świata przedstawionego w taki sposób, by przypominał niedookreślone miejsce naszych marzeń wydaje się typowe dla współczesnych produkcji, to kiedy

WERONIKA MARCZAŁ, AUTORKA CYKLU O RODZINIE MONET:

GDY ZACZYNAŁAM pisać historię Hailie, zależało mi na tym, by pokazać przemianę głównej bohaterki z nieśmiałej dziewczynki w pewną siebie kobietę. Wbrew pozorom mierzy się ona z problemami, które na co dzień ma wiele nastolatek – musi ciągle decydować o tym, co jest dobre, a co złe. Uczy się dbać o siebie i swoje potrzeby, bo starsi bracia bardzo ją na początku ograniczają. Wchodząc w dorosłość symbolicznie zderza się z męskim, patriarchalnym światem i stara się w nim odnaleźć. „Rodzina Monet” to także opowieść o samotności

oraz umiejętności cieszenia się z małych rzeczy. Czy czytanie stało się modne? Jeśli tak, to jest to świetna wiadomość. Jest coś niesamowitego w tym, jak młódzież przeżywa obecność w świecie przedstawionym. To bardzo wdzięczna grupa czytelników, zaangażowana, potrafiąca zmotywować autora do pracy.

DOSTAJĘ bardzo dużo wiadomości od czytelniczek, które piszą, że wcześniej nie czytały książek i zaczęły od „Rodziny Monet”. Jeśli sprawiłam, że młodzi ludzie zaczynają czytać i odkrywają w tym przyjemność, a nie tylko



MATEUSZ GROCHOCKI / EAST NEWS

szkolny obowiązek – bardzo się z tego cieszę.

A KRYTYKI jest więcej, im popularniejsza jest moja książka. Nie mam z tym żadnego problemu, nie czuję się też osobiście atakowana, zachowuję wobec tego wszystkiego dystans. Cieszę się, że rozmawiamy o książkach. ©

wracam do serialu „Szaleństwa Majki Skowron” z 1976 r. (na podstawie powieści i wedle scenariusza Aleksandra Minkowskiego) jestem pewna, że pływające po mazurskich jeziorach motorówki i jachty robiły na widzach podobne wrażenie. Zdjęcia Wiesława Zdorta nie próbowały wcale uchwycić codzienności PRL-u.

Popularność anglojęzycznych tytułów i światów przedstawionych Małgorzata Chrobak wiąże też z brakiem zainteresowania młodych czytelników rodzimą literaturą młodzieżową, która przez lata była traktowana po macoszemu. Wydawnictwa rzadko publikowały książki debiutantów, niechętnie inwestowały w promocję wartościowych tytułów, o szkolnych lekturach nie wspominając. W serii „Plus Minus 16” łódzkiego Wydawnictwa Literatura ukazują się cenione przez krytyków książki Pawła Beręsewicz, Barbary Kosmowskiej i Katarzyny Ryrych. Dobrze napisane, dojrzałe, poruszające temat utraty i żałoby, niepełnosprawności, pierwszych miłości – wskazują sposoby i kierunki rozwiązywania nastoletnich problemów. Kiedy jednak czytam zbiór

opowiadań „Sezon na zielone kasztany” Kosmowskiej, staje się jasne, że poza językiem i estetyką, ważnym kryterium jest autentyczność, której może tu młodym czytelniczkom i czytelnikom brakować – wystarczy wspomnieć, że bohaterowie zamiast robić rolki i tiktoki zaczepiają się na Gadu-Gadu.

Dlaczego w odcinkach

Książkary przeczesują więc amerykańskie serwisy w poszukiwaniu ciekawych tytułów i mogą wpływać na kolejność tłumaczeń zagranicznych pozycji na język polski. To jednak nie wszystko – od kilkunastu lat działają platformy i aplikacje, które pozwalają twórcom i twórcom publikować amatorskie powieści, także w odcinkach. Omijając niechętnych im dotąd wydawców i sprawiając, że czytanie opowieści stało się atrakcyjne i dostępne dla każdego – wystarczy smartfon.

– Tylko w ciągu ostatnich pięciu lat liczba tytułów wydanych samodzielnie przez autorów wzrosła na świecie trzykrotnie – mówi „Tygodnikowi” Agnieszka Zienkiewicz, odpowiedzialna za aplikację Empik Go.

→ Jedną z popularniejszych aplikacji jest założony w 2006 r. Wattpad – to na nim Weronika Marczak zdobyła pierwszych wielbicieli „Rodziny Monet”. Tam odnalazło ją także wydawnictwo Muza, które dla młodszych czytelniczek i czytelników utworzyło imprint You&YA. Na Wattpadzie – wbrew opiniiom, że jest to miejsce dla grafomanów czy gwiazd jednego sezonu – publikowała rozdział po rozdziale jedną ze swoich książek autorka „Opowieści podręcznej” Margaret Atwood.

Jak to działa? Zakładamy konto, wybieramy gatunek, którego będziemy się trzymać („Duchowe”, „Fanfiction”, „O wilkołakach”, „Przygodowe” itd.) i wrzucamy albo wyszukujemy tekst (Atwood, z autorką dystopijnej powieści „Siła” Naomi Alderman, pisały na cztery ręce historię o zombie). Każdy może tu zostawić komentarz – nie tylko pod tekstem, bo Wattpad pozwala skomentować także pojedyncze zdania czy akapity. Bywa, że na temat zwrotów akcji albo nowych bohaterów cyklu wypowiada się jednocześnie kilkadziesiąt osób, niejednokrotnie wpływając na kierunek, w którym rozwija się fabuła. To po prostu świetna i – co równie istotne – budująca społeczność zabawa.

Wattpad to także bezpieczna przestrzeń do snucia fantazji, miejsce do tworzenia fanfików z gatunku „fluff” (taki tytuł ma jedna z powieści dla młodzieży Natalii Osińskiej) – czyli takich, w którym bohaterom nie przydarzy się nic złego (ma to szczególne znaczenie np. dla osób LGBTQ+, a queerowe młodzieżówki to jeden z popularniejszych trendów).

Warto o tym pamiętać, zanim „pochylimy się z troską” nad jakością tego typu twórczości, skądinąd traktowanej przez same czytelniczki i czytelników z dystansem i humorem. Dla osób, z którymi rozmawiam, pisząc ten tekst, jasne są mankamenty czy niedociągnięcia w budowie postaci, także w prozie ulubionej Weroniki Marczak, co nie przeszkadza im cieszyć się wartką, baśniową akcją serii. Poza tym, świat przedstawiony to świetny punkt wyjścia do tworzenia fanfików (rozwijających losy bohaterów wedle własnej fantazji) oraz gier RP (*role play*) organizowanych spontanicznie na Discordzie albo Messengerze.

Nic dziwnego, że na początku maja, chcąc dogonić trend, Empik stworzył platformę, która umożliwia amatorom publikację i sprzedaż książek w formie



ARCHIWUM PRYWATNE

MAGDALENA SMYCZEK, BIBLIOTEKARKA STREFY MŁODYCH MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ W ŻORACH:

– Od pewnego czasu znacząco wzrosło zainteresowanie młodzieży książkami z kategorii Young i New Adult. Dotychczas młodzież głównie sięgała po fantasy (sporadycznie SF) oraz komiksy (zwłaszcza mangi). Coraz częściej wypożyczana jest jednak literatura obyczajowa, również polska, która w ostatnich latach nie należała do najpopularniejszych. Młodzi poszukują książek poświęconych trudnym tematom: toksycznej miłości, przemocy, tematyce LGBTQ+ oraz depresji i innym problemom psychicznym. Chętnie sięgają po nie również młodsze nastolatki (poniżej docelowej kategorii wiekowej), często za przyzwoleniem rodziców. Z naszych rozmów wynika, że w swoich wyborach kierują się rekomendacjami z mediów społecznościowych (TikTok i Instagram), również zagranicznych (często pytają o książki, które nie miały jeszcze premiery w Polsce), a także popularnymi i pierwotnie umieszczonymi w serwisie Wattpad.

ebooków, bez pośrednictwa wydawców. *Self-publishing* odwołuje się nie tylko do marzenia o powtórzeniu sukcesów legendarnych już debiutantek, jakimi są Marczak, Barlińska, Hoover czy Alice Oseman, której komiks dla młodzieży „Heartstopper” (opowiadający o zaurczeniu między chłopcami) został sfilmowany przez Netfliksa. Wpisuje się on w szerszy trend o spełnieniu nowego amerykańskiego snu, w którym wystarczy założyć konto w jednej z aplikacji i robić swoje, by w końcu zdobyć oszałamiające zasięgi i zacząć porządnie zarabiać na swoim hobby.

Jak się masz, kochanie

Fanfiki, wilkołaki oraz magia i miecz to nie jedyne popularne tematy opowieści

dla młodych czytelniczek i czytelników. Badacze i bibliotekarze wymieniają też historie obyczajowe zawierające wątki związane ze zdrowiem psychicznym, zaburzeniami odżywiania, wątpliwościami dotyczącymi własnej seksualności. Wedle prof. Chrobak pewna „emocjonalna nadwyżka” to „najlepszy przepis” na książkę z gatunku YA:

– Im bardziej skrajne są emocje, tym lepiej. Największym zainteresowaniem cieszą się fabuły, które przedstawiają bohaterów w jakimś dramatycznym momencie towarzyszącym wkraczaniu w dorosłość. Schemat ten jest skądinąd bliski tradycyjnej literaturze młodzieżowej w duchu Bahdaja, Siesickiej czy Minkowskiego – mówi badaczka.

Co jest zatem nowego we współczesnych młodzieżówkach? Zdecydowanie nadmiar traumatyzujących przeżyć, z którymi musi sobie poradzić nastoletni bohater, wyjaśnia prof. Chrobak: – Skala problemów zebranych na kartach jednej powieści – od śmiertelnej choroby, samobójstwa w rodzinie, poprzez zakazaną miłość po doświadczenie molestowania seksualnego – sprawia, że literatura YA przypomina bardziej melodramatyczne historie dla dorosłych niż typowe książki dla nastolatków. Ich walor polega na dostarczaniu odbiorcy silnych wzruszeń, bo tego przede wszystkim poszukują w literaturze młodzi ludzie, którzy na etapie dorastania sami przeżywają ciągłą huśtawkę nastrojów, łatwo przechodząc od łez do radości. Problemy z własną emocjonalnością oraz tożsamością chętnie konfrontują z bohaterkami pokroju Tośka z „Fanfika” Natalii Osińskiej.

Jak zauważa badaczka, popularny w nurcie YA motyw gwałtownej miłości nawiązuje do literatury romantycznej spod znaku Waltera Scotta i Emily Brontë: on to łotr, *bad boy*, na którego bohaterka (albo bohater) chcąc nie chcąc musi zwrócić uwagę (taki wątek pojawia się zarówno w powieściach Katarzyny Barlińskiej, jak i serialu „#BringBackAlice”). Uczucie, które się rodzi między bohaterami, będzie balansować między wzajemną niechęcią czy wrogością a fascynacją i pożądaniem.

Czasem nurt YA testuje jeszcze trudniejsze, choć równie romantyczne scenariusze: oto grupa śmiertelnie chorych nastolatków, cierpiących na różne odmiany nieuleczalnych chorób, mieszka

w dość elitarnym hospicjum, wyglądającym jak drogie, prywatne liceum (negatyw Hogwartu). Młodzi zaprzyjaźniają się i co noc po kryjomu spotykają w bibliotece, by opowiadać sobie straszne historie. Muszę zdradzić zakończenie: wszyscy bohaterowie netfliksowego serialu „Klub Północny” ostatecznie umierają, czyli zostają tak naprawdę... wiecznymi nastolatkami. Dlaczego?

Spytana o ten trend prof. Chrobak szybko łączy „Klub...” z popularnym gatunkiem *sick-lit*, czyli literaturą YA opowiadającą o śmiertelnie chorych młodych ludziach. Najślawniejszą przedstawicielką gatunku jest zekranizowana kilka lat temu powieść Johna Greena „Gwiazd naszych wina”, ale mamy już całkiem poczytne polskie realizacje tego gatunku – na początku czerwca wśród najpopularniejszych na liście Empiku znajdziemy m.in. „Co wyszeptał nam deszcz” Joanny Balickiej.

– O ile bohaterowie powieści dla młodzieży z lat 70., 80. czy jeszcze nawet 90. byli energiczni, buntujący się, o tyle dzisiejsza literatura YA często prezentuje bohatera, który nie chce albo nie potrafi być szczęśliwy. To nie jest ktoś idący w kierunku dojrzałości, raczej autodestrukcji.

Dlaczego bohaterowie powieści YA są często wycofani, chorzy i słabi, zmęczeni? A może wszyscy dziś tacy jesteśmy? Albo inaczej – może taki jest człowiek naszych czasów?

Dlaczego bohaterowie powieści Young Adult są często wycofani i zmęczeni?

A może wszyscy dziś tacy jesteśmy? Albo inaczej – może taki jest człowiek naszych czasów?

Co dalej, czyli happy end

Zmęczenie, czyli *de facto* starzenie się zachodnich społeczeństw – obecne od lat w poważnej debacie socjologów i filozofów, będące też zmartwieniem europejskich rządów – wywołuje swoisty odruch obronny w postaci rozrastającej się twórczości skierowanej do młodych czytelników, przekonuje prof. Wróblewski. Można wręcz zaryzykować twierdzenie, że właśnie „na polu literatury dla dzieci i młodzieży pojawiają się pierwsze »kucanie«, które odmładza nasze wzorce behawioralne” – pisze w książce „Doświadczenie dzieciństwa. Studium z antropologii literatury” nasz rozmówca. Rozpatruje on w swoich badaniach fenomen popularności nurtu YA właśnie jako antidotum na „kryzys”, „upadek” i „zmierzch”, odmieniane przez wszystkich przypadki przez intelektualistów.

– Sukces Tolkiena, Rowling czy Sapkowskiego brał się z potrzeby poszukiwania przez czytelników różnych generacji wspólnych wartości, które mimo przeżytych kryzysów wciąż jeszcze pulsują, wabią nowym, odświeżającym sposobem pojmowania sensu świata – mówi Wróblewski. – Dzisiejsze wzmożone doświadczanie dzieciństwa może odznaczać się różnymi formami – mniej lub bardziej intelektualnie ambitnymi i artystycznie dopracowanymi – ale bierze swój początek z jednego pragnienia: mentalnego powrotu do własnego początku. Ma to, według mnie, siłę ocalającą.

Być może dlatego to właśnie w czasie pandemii zrodził się głód nowych, intensywnych opowieści, które dorastający dziś ludzie potrzebują ułożyć sobie po swojemu, na przekór gustom dorosłych krytyków. Być może także dlatego uwożą one również starszych odbiorców – i dobrze. Czytelniczkom i czytelnikom, którzy wolą dowody od hipotez, pozwolę sobie przypomnieć, że w drugiej połowie lat 50. to amatorska działalność gdańskich studentów, o różnym profilu i różnej jakości, przyspieszyła krystalizowanie się nowych prądów w polskiej kulturze. Prawdziwy amator nic nie musi. Jeśli coś robi, to dlatego, że chce, albo dlatego, że – jak mówił tytuł jednego ze spektakli Teatru Bim-Bom – „coś by trzeba”. *Book's not dead!*

©© MONIKA OCHĘDOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabin, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kačka, Hanna Krall, Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński

Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejewska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Kosiński, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Nagiorkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszałka, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Adert, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Sumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



REKLAMA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Frustracja Jozuego*



NA PUSTYNI GRUCHNĘŁA WIEŚĆ: „ELDAD i Medad prorokują w obozie!”. Wierny Jozue rzucił się ku swemu mistrzowi: „Panie mój, Mojżeszu, powstrzymaj ich [hebr. *kelaem*]!” (Lb 11, 28; Cylkow). *Kelaem* można żartobliwie oddać jako „przymknij ich/wsadź ich do ciupy”. Kim byli Eldad i Medad i dlaczego Jozuemu puściły nerwy?

Zacznijmy od początku: po pierwsze, nerwy puściły Mojżeszowi. Lud zafundował swojemu pustynnemu przywódcy serię narzekania: lepiej nam było w Egipcie, nie chcemy już jeść manny, daj nam mięsa. Mojżesz zgłosił zażalenie do Najwyższego: „Czemużeś tak źle uczynił słudze Twemu? Czemużem nie znalazł łaski w oczach Twoich, żeś włożył brzemię całego ludu tego na mnie?” (Lb 11, 11). Bóg cierpliwie wysłuchał jego żalów, po czym wydał następującą dyspozycję: „Zbierz mi siedmdziesięciu mężów ze starszyny Izraela, których znasz, że są starszymi ludu i nadzorcami jego; a przywiedź ich przed przybytek zboru, a niechaj staną tam przy tobie; A ja zstąpię i będę tam mówił z tobą, i oddzielę z ducha, który jest na tobie, i złożę na nich, aby ponieśli z tobą brzemię ludu, a nie dźwigał ty sam” (wersy 16 i 17).

Co się stało między wydaniem tego polecenia przez Najwyższego a daniem wyrazu swojej frustracji przez Jozuego? Gdy jest zbyt wiele luk w narracji, do akcji wkracza midrasz. Otóż: Mojżesz chciał, by wśród wyróżnionej starszyny znalazła się równa liczba reprezentantów każdego ze szczepów Izraela. Ale cóż począć, gdy 70 nie dzieli się przez 12? Wybrał więc z każdego szczepu sześciu i przygotował 72 ówczesne odpowiedniki karteczek. Wszystkie trafiły do urny: dwie – puste, reszta – oznakowana. Ci spośród reprezentantów, którzy wylosowali oznakowane, znaleźli się w gronie wyróżnionych siedmdziesięciu.

Eldad i Medad – jak donosi nam wers 26 – „należeli bowiem do zapisanych, choć nie byli wyszli do przybytku”. Dlaczego? Mamy aż trzy różne odpowiedzi. Pierwsza zakłada, że to oni trafili na puste losy. Można by tym tłumaczyć wzburzenie Jozuego. Według autora drugiej wersji nasi dwaj bohaterowie tak się obawiali, że to im przypadną puste losy, że aż nie wzięli udziału w losowaniu, tylko pozostali w obozie, tymczasem to dwaj inni przedstawiciele je wyciągnęli. Rabin Szymon mówi, że Eldadowi i Medadowi przypadły szczęśliwe losy, ale czuli się niegodni tego wyróżnienia i dlatego nie poszli do Przybytku. Co wówczas zdenerwowało Jozuego? Sama treść proroctwa: Mojżesz umrze, a Izraelitów wprowadzi do Ziemi Obiecanej Jozue. „Bodajby cały lud Wiekuistego w proroków się zamienił, jeżeli złoży Wiekuisty ducha swego na nich!” (wers 29) – odpowiedział sfrustrowanemu słudze Mojżesz. Oto człowiek wielkiego formatu. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Zbawić, czyli co?*



CZYLI PRZEZ CO, W JAKI SPOSÓB I KIEDY? A zbawienie, co to takiego? Podobnie jak słówko „łaska”, jeśli z czymś się jeszcze kojarzy, to z powiedzeniem: „nie to nie, bez łaski” lub dosadniej – „bez łachy”. Słowa: „z łaski jesteśmy zbawieni, bezcenną krwią Chrystusa odkupieni” – współcześnie nic już nie znaczą. Co gorsza, ma się wrażenie, że ocieramy się o jakąś krwawą makabrę. Perfidny fałsz, zbrodnia sądowa, tortury, krew, szubienica, śmierć, łamanie kości, do tego nieludzki gniew Boga i kara wiecznego piekła dla tych, których ten krwawy spektakl odstraszył od Boga. I jak w tym wszystkim dopatrzeć się ewangelii, dobrej nowiny, czyli pozytywnych treści?

Bardziej zorientowani w Biblii i liturgii, również słysząc o gniewie Boga na grzeszników i że przez krew Jezusa wyłana na krzyżu zostaliśmy „wybawieni od Jego gniewu”, „zostaliśmy pojednani z Bogiem przez śmierć Jego Syna”, zaczynają podejrzliwie zerkać na Boga i zastanawiać się, jak to możliwe, że aby Go udobruchać, „oddalić od siebie gniew Boga”, trzeba było złożyć Mu w ofierze, czyli zabić, Jezusa, Jego Syna... Owszem, uczonym w Piśmie, starszym ludu, dzisiejszym faryzeuszom i saduceuszom, czyli nam, duchownym, te trudności mogą wydawać się śmieszne lub nawet gorszące, ale jeśli tak jest, to coś z nami dzieje się niedobrego. Przyznajmy, lubimy na ambonie, na katechezie, a i w towarzyskich rozmowach posługiwać się tą techniczną terminologią teologiczno-filozoficzną, gdyż ona „ułatwia” nam życie. Lubimy mówić, że Bóg jest, ale nie jaki jest. Dziecko pyta katechetę: „A dlaczego ten goły pan tam wisi?”. „Powiesili Go źli ludzie” – odpowiadamy. „Umiera za nasze grzechy, dla naszego zbawienia”. „Żeby Bóg nam przebaczył grzechy” itp. Nienowoty to kłopot. Paweł Apostoł też się z tym borykał. Zarówno on, jak i my wciąż żyjemy w rozdarciu, rozpięci, jak mówi papież Franciszek, między logiką ofiary a logiką daru.

„Panie Boże, ofiarowałem Ci całe moje życie, tyle w życiu wycierpiałem, namodliłem się, nachodziłem do kościoła, nawet pojechałem do Medziugorje, i co mi z tego przyszło? Nic! Zabrałeś mi moje jedyne dziecko. A tak się starałem, poświęcałem, byłem, jestem Ci wierny, a Ty, Boże? Odpowiedz!”. Ale Bóg milczy, czeka, aż zrozumiemy, że logika „coś za coś” nie jest Jego logiką – o miłość chodzi, a nie o wzajemne usługi. Rozczarowani bezczynnością Boga, który choć wszystko może, to jednak nie działa i nie spełnia naszych oczekiwań i modłów, odchodzimy z Jego firmy – Kościoła. Po co nam Bóg, który nie ułatwia nam życia, choć na to zasługujemy. Zanim jednak potępimy odchodzących z Kościoła, pomyślimy: kto im takiego Boga zaprezentował? Kto im taką egoistyczną dobrą-nie dobrą nowinę głosił? ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Ewangelia pierwszego ołtarza

Wszystkie postacie
natury, wszystkie rzeczy,
wszystkie stworzenia
są ze sobą wzajemnie
powiązane.

EWANGELIA
MARII MAGDALENY



Jedność istniejącego
jest podstawą etyki.

ŚANKARA



ZAWSZE PRZY PIERWSZYM ołtarzu procesji Bożego Ciała czytana jest Ewangelia z 26. rozdziału św. Mateusza (Mt 26, 17-19. 26-29): „W pierwszy dzień Przaśników przystąpili do Jezusa uczniowie i zapytali Go: Gdzie chcesz, żebyśmy Ci przygotowali Paschę do spożycia? On odrzekł: Idźcie do miasta, do znanego nam człowieka i powiedzcie mu: Nauczyciel mówi: Czas mój jest bliski; u ciebie chcę urządzić Paschę z moimi uczniami”.

Warto uchwycić – wydawać by się mogło – niewielką, ale jednak chyba kluczową różnicę między słowami uczniów i słowami Jezusa. Uczniowie mówią o „spożywaniu” (grec. *phágo*) Paschy. Jezus mówi o „urządzeniu” Paschy. Użyte tu greckie słowo *poiéo* oznacza więcej, niż wyraża przekład, do którego nawykliśmy, a mianowicie: „czynić”, „zrobić”, „wykonać”, „popęlnić”.

Jezus nie chce po prostu „spożyć” Paschy (jak czynił to przez trzydzieści minionych lat); chce jej... dokonać. Z poziomu znaków pięknej domowej liturgii chce przejść na poziom życia. Sam chce się stać tym, co spożywa.

„Stań się Tym, co spożywasz” – czyż nie jest to zasada, która powinna stać się regułą naszej pobożności eucharystycznej?

Spożywasz Chleb – stań się chlebem (albo – po albertyńsku – „stań się dobry jak chleb”). Nie bądź drugiemu kamieniem.

Spożywasz Paschę – stań się paschalny. Daj się przeprowadzić Bogu ze śmierci do życia. Nie tkwij z upodobaniem przy tym, co cię zabija. Nie nazywaj śmierci życiem. I odwrotnie. Bądź człowiekiem drogi. Miej korzenie, ale nie kotwicę.

Spożywasz Ofiarę – nie cofaj się przed ofiarnością. Szukaj sensu życia w „byciu dla innych”. Nie wyśmiewaj ofiarności; nie nazywaj jej „cierpięctwem”. Przyjmij za swoje wezwanie wyryte na odrzwiach jednego z krakowskich kościołów: „*Frustra vivit qui nemini prodest*” („Na próżno żyje [ten], który nikomu nie przynosi pożytku”).

Spożywasz jeden Chleb z wielu ziaren – bądź człowiekiem jedności i wspólnoty. Nie twórz podziałów między braćmi – nie petryfikuj starych, nie dodawaj nowych. Ciesz się jednością w różnorodności – naucz się słuchać każdego, również tego, kto ma inne zdanie, inną formację, inną wrażliwość duchową i inną pobożność niż ty. Chciej się od niego uczyć; nie przykrawaj go do własnego wzorca.

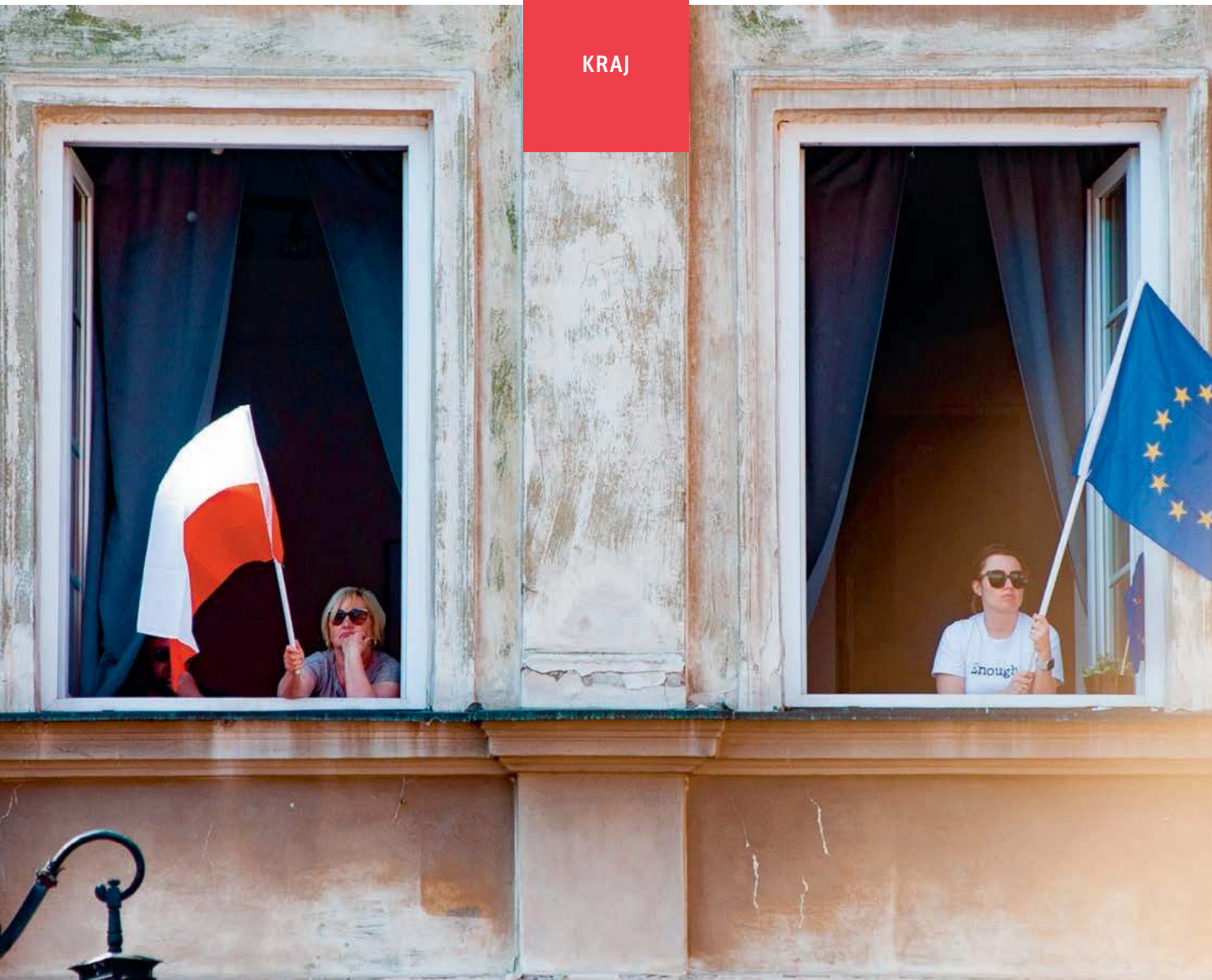
Stań się Tym, co spożywasz. W przeciwnym wypadku trudno ci będzie uciec od pytania, czy naprawdę spożywasz... ©

CYTANIA LITURGICZNE (18 – 25 VI)

11. niedziela zwykła: Wj 19, 2-6a; Ps 100; Rz 5, 6-11; Mt 9, 36 – 10, 8; Piątek: 2 Kor 11, 18. 21b-30; Ps 34; Mt 6, 19-23; Sobota, uroczystość narodzenia św. Jana Chrzciciela: Iz 49, 1-6; Ps 139; Dz 13, 22-26; Łk 1, 57-66. 80; Poniedziałek: 2 Kor 6, 1-10; Ps 98; Mt 5, 38-42; Wtorek: 2 Kor 8, 1-9; Ps 146; Mt 5, 43-48; Środa: 2 Kor 9, 6-11; Ps 112; Mt 6, 1-6. 16-18; 12. niedziela zwykła: Jr 20, 10-13; Czwartek: 2 Kor 11, 1-11; Ps 111; Mt 6, 7-15; Ps 69; Rz 5, 12-15; Mt 10, 26-33.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

*Warszawa, 4 czerwca 2023 r.*

NA EUROPEJSKIM ROZDROŻU

WYBORY 2023 ■ Nawet jeśli Unia nadmiernie rozszerza swoją władzę, to zarazem broni rzeczywistego suwerena – nas – przed uzurpacją rządzących. Dlatego Polska tak bardzo potrzebuje dziś Europy.

STEFAN SĘKOWSKI

PODPISANA PRZEZ PREZYDENTA USTAWA o powołaniu komisji badającej rosyjskie wpływy w Polsce wywołała natychmiastową debatę w Parlamencie Europejskim oraz rozpoczęcie procedury naruszeniowej. Niemal równocześnie Trybunał Sprawiedliwości UE po raz kolejny uznał, że zmiany w polskim sądownictwie łamią zobowiązania wynikające z traktatu z Unią. Jeśli weźmiemy jeszcze pod uwagę spór kompetencyjny pomiędzy Sądem Najwyższym i Trybunałem Konstytucyjnym wokół ułaskawienia przez prezydenta Dudę Mariusza Kamińskiego – otrzymamy obraz chaosu prawnego, który może oznaczać nie tylko koniec marzeń o pieniądzach z Krajowego Planu Odbudowy, ale kłopoty z wypłatami z innych źródeł, które są powiązane z kryterium praworządności.

Dwadzieścia lat po referendum, w którym 77,5 proc. Polaków opowiedziało się za wstąpieniem naszego kraju do Unii Europejskiej, znaleźliśmy się na rozdrożu. Wciąż zdecydowana większość z nas, bo aż 85 proc. (według sondażu CBOS z kwietnia 2023 r.) uważa, że powinniśmy dalej należeć do Wspólnoty. Jest to niewielki spadek poparcia, choć trzeba przyznać, że z rekordowego poziomu 92 proc. w czerwcu ubiegłego roku. Przełom widać w innej kwestii: po raz pierwszy od 2014 r. więcej Polaków uważa, że członkostwo zbytnio ogranicza naszą suwerenność, niż że nie ma na nią wpływu (45:42). Odsetek „suwerenistów” wzrósł znacznie, bo aż o 12 proc.

Tego typu sondaże traktuje się czasem jako wskaźnik negatywnego zjawiska. Tak jakby domyślnie prawidłową odpowiedzią było to, że w naszych relacjach z UE wszystko jest w porządku, a inna oznaczała od razu eurosceptycyzm. Tak wcale być nie musi, tak jak nie ma jednego powodu, dla którego odsetek niezadowolonych nagle wzrósł. Pierwszy na myśl nasuwa się brak pieniędzy z KPO, jednak w cytowanym badaniu padło także pytanie o to, kto jest temu winien. Zaledwie 16 proc. Polaków wskazało na Unię Europejską. Co więcej, nawet wśród zwolenników PiS tylko 23 proc. oskarża o to Brukselę, głównego winowajcę widząc raczej w... opozycji (47 proc.), jakkolwiek absurdalnie by to brzmiało. Zrazem tylko 16 proc. ankieterów twierdzi, że Polska zrobiła źle, wycofując się

z części zmian w sądownictwie pod naciskiem Komisji Europejskiej.

Robaki po brukselsku

KPO nie jest jedyną kością naszej niezgody z Unią. W ostatnich miesiącach mogliśmy dowiedzieć się od licznych eurosceptyków, także z partii rządzącej, że UE chce zmusić nas do jedzenia robaków i że pozwoliła na wpuszczenie do Polski „technicznego” ukraińskiego zboża. Te zarzuty są najwyżej półprawdami. Dopuszczenie do spożycia w UE proszku ze świerszczy nie oznacza przymusowego karmienia nim ludzi. Abstrahując od tego, że kontrowersją jest co najwyżej estetyczna, a np. koszenia (barwnik z czerwców kaktusowych) już dziś jest w wielu pokarmach, to sporny proszek będzie dodawany przez producentów do produktów dobrowolnie i oznaczany na opakowaniu. Podobnie na bezcłowy wjazd zboża z Ukrainy zgodził się polski rząd, a wręcz się go domagał w ramach (słusznej co do zasady) pomocy zaatakowanemu sąsiadowi. Fakt, iż polskie służby nie były w stanie dopilnować, by zboże przejechało przez Polskę bez rozładunku, nie jest winą Unii. Tego typu pogłoski mogą jednak wpływać na wzrost negatywnego stosunku do UE. Także u tych, którzy są za tym, byśmy pozostali w jej strukturach.

Od momentu akcesji Polski politycy zrzucaли na Unię winę za liczne niedociągnięcia. Jednak dopiero za rządów PiS Bruksela została osadzona przez rządzących w roli zagrożenia dla suwerenności. Celuje w tym zwłaszcza ugrupowanie Zbigniewa Ziobry, które z przepychanek z Unią uczyniło swój znak rozpoznawczy, czego ukoronowaniem jest zmiana nazwy partii na Suwerenna Polska.

To zjawisko nie ogranicza się jedynie do propagandy. Podporządkowany PiS Trybunał Konstytucyjny w październiku 2022 r. uznał, że organy UE, naciskając na Polskę w szczegółowych kwestiach dotyczących wymiaru sprawiedliwości, działają poza swoim zakresem kompetencji i że powoływanie się przez nie na traktaty europejskie jest niezgodne z polską ustawą zasadniczą. PiS przedstawia to orzeczenie jako obronę naszej podmiotowości w ramach UE przed powolnym i pozatraktatowym zawłaszczaniem władzy przez Brukselę.

Z czysto prawnego punktu widzenia sprawa nie jest jednoznaczna. Instytucje mają to do siebie, że starają się rozszerzać swoje kompetencje, a spory krajów członkowskich z Brukselą to domena nie tylko Polski i Węgier. Trybunał Sprawiedliwości UE regularnie rozstrzyga różnice zdań między Komisją Europejską a państwami (w ostatnich miesiącach dotyczy to np. Rumunii, Hiszpanii czy Włoch). Nie mówiąc już o tym, że od lat trwa przepychanka między samym TSUE a niemieckim Federalnym Sądem Konstytucyjnym o to, w jakim zakresie ten drugi może sprawdzać zgodność prawa europejskiego z niemiecką ustawą zasadniczą, co trochę przypomina spór naszych władz z UE.

Faktycznie, traktaty europejskie nie dają Komisji Europejskiej bezpośredniego prawa do ingerowania w kształt systemu sądownictwa krajów członkowskich. Jednak zawierają też – dość ogólne – przepisy mówiące o tym, że państwa wspólnoty mają być praworządne. PiS uchwalając szereg ustaw niezgodnych z Konstytucją i zasadami trójpodziału władzy, złamał tę zasadę. I, jak widać po lex Tusk, brnie dalej w tym samym kierunku, nie umiając lub nie chcąc wypłacać nas z trwającego już ósmy rok konfliktu z Brukselą, który można byłoby w prosty sposób zakończyć: wycofując się ze zmian, które są szkodliwe nie tylko dla relacji z Europą, ale przede wszystkim dla polskich obywateli. Zwłaszcza że w ich efekcie sądownictwo działa jeszcze gorzej niż wcześniej. Argument, że powinniśmy bronić tych ustaw bez względu na to, jakie skutki przynoszą, ponieważ są „nasze” i Brukseli nic do nich, jest błędny, gdyż Polacy przekazując PiS władzę nie dali mu przyzwolenia na łamanie najwyższego prawa krajowego. Paradoksalnie Unia, nawet jeśli rozszerza swoją władzę mocą precedensu, broni rzeczywistego suwerena, nas samych, przed uzurpacją rządzących.

Razem, ale osobno

Podjęrzewam jednak, że mało kto w Polsce widzi w instytucjach Unii obrońcę naszej suwerenności. Myślimy nadal – zarówno Polacy, jak i obywatele innych krajów członkowskich – w kategoriach państwa narodowego. To nasze państwo jest dla nas punktem odniesienia, →

→ Unia Europejska zaś jawi się nie jako zwarta wspólnota, ale raczej jako pragmatyczne stowarzyszenie krajów, choć unikalne w swojej konstrukcji. Nawet jeśli w świetle badań 80 proc. Polaków uważa się za obywateli UE, to nie jest to raczej wyraz twardej tożsamości, lecz bardziej pochodna tego, że każdy Polak jest automatycznie obywatelem Unii. Również gdy myślimy o korzyściach płynących z akcesji, to głównie chodzi nam o rzeczy wymierne, zwłaszcza indywidualnie. Gdy w 2021 r. IBRiS spytał na zlecenie „Rzeczpospolitej”, jakie są największe zalety UE, 68 proc. ankietowanych wskazało fundusze unijne, 58 proc. otwarte granice, 34 proc. wzrost bezpieczeństwa Polski, a możliwość kształcenia poza Polską – 23 proc. Z sondażu nie wynika, by specjalną wartością była integracja sama w sobie czy też utrwalanie wartości demokratycznych. W świetle tego sondażu Unia jawi się jako wspólnota pragmatyczna, nie tożsamościowa.

Podobnie wygląda sytuacja w innych krajach unijnych. Z jednej strony, jak wynika z opublikowanego w tym roku European Social Survey, od 2016 do 2022 r. w zdecydowanej większości z nich spadła tendencja do opuszczenia UE. Można to wytłumaczyć obawami związanymi z niepewnością czasów pandemii covidu, obecnie zaś z wojną w Ukrainie. A także ze świadomością ogromnych kosztów, jakie ponosi Wielka Brytania w związku z brexitem. Nawiasem mówiąc, gdyby dziś Brytyjczycy mogli zdecydować jeszcze raz, zagłosowałoby za powrotem do UE.

Z drugiej strony, wydaje się, że obywatele nie są chętni do pogłębiania integracji: stąd jednoczesny, choć wydawałoby się, że sprzeczny z wcześniejszym sondażem wzrost poparcia dla polityków eurosceptycznych oraz ich sukcesy wyborcze, również w tak znaczących krajach, jak Francja, Niemcy, Hiszpania czy Włochy. Wygląda na to, że dla wielu Europejczyków obecny poziom integracji jest już optymalny, o ile nie za duży. Chcą być w Unii, jednocześnie traktując ją jako instytucję mającą wiele wad.

Meandry solidarności

Inaczej wygląda sytuacja w przypadku elit politycznych, które nie tylko mówią o tym, że potrzebujemy „coraz ściślejszej Unii”, ale po prostu ten cel realizują.

Większości Europejczyków Unia nie jawi się jako zwarta wspólnota, ale raczej jako **pragmatyczne stowarzyszenie.**

I polski rząd bierze w tym udział, nawet jeśli on akurat mówi co innego. Katalizatorem zmian są kolejne kryzysy. Pandemia covidu przyniosła wspólne zakupy szczepionek, a także przyjęcie Funduszu Odbudowy, który – po raz pierwszy w historii – jest finansowany m.in. ze sprzedaży unijnych obligacji, co oznacza zaciągnięcie przez Unię wspólnego długu. Zgodził się na to (choć przy sprzeciwie Solidarnej Polski) także rząd Mateusza Morawieckiego.

W 2021 r. UE utworzyła pozabudżetowy fundusz celowy o nazwie Europejski Instrument na rzecz Pokoju, który przekazuje pieniądze państwom członkowskim dostarczającym broń Ukrainie. To też sytuacja precedensowa, która w przyszłości ma zaowocować kolejnymi wspólnymi zakupami uzbrojenia. W połowie maja zakończył się również pierwszy przetarg na wspólne zakupy gazu. Okazał się sukcesem: dostawcy dopuszczeni do niego zaoferowali więcej surowca, niż wynosiło zapotrzebowanie. Udany przetarg jest prawdopodobnie jednym z powodów, dla którego ceny gazu na europejskim rynku spadły: 22 maja do poziomu poniżej 30 euro za megawatogodzinę, co było poziomem najniższym od połowy czerwca 2021 r.

Jednocześnie politycy europejscy coraz głośniej mówią o potrzebie ugruntowania pogłębiającej się integracji także poprzez zapisy w traktatach. Emmanuel Macron mówi o europejskiej autonomii strategicznej, która miałaby oznaczać samodzielność UE w zakresie bezpieczeństwa i polityki zagranicznej. Olaf Scholz z kolei co rusz wraca do pomysłu, by decyzje w kwestii polityki zagranicznej i podatkowej Rada Europejska mogła podejmować większością kwalifikowaną, a nie tak jak do tej pory – jednomyślnie.

Na tę chwilę propozycję popierają głównie rządy państw „starej” Unii, takie jak Belgia, Finlandia czy Francja, a z nowych członków – Słowenia. To mało, bo wcielenie w życie tego pomysłu wymaga... jednomyślności, a sceptyczne są z kolei rządy części nowych członków, zwłaszcza Polski i Węgier.

Obie propozycje dążą do federalizacji Unii i mają swoje plusy i minusy. O ile bowiem rezygnacja z zasady, że państwa członkowskie podejmują decyzje jednomyślnie w kwestii polityki zagranicznej, mogłaby pomóc w prowadzeniu bardziej zdecydowanych działań np. wobec Rosji, o tyle w przypadku polityki podatkowej mogłaby stać się zagrożeniem dla konkurencyjności naszej gospodarki. Jest możliwe, że państwa, w których płaci się wyższe podatki, będą dążyły do narzucenia ich na poziomie europejskim, możliwe jest także dążenie do wprowadzania nowych danin. Natomiast głoszenie idei autonomii strategicznej akurat przez prezydenta Francji jest jednocześnie wyrażeniem dystansu wobec bliskiej współpracy z USA, na której z kolei bardzo zależy Polska i krajom bałtyckim.

Zresztą ani Francja, ani Niemcy – dwa najsilniejsze państwa UE – nie są szczególnie przekonujące w zakresie europejskiej solidarności. W końcu to Francja była jednym z państw, które najmocniej naciskały na objęcie pracowników delegowanych dodatkowymi regulacjami, uderzając m.in. w nasze interesy. Niemcy z kolei po latach bliskiej współpracy z Rosją, choćby w zakresie budowy Nord Stream 1 i Nord Stream 2, stały się, zwłaszcza na początku wojny w Ukrainie, hamulcowym pomocą napadniętemu krajowi, choć nie tak otwarcie jak Węgry.

Postawa części państw członkowskich pokazuje, że w zjednoczonej Europie nadal liczą się twarde interesy, które realizują na wspólnotowej arenie właśnie państwa narodowe. Wyraża się to także w mniej spektakularny sposób, np. poprzez faworyzowanie rodaków w europejskich instytucjach. Jak donosił w ubiegłym roku portal Politico, taki problem występował w Europejskim Banku Centralnym, w którym większość departamentów była zdominowana przez Niemców i Włochów, co utrudniało pracę i prowadziło do działania na rzecz krajów pochodzenia. W Komisji Europejskiej zjawisko to występuje w znacznie

mniejszym stopniu, ale tylko w wyniku stosowania parytetów, co pozwala domniemywać, że gdyby ich nie było, także tam dochodziłoby do tworzenia się narodowych klik.

Suwerenność przez integrację

A jednak w ogólnym sensie Scholz i Macron mają rację wskazując na potrzebę głębszej integracji. W XXI wieku suwerenność oznacza coś innego niż sto czy dwieście lat temu. Pełną władzę zwierzchnią na swoim terytorium mają nieliczne państwa: USA, Chiny, ewentualnie Rosja. Pozostałe należą do jednej z ich stref wpływów, w ramach których starają się utrzymać maksimum podmiotowości i możliwości kształtowania systemu politycznego według własnej woli, oczywiście ze specyficznym miejscem dla państw zrzeszonych w Unii Europejskiej. Także w przypadku Polski trudno mówić o suwerenności w starym stylu, gdyż nasze bezpieczeństwo zależy w dużej mierze od obecności amerykańskich wojsk na naszym terytorium. Oddawanie się suwerenistycznym złudzeniom i mocarstwowym mrzonkom mogłoby nam wręcz przynieść szkody. Więcej skorzystamy na dążeniu do tego, by cała Unia stała się mocarstwem.

Gospodarczo i politycznie ogromne korzyści daje nam wspólne z innymi państwami UE ustalanie polityki celnej i zasad korzystania z jednolitego rynku. Rzeczywistość pokazuje, że warto pójść jeszcze dalej, wspólnie prowadząc politykę zakupową w zakresie np. źródeł energii czy rozwijając współpracę wojskową, nawet do poziomu wspólnej europejskiej armii. Nie oznacza to rezygnacji ze współpracy transatlantyckiej, jednak nie możemy wciąż opierać się wyłącznie na amerykańskim parasolu ochronnym, choćby na wypadek izolacjonistycznych tendencji w tym mocarstwie. Także gospodarczo żadne z państw członkowskich Unii nie da sobie rady w pojedynkę w globalnej konkurencji z Chinami czy USA. Dlatego potrzebne jest także dążenie do większej konwergencji gospodarczej, a w dalszej perspektywie, gdy będziemy spełniać warunki, być może także wstąpienia do strefy euro.

Potrzeba większej integracji nie opiera się wyłącznie na wymiernych korzyściach. Ważny jest też wspólny

W Polsce więcej skorzystamy
na dążeniu do tego,
by cała Unia stała się potęgą,
niż na własnych
**mocarstwowym
mrzonkach.**

mit. Pierwsze kilkadziesiąt lat integracji europejskiej napędzała chęć zachowania pokoju między państwami europejskimi (leżąca na sercu zwłaszcza Niemcom i Francuzom). Cel udało się osiągnąć, ale dziś to już nie wystarczy, bo pokolenia, które w przeważającej mierze urodziły się po II wojnie światowej, traktują pokój między państwami członkowskimi jako oczywistość. Ochrona przed zagrożeniem zewnętrznym, jakim jest w tym momencie Rosja, może być jednak katalizatorem głębszej integracji, choćby dla ochrony bezpieczeństwa obywateli Unii, ale także zachodniego stylu życia oraz modelu ustrojowego.

To oczywiście jest problematyczne w sytuacji, w której w części państw europejskich popularna staje się nieliberalna demokracja, a rządzący takimi krajami jak Polska czy Węgry prezentują siebie jako demokratów, tyle że walczących z autorytarnymi dążeniami Brukseli – w rzeczywistości łamiąc zasady praworządności i pluralizmu oraz zawłaszczając państwo.

Kolejne zmiany prawne wprowadzane w tych krajach, w połączeniu z propagandą nieustannie sączącą się z państwowych mediów, służą tworzeniu własnej oligarchii (Węgry) oraz rzeszy klientów żywotnie zainteresowanych przetrwaniem nowo tworzonego systemu (Polska). Ale są także równia pochyła, po której demokracja stacza się w kierunku autorytaryzmu. Lex Tusk, pozwalające na to, by polityczni nominaci mogli ograniczać prawa obywatelskie wszystkim, których arbitralnie posądzą o działanie pod wpływem rosyjskim, jest tego dobitnym przykładem. Takie eksperymenty ustrojowe szkoda zarówno krajom członkowskim, jak

i samej integracji. I powinny być traktowane jako obce europejskiemu wyobrażeniu o dobrym, sprawiedliwym państwie.

Z zacieśnianiem integracji wiąże się także zagrożenie, np. zasklepienie się w protekcyjnym gospodarstwie (zwłaszcza jeśli USA będą nadal szły w tym samym kierunku), a także wykształcenie czegoś na wzór europejskiego nacjonalizmu. W wyniku licznych konfliktów na świecie i globalnego ocieplenia (wywołanego w dużej mierze przez Zachód) do Europy wciąż będą chciały dostać się tysiące migrantów. Istnieje prawdopodobieństwo, że Unia stanie się „twierdzą Europa”. Już dziś państwa traktujące twardo imigrantów (np. Włochy, Polska) podkreślają, że chronią w ten sposób wspólną europejską granicę i całą cywilizację. Z kolei instytucje unijne, mimo dystansu do takich postaw i humanitarnej retoryki, zdają się podzielać to podejście, na co wskazuje choćby tolerowanie push backów czy praktyka działania Frontexu, który zdaniem Europejskiego Urzędu ds. Zwalczenia Nadużyć Finansowych (OLAF) miał wręcz dopuszczać się ich tuszowania na Morzu Egejskim.

Pieśń przyszłości

Na tę chwilę trudno jednoznacznie ocenić potencjalne skutki tak zdecydowanej obrony granic wspólnoty. Z jednej strony razem będziemy bezpieczniejsi, w zderzeniu choćby z imperialistyczną Rosją (zwłaszcza jeśli struktury europejskie i natowskie będą się nawzajem uzupełniały), z drugiej jednak – istnieje ryzyko wytworzenia się paneuropejskiej ksenofobii, która może prowadzić do niehumanitarnego traktowania przybyszów i zaprzeczenia własnym wartościom.

To jednak pieśń przyszłości. Na razie nie ma europejskiego narodu, więc nie będzie też europejskiego nacjonalizmu. Państwa narodowe zazdrośnie strzegą swoich kompetencji, obawiając się, że różnego rodzaju ustępstwa mogą być wykorzystane przez sąsiadów. Ale mając świadomość wszelkich meandrów, warto obrać kierunek na głębszą integrację, ponieważ ostatecznie skorzystamy na tym wszyscy. Zazdrośnie strzegąc naszej suwerenności możemy więcej stracić, niż zyskać.

© STEFAN SĘKOWSKI

W krainie wielkich nierówności

PAWEŁ MARCZEWSKI

WYBORY 2023 ■ Ktokolwiek będzie rządził po jesieni, zmierzy się z problemem rosnącego rozwarstwienia Polaków. Wprawdzie wielu z nas deklaruje, że łatwo wiąże koniec z końcem, często odpowiadamy tak, bo wstydzimy się biedy.

CZY POLSKA JEST PAŃSTWEM NIERÓWNOŚCI społecznych? Ta kwestia przez wiele lat stanowiła margines w dyskusji publicznej, choć po przejściu od gospodarki centralnie sterowanej do rynkowej wystąpienie tego zjawiska wydawało się naturalne. Przeważał jednak lęk przed otwartym mówieniem o rosnących różnicach majątkowych między Polakami; obawiano się, że jego skutkiem będzie potępienie dla całego procesu transformacji po upadku rządów komunistycznych.

Z większą mocą temat nierówności pojawił się po powrocie PiS do władzy w 2015 r., kiedy partia ta odcięła się od wcześniejszych liberalnych rozwiązań gospodarczych i rozpoczęła szereg programów, które miały realizować zasadę sprawiedliwości społecznej, z Rodziną 500 plus na czele. Niedługo potem, w 2017 r., ukazały się wyniki badań ekonomistów Pawła Bukowskiego i Filipa Novokmeta, którzy pokazywali, że poziom nierówności dochodowych w Polsce przez wiele lat był dużo wyższy, niż pokazywały to oficjalne statystyki GUS. Jednak ani politycy, ani eksperci ekonomiczni – z nielicznymi wyjątkami – nie byli przygotowani do poważnego podjęcia tematu. Został on skonsumowany przez bieżącą politykę: z jednej strony padały oskarżenia o rozdawnictwo, z drugiej słowa o przywracaniu godności polskim rodzinom, a gdzieś pomiędzy tymi skrajnościami lokowały się głosy, że programy społeczne są potrzebne, ale źle realizowane i nieefektywne, skoro pieniądze trafiają też do rodzin, które wcale nie potrzebują wsparcia.

Problem miary

Oficjalne dane o poziomie nierówności wyrażonym tzw. współczynnikiem Giniego (zero oznacza pełną równość, jeden – skrajne nierówności) mogą się wydawać umiarkowanie uspokajające. Według ostatnich dostępnych danych z badania budżetów domowych – współczynnik ten wynosi dla Polski 0,319 i po okresie spadku, czyli redukcowania nierówności, wzrósł niemal do tego samego poziomu, co w momencie objęcia władzy przez PiS w 2015 r. (wynosił wówczas 0,322). Kiedy GUS opublikował w ubiegłym roku te informacje, prof. Michał Brzeziński, jeden z najlepszych w Polsce ekonomistów zajmujących się tą problematyką, stwierdził, że redukcja nierówności po kilku latach rządów PiS jest ze statystycznego punktu widzenia pomijalna.

Programy społeczne obecnego rządu nie zmieniły więc trwale fundamentów polskiego rozwarstwienia. Na co można oczywiście replikować, że utrzymanie dotychczasowego poziomu nierówności po dwóch latach pandemii, która wielu ludziom odebrała możliwość zarobkowania, to jednak osiągnięcie naszej władzy. Co więcej: opublikowane niedawno wyniki europejskiego badania EU-SILC, realizowanego w Polsce przez GUS, zdają się potwierdzać tę optymistyczną interpretację. Przeprowadzono je w drugiej połowie 2020 r., kiedy covid szalał w najlepsze. Według zebranych danych współczynnik Giniego wyniósł wtedy dla Polski 0,268 i stał się nas w rządzie z Austrią (0,267) i Szwecją (0,268), państwami o znacznie bardziej progresywnych systemach podatkowych (bogaci płacą tam wyższe daniny) i z dłu-

gimi tradycjami egalitarnego myślenia o gospodarce.

Lepszym porównaniem byłoby jednak zestawienie Polski z krajami Europy Środkowej. Tu też plasujemy się nie najgorzej: pomiędzy bardziej egalitarnymi Czechami (współczynnik Giniego 0,248), a bardziej różnicowanymi dochodowo Węgrami (0,276).

Problem z tego rodzaju badaniami polega na tym, że ukazują one miarę bardzo ogólną, zestawiając ze sobą wszystkie gospodarstwa domowe w kraju, a nie np. te najlepiej i najgorzej sytuowane, co wiarygodniej pokazywałoby rozwarstwienie. Stąd też EU-SILC oprócz współczynnika Giniego stosuje również inną miarę, porównując 20 proc. najlepiej zarabiających obywateli do 20 proc. najgorzej uposażonych (World Inequality Database Thomasa Piketty'ego zestawia 10 proc. najlepiej i 50 proc. najgorzej zarabiających).

Ta miara wygląda dla Polski również całkiem nieźle i wynosi 4,0. Oznacza to, że jedna piąta najlepiej zarabiających gospodarstw domowych ma dochody cztery razy wyższe niż jedna piąta najgorzej sytuowanych. Tę samą wartość odnotowano dla Szwecji, kraju z o wiele lepszym systemem redystrybucji dochodów państwa. W sąsiednich Czechach nierówności w dochodach są niższe i wynoszą 3,4, na Węgrzech zaś nieco wyższe – 4,2.

Dlaczego zatem większość Polaków nie czuje, by żyła w społeczeństwie egalitarnym na wzór szwedzkiego? Ponieważ ta miara nie pokazuje zbyt dokładnie różnicowania pomiędzy najlepiej zarabiającymi a bardzo dużą częścią społeczeństwa, ulokowaną bliżej środka hierarchii dochodów. Nie mówi też niemal nic o zróżnicowaniu dochodów w grupie osób najlepiej zarabiających, a przecież wśród 10 proc. najbogatszych będziemy mieli zarówno tych żyjących we względnym dobrobycie, jak też prawdziwych kreuzusów.

Co więcej, badania oparte są na danych sondażowych, w których respondenci sami szacują poziom dochodów swoich gospodarstw domowych, a to czyni wyniki podatnymi na zniekształcenia. Respondenci mogą się obawiać bądź wstydząć podawać prawdziwe informacje o zarobkach.

Ze względu na te słabości World Inequality Database stosuje inną metodę. Dochody 10 proc. najlepiej zarabiających zestawiane są z dochodami całej dolnej

JAKI PROCENT DOCHODÓW, PO ODLICZENIU PODATKÓW, POSIADA

10 proc. najbogatszych...

...w porównaniu z...

...50 proc. najgorzej zarabiających

LITWA

43,8

6,8

WŁOCHY

33,1

20,7

RUMUNIA

32,9

16,9

POLSKA

31,5

24

NIEMCY

29,8

25,8

HISZPANIA

29

25,6

WĘGRY

28

28,1

WLK. BRYTANIA

26,4

29,5

SZWECJA

24,3

31,2

CZECHY

23,8

33,2

SŁOWACJA

22

31,2

ZRÓDŁO: WORLD INEQUALITY DATABASE, 2021

LECH MAZURCZYK

połowy społeczeństwa, a dane z kwestionariuszy konfrontowane z informacjami z zeznań podatkowych.

Przy zastosowaniu tej miary poziom nierówności dla Polski wygląda o wiele mniej optymistycznie. Najzamożniejsze 10 proc. dysponowało w 2021 r. (po zapłaceniu podatków) 31,5 procentami ogółu dochodów, „dolne” 50 proc. posiadało ich jedynie 24 proc. Dla porównania w Szwecji najzamożniejsi uzyskiwali 24,3 proc. dochodów, a „dolne” 50 proc. społeczeństwa – 31,2 proc. W Czechach było to odpowiednio: 23,8 i 33,2 proc. Od egalitarnych krajów Europy sporo zatem Polskę dzieli. Mniejsze nierówności są m.in. w Niemczech, Hiszpanii, na Węgrzech, a zwłaszcza na Słowacji.

Co istotne, w naszym przypadku zarówno przed, jak i po zapłaceniu podatków 10 proc. najbogatszych Polaków dysponuje większymi dochodami niż uboższa połowa społeczeństwa. Tymczasem

w Szwecji i Czechach tak jest tylko w tabeli dochodów przed opodatkowaniem. Gdy je uwzględnimy, biedniejsza połowa będzie miała w tych krajach wyższe dochody niż jedna dziesiąta najzamożniejszych. Widać więc wyraźnie, że polski system podatkowy redukuje nierówności w o wiele mniejszym stopniu niż systemy bardziej egalitarnych krajów w Europie.

Kogo i co porównujemy

Nawet dobrej jakości dane jednak nie pokazują pełnego obrazu rozwarstwienia. Wybitny ekonomista Anthony Atkinson, zmarły w 2017 r. nestor brytyjskich badań nad biedą i nierównościami, namawiał, by zadawać pytania „nierówność czego?” oraz „między kim?”. Dowodził też, że wykazywany w oficjalnych statystykach poziom nierówności zależy w dużej mierze od tego, w jaki sposób je definiujemy. Czy uwzględniamy nierówno-

ści między całymi gospodarstwami domowymi, czy też między konkretnymi osobami? Czy dorosłe, pracujące dzieci, które mieszkają z rodzicami ze względu na wysokie koszty najmu i brak zdolności kredytowej, powinniśmy traktować jak osobne gospodarstwa? Albo: jak przy szacowaniu dochodów rodzin uwzględniać wartość usług publicznych, finansowanych z podatków przez poszczególne państwa, skoro dostęp np. do bezpłatnego lekarza czy szkoły zmniejsza rozwarstwienie? I czy powinniśmy opierać się na szacunkach dochodów rodzin, czy też raczej na ich wydatkach konsumpcyjnych? Jedne i drugie mogą przynosić różne rezultaty.

Pytania zadawane przez Atkinsona są dziś w Polsce bardzo aktualne. Galopująca w 2022 r. inflacja i podnoszenie w odpowiedzi na nią stóp procentowych przez NBP, a w konsekwencji rosnące koszty kredytów hipotecznych sprawiły, że wiele osób straciło szansę na uzyskanie w najbliższej przyszłości własnego mieszkania. Średni wiek wyprawki z domu wynosił u nas w 2021 r. 29 lat i był niezmiennie wyższy od unijnego (26,5), według danych Eurostatu. Niewykluczone, że w najbliższych latach problem ten się jeszcze pogłębi i coraz częstsze staną się powroty do domu rodzinnego osób, których nie będzie stać na samodzielne życie i własne mieszkanie. To zaś oznacza wzrost faktycznych nierówności dochodowych, nawet jeśli ogólne miary oparte na badaniach kwestionariuszowych ich nie wychwycą, bo podczas wywiadów rodzice i mieszkające z nimi dorosłe dzieci nie zostaną potraktowani jak osobne gospodarstwa.

Poważnym problemem, który zaostcza się zwłaszcza przez inflację, są także nierówności w konsumpcji. Uboższe gospodarstwa domowe przeznaczają większy odsetek swoich dochodów na samą żywność niż gospodarstwa zamożniejsze, co oznacza, że wzrost cen żywności uderza mocniej w uboższych. Podobnie jest z cenami energii. Ogólnie rzecz ujmując, jak pokazują dane GUS z badania budżetów domowych, 20 proc. najuboższych gospodarstw wydaje przeciętnie 987 zł miesięcznie na osobę, a 20 proc. najzamożniejszych ponad dwukrotnie więcej, czyli 2085 zł. Wydatki najuboższych stanowią jednak aż 151,5 proc. ich dochodu rozporządzalnego, w przypadku

→ najzamożniejszych – ledwie 50,9 proc. Gorzej sytuowane rodziny wydają więc ponad dwukrotnie mniej niż najzamożniejsze, a i tak muszą korzystać z oszczędności lub wręcz się zapożyczać. To są niezwykle ważne wymiary nierówności, które w ogólnych statystykach pozostają niewidoczne.

Kolejnym z tych wymiarów jest fakt, że rodziny posiadające na własność mieszkanie nieobciążone kredytem (w Polsce na ogół starsze) żyją w innym świecie niż rodziny wynajmujące lub spłacające kredyt. Nie chodzi wyłącznie o dochód, który zamiast na czynsz czy ratę można by przeznaczyć na inne cele, ale także o ogólne poczucie bezpieczeństwa ekonomicznego, odporność na inflację i podwyżki stóp procentowych. Na podobnej zasadzie rodziny, które mogą miesięcznie wydać ponad 2000 zł na osobę bez zaciągania pożyczki czy przejadania oszczędności, czują się o wiele bezpieczniej niż te, które muszą dołożyć skądś do pensji, żeby wydać niespełna 1000 zł. Wprawdzie na pytanie zadane w badaniu EU-SILC, jak udaje im się „wiązać koniec z końcem”, 46,8 proc. respondentów odpowiedziało, że robi to „łatwo” lub „raczej łatwo”, ale jeśli zestawimy to z rzeczywistymi wydatkami w stosunku do dochodów, to staje się jasne, że wiele osób odpowiedziało tak albo ze wstydu, albo ze względu na brak punktu odniesienia w postaci możliwości porównania się do poziomu życia i wydatków lepiej sytuowanych rodzin.

40 proc. wykluczonych

Z nierównościami nierozdzielnie związane są kategorie biedy i bogactwa. Tak naprawdę trudno jednak wyraźnie zdefiniować te pojęcia, a statystyki nie zawsze przychodzą nam z pomocą.

41 proc. Polaków żyje w niedostatku.

Duża część społeczeństwa nie jest aż tak biedna, by umrzeć z głodu, ale zarazem nie uczestniczy w życiu publicznym.

W potocznym odbiorze punktem odniesienia do tego typu rozważań bywa często tzw. średnia krajowa, czyli przeciętne miesięczne wynagrodzenie brutto. GUS ogłasza je co miesiąc dla sektora przedsiębiorstw; w maju wyniosło (dane za kwiecień) 7430,65 zł. Tyle że większość Polek i Polaków zarabia znacząco mniej.

Po pierwsze, średni wynik windują wysokie płace w niektórych branżach i na niektórych stanowiskach. Po drugie: podawane dane nie obejmują niskich zarządków w budżetówce, pensji osób samozatrudnionych, pracujących w małych przedsiębiorstwach poniżej 10 osób lub na umowach cywilnoprawnych. W efekcie na 17 mln zatrudnionych Polaków obliczenia obejmują tylko ok. 6 mln.

GUS definiuje relatywne ubóstwo jako sytuację, w której dochody na osobę wynoszą poniżej 50 proc. średnich wydatków (w 2021 r. było to w Polsce 909 zł). Zasięg tak rozumianego ubóstwa sięga w Polsce 12 proc. Jednak 4,2 proc. z nas zmaga się wręcz z ubóstwem skrajnym, przy którym dochody na osobę w gospodarstwie domowym są poniżej minimum egzystencji (692 zł w 2021 r., 775 zł w 2022 r.). Kwotę tę wylicza Instytut Pracy i Spraw Socjalnych (IPiSS) i oznacza ona sumę pozwalającą na życie w zdrowiu i zdolności do

pracy, ale przy założeniu opłat za mieszkanie w bardzo niskiej wysokości 335 zł. Miary te są więc nie do końca wiarygodne, a poza tym koncentrują się na niedostatku materialnym, nie uwzględniając tzw. wykluczenia społecznego.

Jak wskazuje prof. Ryszard Szarfenberg w dorocznym raporcie „Poverty Watch”, publikowanym przez polski oddział European Anti-Poverty Network, od kilku lat GUS publikuje dane na temat „sfery niedostatku”, czyli odsetka osób żyjących poniżej minimum socjalnego. Kłopot w tym, że termin ten nie oddaje, zdaniem autora, rzeczywistej sytuacji tych osób, czyli właśnie wykluczenia społecznego. Minimum socjalne, kwota ustalana na każdy rok przez IPiSS, ma pozwalać na zaspokojenie podstawowych potrzeb, w tym kulturalnych. W 2021 r. dla jednoosobowego gospodarstwa domowego wynosiło ono 1334 zł (w 2022 r. 1488 zł), a zatem osób żyjących w sferze niedostatku, czyli – jak wskazuje prof. Szarfenberg – wykluczonych społecznie przez ubóstwo, było w Polsce aż 40,7 proc.! Ta wstrząsająca liczba oznacza, że duża część polskiego społeczeństwa nie jest aż tak biedna, by umrzeć z głodu, ale zarazem nie uczestniczy z powodu ubóstwa w życiu publicznym.

Kto jest naprawdę bogaty

Jeszcze większy problem, niż z określeniem prawdziwego obrazu polskiego ubóstwa, mamy z definicją bogactwa. Powstały podczas poprzedniego globalnego kryzysu finansowego ruch Oburzonych posługiwał się kategorią 1 proc. najbogatszych jako synonimem oligarchicznej elity, żerującej na społeczeństwach i uciekającej przed podatkami. Z danych World Inequality Database (WID) za 2022 r. wynika, że posiadali oni aż 38 proc. światowych dochodów.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Serwisy specjalne: patrz szerzej

GOSPODARKA TRZESZCZY

Wojna, waluty i inflacja: co nas czeka?

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/GOSPODARKA



Kto należy dziś w Polsce do 1 proc. wybrańców? Zgodnie z klasyfikacją GUS, aby trafić do tej grupy, trzeba zarabiać minimum 36,5 tys. zł brutto miesięcznie. Jednak by zaliczyć się do 1 proc. najbogatszych ludzi na świecie, trzeba mieć już średnie roczne dochody na poziomie 395 tys., tyle że w euro. To niemal 50 razy więcej. Widać więc wyraźnie, że różnice w dochodach pojawiają się również w „elitarnym” gronie; co innego bogactwo oznacza w Polsce, a co innego w USA. Ale nawet patrząc wyłącznie na nasz kraj, dostrzeżemy niejasności. Najmniej zarabiający spośród 1 proc. Polaków pobierają wprawdzie miesięcznie kwotę 36,5 tys. zł brutto, lecz dochody wielu osób w tej grupie bywają wielokrotnie wyższe.

Jeszcze większą otchłń ujrzemy, gdy rzucimy dochody tej grupy wybrańców na szersze tło 10 proc. najlepiej uposażonych w Polsce. Według WID średni dochód w tej grupie jest prawie czterokrotnie mniejszy w porównaniu do 1 proc. elity.

Warto na koniec zapytać, między jakimi grupami dochodowymi jest dziś w Polsce rzeczywista wspólnota interesów i jako takie podobieństwo warunków codziennej egzystencji. Czy 10 lub 20 proc. najlepiej zarabiających, którym wystarcza na spokojne, ale dalekie od luksusu życie, ma więcej wspólnego z wąską grupą ultra bogaczy, czy też z licznym gronem tych, którzy żyją w sferze niedostatku? Czy człowieka pracującego na nieźle płatnym etacie w dużym mieście, z firmowym pakietem medycznym i kartą do siłowni, wyjeżdżającego raz do roku na zagraniczne wakacje – więcej łączy z kimś z niedużego miasta, pracującym na umowę-zlecenie, czy z miliarderem?

To pytania, które musimy zacząć sobie stawiać, zwłaszcza w Polsce, gdzie od trzech dekad unikaliśmy poważnej debaty na ten temat, a dojście do władzy w 2015 r. partii, która mieniła się rzeczniką wykluczonych, tak naprawdę niewiele w tej kwestii zmieniło.

© PAWEŁ MARCZEWSKI

Autor jest szefem działu Obywatela w forumIdei, think tanku Fundacji Batorego.



ROBERT ROBASZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Usuwanie sierpa i młota z Pomnika Wdzięczności Armii Czerwonej, Olsztyn, listopad 2022 r.

Pod sierpem i młotem

ZBIGNIEW ROKITA

Kolejny rozdział polskiej dekomunizacji rozpoczął się po pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę. W przeciwieństwie do poprzednich fal, z lat 1989 i 2016, tej nie ogłaszano szumnie.

PRZED 24 LUTEGO 2022 R. W POLSCE było już tylko kilkadziesiąt pomników poświęconych Armii Czerwonej. W krótkim czasie i te zaczęto burzyć. Jednocześnie w Rosji niszczone upamiętnienia polskich ofiar czasów carskich czy Związku Sowieckiego. Front pomnikowy stał się jeszcze jednym frontem tej wojny.

Znajdujące się u nas sowieckie pomniki – ale też tablice i groby – przestały być już bezzębnymi zmurszałościami po „komunie”. W ostatnich miesiącach, wraz z narastającym poczuciem, że armia Putina to kolejna inkarnacja armii Stalina, a Federacja Rosyjska to po Rosji Romanowów czy Związku Sowieckim kolejny sztyl tego samego imperium – nabierały nowych znaczeń. Polska dekomunizacja ofi-

cialnie jest desowietyzacją. W praktyce – derusyfikacją.

Co to znaczy: wyzwolenie

Jeden z około 30 sowieckich pomników, które uchowały się w Polsce, stoi w centrum Olsztyna. To dwa kilkunastometrowe pylony, przypominające monstrualne szubienice. Ich autorem jest słynny rzeźbiarz Xawery Dunikowski. „Szubienice” zamówił u niego Mieczysław Mochar, ówczesny wojewoda olsztyński.

Odsłonięte w 1954 r. dzieło Dunikowskiego najpierw nazwano Pomnikiem Wdzięczności Armii Czerwonej, a po pewnym czasie przemianowano na Pomnik Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej. I choć figurowali na nim żołnierze Armii Czerwonej oraz sierp i młot, monument nie podpadł pod

→ ustawę dekomunizacyjną. Dlaczego? Figurował w rejestrze zabytków.

Wszystko zmienił 24 lutego 2022 r. Tego dnia pomnik znów stał się „widoczny”, a prezydent Olsztyna Piotr Grzymowicz oświadczył: „Ponieważ dzisiejsza, zbrodnicza, putinowska Rosja odwołuje się do tradycji Armii Czerwonej, której brutalności mieszkańcy Warmii i Mazur doświadczyli w roku 1945, podjąłem decyzję o wystąpieniu do ministra kultury i dziedzictwa narodowego z wnioskiem o zdjęcie ochrony konserwatorskiej z Pomnika Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej”.

Po kilku tygodniach prezydent ze swojego pomysłu się co prawda wycofał i dziś jest gorącym orędownikiem uratowania pomnika, ale raz wprawionej w ruch maszyny nie sposób było już zatrzymać. Pomysłowi usunięcia „Dunikowskiego” przyklasnęli wojewoda, prezes IPN i minister kultury Piotr Gliński, który wykreślił „szubienice” z rejestru zabytków. Droga do demontażu stanęła otworem, a jedną z warstw sporu o „Dunikowskiego” stał się konflikt władz warszawskich i olsztyńskich, centrali z regionem. Prezydent Grzymowicz postanowił sam nieco zdekomunizować „Dunikowskiego” i polecił skuć z niego sierp i młot. Warszawy to jednak nie przekonało. Spór trwa do dziś, a pomnik w każdej chwili może zostać z placu usunięty.

Kontrowersje wzbudza już sama nazwa – Pomnik Wyzwolenia. Można spierać się o termin „wyzwolenie” w odniesieniu do przedwojennych ziem polskich, ale w przypadku Szczecina, Olsztyna czy Zgorzelca słowo to jest jeszcze bardziej kłopotliwe. W 1945 r. Armia Czerwona inaczej wkraczała na późniejsze Ziemie Odzyskane, inaczej na przedwojenne ziemie polskie. W przypadku tych drugich skupiamy się na tym, co stało się w latach po jej wkroczeniu, a w przypadku tych pierwszych również na tym, jak wyglądało samo wkraczanie.

W Allenstein, który był zamieszkany niemal wyłącznie przez Niemców, doszło do mordów i gwałtów na cywilach, grabieży i spalania miasta. Następnie, po tym gdy miasto ogłoszono Olsztynem, nastąpiła niemal całkowita wymiana ludności. W mieście nie pozostało wielu świadków „wyzwolenia”.

Wszystko to generuje w Olsztynie pytania, które trudno stawiać w Krakowie

Słyszcie: pozostawmy, opatrzymy komentarzem.

A może nie? Może potrzebujemy mocnego gestu? Czasem trzeba **mówić o pojednaniu, a czasem trzeba obalić sowieckiego żołnierza.**

czy Łodzi. Czy można wyzwolić Niemców od Niemców? Czy w opinii swoich mieszkańców Allenstein/Olsztyn był przed 1945 r. zniewolony, aby dało się go wyzwolić? Czy zamiast o oswobodzeniu niemieckiego miasta nie powinniśmy mówić o jego podbiciu, a pomnikowi nadać trzecią już nazwę?

A może jeszcze inną perspektywę na „wyzwolenie” miał krakowianin Dunikowski, którego po pięciu latach Armia Czerwona wyzwoliła z Auschwitz?

Kukułcze jajo

– Burzyć czy nie burzyć? – pytam Mariusza Sieniewicza, pisarza i dyrektora olsztyńskiego Miejskiego Ośrodka Kultury.

– W takich debatach łatwo wejść w buty bądź dobrego samarytanina, bądź Robespierre’a – odpowiada. – Jedno moje „ja” ma przed oczami rosyjskie zbrodnie w Buczy i chce ten pomnik wysadzić. Drugie „ja” myśli, że to słaby świat, gdy w imię moralnych racji chce burzyć i niszczyć.

– Może czasem trzeba zburzyć?

– A może tym samym damy naszym dzieciom prawo, by wyburzyli nasz świat, jeśli okaże się dla nich wstydlivy i nie do ogarnięcia? Co pokolenie reset, zmiana pamięci i historii, gumkowanie. Burzenie jest niebezpieczne. Poza tym jestem wilniukiem, dzieckiem repatriantów, a ten pomnik to jedyne upamiętnienie roku 1945 w Olsztynie. Lepiej się zmagać z tym garbem, bo inaczej zupełnie zapomnimy o tamtych wydarzeniach.

– A nazwa „Pomnik Wyzwolenia” pana nie drażni?

– Dla mnie najlepszą nazwą są „szubienice”. Tak się tu mówi, a słowotwórstwo mieszkańców oddaje często więcej niż naukowe dysertacje. Sowietci przynieśli tu te dwie „szubienice”, żeby w ich cieniu

mordować i gwałcić w akcie zemsty za własne ofiary. Poza tym, wie pan – teraz jest dużo pięknych słów, a potem okaże się, że po zburzeniu przyjdzie deweloper i wszystkich pogodzi – mówi mi Sieniewicz.

To dyskusja nie tylko lokalna. Jej echo słyszę często. Parę lat temu w Szczecinie debatowano, czy należy dekomunizować ulicę Obrońców Stalingradu. Dyskusja ta pozwala raz za razem zastanawiać się, jaką rolę odegrała Armia Czerwona w 1945 r. dla Polaków – z jednej strony bowiem Polskę zniewalała, a z drugiej była jej sojuszniką w koalicji antyhitlerowskiej i wygnała nazistów. A piszę to jako potomek ludzi, którzy w niemieckim Gleiwitz doświadczyli tego samego, co mieszkańcy Allenstein. Ale również jako potomek tych, którzy we Lwowie przeżyli sowiecką okupację i trafili na Ziemie Odzyskane.

Mariusz Sieniewicz: – Istotą sporu jest to, że nie mamy prawdziwej, tożsamościowej opowieści o latach 1945–89. Najpierw mówiono, że to powrót do macierzy, a po przełomie zapomnieliśmy o skomplikowanych losach tej ziemi, mieliśmy dryfować w stronę nieobciążonej, przezroczystej tożsamości. Smarowski próbował o tym mówić w „Róży”, i tyle. Dlatego później, gdy wybucha taki spór, nie mamy narzędzi, żeby rozmawiać, żeby szukać miejsc wspólnych. Pozostaje historyczna plemiennosc.

Sieniewicz to jeden z tych, którzy nie ułatwiają wyrobienia sobie jednoznacznej opinii. Na koniec naszej rozmowy dodaje:

– A może jednak jesteśmy bandą hipokrytów? Może nikt nie ma w sobie odwagi, by wziąć odpowiedzialność za nawet najbardziej radykalną, „złą” decyzję? Te „szubienice” to kukułcze jajo naszej tożsamości. Z jednej strony mówimy, że to wybitne dzieło sztuki, z drugiej – skuwamy jego wstydlive kawałki i „emblematy”. Szukamy niemożliwego kompromisu, odwracając wzrok od repatriantów i ich pokoleń.

Pamięć trudna, ale lepsza

Pod pomnik idę ulicą 22 Stycznia. Pierwotnie upamiętniała „wyzwolenie” miasta przez Armię Czerwoną 22 stycznia 1945 r., ale niedawno „zdekomunizowano” ją na inny 22 stycznia. Teraz nazwa upamiętnia dzień wybuchu antyrosyjskiego powstania styczniowego.

„Dunikowski” stoi obok urzędu marszałkowskiego, dawnego gmachu pruskiej rejencji olsztyńskiej. Nad wejściem do budynku widzę ślady po skutych niemieckich napisach. Wszystko to tworzy niepokojącą kompozycję – każda kolejna władza stawia swoje i skuwa czyjeś.

Ale tutaj dominuje „Dunikowski” – dwa pylony wyglądają jak niedomknięty łuk triumfalny. Olsztynianie już dawno go sobie oswoiли. Stał się przezroczysty do tego stopnia, że pod sierpem i młotem urządzano stacje na procesje Bożego Ciała i miejskie sylwestry. Jakiś czas temu pomnik ogrodzono; w mieście słyszę, że jest w złym stanie i się sypie. Po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji na Ukrainę niektórzy olsztynianie potraktowali go jako emanację Kremla. Jedni wieszali nekrologi ukraińskich dzieci czy baner „Solidarni z Ukrainą”, inni wypisywali hasła, które widzę również teraz: „Slava Rosji” czy kilka literek „Z”.

Najgłośniejszym orędownikiem zachowania pomnika jest prof. Robert Traba – historyk, współtwórca słynnej olsztyńskiej Borussii. Traba chce, aby na placu przy pomniku powstała przestrzeń artystyczno-muzealna, która zneutralizuje militarystyczny przekaz „Dunikowskiego” i opowie o historii tego miejsca: od 1933 r. i dojścia do władzy nazistów po polskie powojnie.

– Pamięć może być narodowa, czyli antagonistyczna. Może też być kosmopolityczna, czyli relatywizująca wątki narodowe. Obie łatwo poddają się ideologizacji. Marzy mi się, aby przy „Dunikowskim” pojawiła się wystawa w duchu pamięci dialogicznej, czyli kontrowersyjnej. Trudnej, a nie łatwej – mówi mi Traba.

Traba chciałby wstrzymania trwającego od kilkunastu lat procesu banalizowania historii i pisania jej od nowa. Jego zdaniem banalizujemy ją twierdząc np., że wszyscy „żołnierze wyklęci” byli bohaterami bądź że większość Polaków pomagała podczas wojny Żydom. O pomniku napisał w październiku 2022 r. do prezesa IPN Karola Nawrockiego list otwarty.

– Za jedną frazę z tego listu otrzymałem od ministra Glińskiego wezwanie przed sądowe – mówi mi Robert Traba.

– Za co konkretnie minister chce pana pozwać?

– W moim liście do prezesa IPN padają słowa, że złamaniem prawa nie jest pozostawienie „Dunikowskiego”, a „prawo

dzisiaj łamie rząd w osobach ministrów Piotra Glińskiego i Jarosława Sellina oraz Pan [Nawrocki – przyp. red.], wzywając *de facto* do likwidacji pomnika”.

– Co zamierza pan zrobić?

– Minister chce, abym się pokajał, przeprosił i zapłacił pewną kwotę zadośćuczynienia. Odrzuciłem to pismo. Do rozprawy dojdzie najpewniej w czerwcu. W ten sposób władze chcą zastraszyć przeciwników politycznych. Inna rzecz, że używają do tego publicznych pieniędzy – tłumaczy Traba.

Potrzeba gestu

Czego życzyliby sobie sami olsztynianie? Według przeprowadzonego wiosną 2022 r. badania IBRiS mieszkańcy podzielili się na pół: 46 proc. chciało pozostawienia pomnika, 43 proc. – przeniesienia go w inne miejsce.

– Do 24 lutego ubiegłego roku też wolałam pozostawić pomnik – bo to Dunikowski, bo to zabytek, bo to dobry układ urbanistyczny. Ale po 24 lutego już go tam po prostu nie chcę – mówi mi Joanna Piotrowska, historyczka sztuki. – Zaczęłam widzieć uciekających Ukraińców, mordowanych cywili, wszystko to, co znamy z czasów sowieckiego terroru. Teraz wszystko to wróciło i dlatego ja już nie chcę oglądać pomnika w środku miasta, na którym jest zwycięski sowiecki żołnierz – mówi.

Piotrowska zwraca też uwagę, że może tylko nas uczono, iż Dunikowski jest wielkim klasykiem, bo chciano, abyśmy po wojnie w to uwierzyli? Współpracował z każdą władzą, również w czasach stalinowskich. Wielu zarzuca mu, że rzeźbił oryginalnie w formie, ale typowo w treści, a złośliwi powiedzą: koniunkturalnie. Przed wojną tworzył Józefa Piłsudskiego, Fryderyka Chopina i polskich królów, a po wojnie – m.in. Lenina, Stalina i czerwonoarmistów. Według projektu „szubienic” przed wojną miał powstać pomnik Piłsudskiego, ale Dunikowski nie zdążył go wykonać, a po wojnie usunął z projektu Piłsudskiego i dodał obowiązujące akcenty.

– Słyszę: pozostawmy, opatrzmy komentarzem. A może właśnie nie? Może potrzebujemy dzisiaj mocnego gestu? Czasem trzeba mówić o pojednaniu, a czasem trzeba obalić sowieckiego żołnierza. On tu przyszedł i na blisko pół wieku załatwił pół Europy – mówi Piotrowska.

– To co: zburzyć?

– Nie, przeniesmy go na cmentarz żołnierzy radzieckich. Choć mnie się marzy, żeby zrobić z niego *land art*, dzieło sztuki: rozłożyć na kawałki, rozsypać gdzieś i pozwolić, żeby mech go obrósł, żeby siadały na nim pary i oglądały księżyc, ale żeby przestał dominować nad okolicą, stał się częścią krajobrazu. Obalony, ale nie wymazany.

Piotrowska wywodzi się z rodziny pochodzącej ze Lwowa. Kresowiaci mają swoją pamięć o Sowietach. W takim Krakowie Armia Czerwona pojawiła się na krótko i poszła dalej, na Berlin. Tymczasem Polacy w Grodnie czy Drohobyczu przeżyli pod Sowietami kilka wojennych lat, często doświadczając strasznych represji. Ta pamięć – podobnie jak wołyńska – najsilniejsza jest dziś właśnie na Ziemiach Odzyskanych. Kresowy rodowód znacznej części olsztynian też nie jest bez znaczenia dla sporu o „Dunikowskiego”.

A ja nie mogę pozbyć się wrażenia, że obie strony tego sporu dochodzą do innych wniosków nie dlatego, że mają różne co do pomnika poglądy, ale dlatego, że ostatecznie bardziej kierują się bądź sercem, bądź rozumem; bądź czuciem, bądź szkiełkiem.

■ ■ ■

Początkowo nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak można nie protestować przeciwko obecności sierpa i młota w swojej okolicy. Uświadomił mi to dopiero prof. Traba.

– Przecież u was na Górze św. Anny też nie skuli sierpa i młota.

– Tam nie ma niczego takiego.

– Oczywiście, że jest – mówi profesor.

– Na Pomniku Czynu Powstańczego, który zresztą również stworzył Dunikowski, macie nie tylko sierp i młot, ale również czerwonoarmistę. Pan o tym nie wie, choć zna pan tamten pomnik. Bez rytualizacji idei pomniki stają się martwymi punktami w topografii. I teraz, pisząc „o naszym Dunikowskim”, wywoła pan temat i zacznie się również problem z „waszym, śląskim Dunikowskim”. Właśnie dlatego olsztyński spór nie jest sporem lokalnym. Jeśli nie będziemy głośno sprzeciwiać się zmienianiu historii w czarno-biały przekaz, pewnego dnia obudzimy się nie w demokracji, tylko w autorytaryzmie.

© ZBIGNIEW ROKITA

TOMASZ

Stawiszyński: Koniec chrześcijańskiego świata?



ŚWIAT CHRZEŚCJAŃSKI SIĘ KOŃCZY, a właściwie już się skończył – mówi spokojnie, ale dobitnie współczesna (chrześcijańska i konserwatywna, dodajmy) francuska filozofka Chantal Delsol w książce pod tytułem, *nomen omen*, „Koniec świata chrześcijańskiego”, wydanej właśnie przez wydawnictwo WAM. Nie oznacza to oczywiście, że samo chrześcijaństwo zaraz wyparuje z powierzchni ziemi. Nic podobnego, będzie istniało, podobnie jak jego wyznawcy. Utraci po prostu – a ściślej: już utraciło – zdolność głębokiego formowania naszego sposobu widzenia rzeczywistości, siebie samych, innych. Utraci także – a ściślej: już utraciło – potencjał do kreowania naszych postaw etycznych, przestanie bowiem – a ściślej: już przestało – jawić się powszechnie jako źródło żywej, naturalnie przyjmowanej moralności. To ona właśnie – moralność – w połączeniu z dwoma innymi fundamentami, pojęciami „Boga” i „osoby”, była, zdaniem Delsol, zasadniczym spoiwem chrześcijańskiej cywilizacji, czyli organicznie powiązanych ze sobą sfer polityki i religii, państwa i społeczeństwa, aksjologii i mitologii.

Tymczasem już od dłuższego czasu – a najintensywniej bodaj od drugiej połowy XX w. – postępuje demontaż tych organicznych powiązań, czy raczej, jak to nazywa autorka, ich „inwersja”. Podobnie jak na początku swojego istnienia chrześcijaństwo dokonało gruntownej reorganizacji porządku etycznego i światopoglądowego najpierw w imperium rzymskim, później zaś w całym polu swojego oddziaływania – podobnie i dzisiaj zachodzi analogiczna reorganizacja, tyle że w kierunku odwrotnym. Ośrodkowe dla cywilizacji chrześcijańskiej instytucje – wyrastające z samego rdzenia charakterystycznego dla niej obrazu świata – takie choćby jak rodzina czy małżeństwo, ulegają redefinicji. Alternatywna, wolna od religijnych aksjomatów etyka uznaje aborcję i eutanazję nie tylko za kwestie moralnie obojętne, ale nawet za prawa, które powinny przysługiwać każdemu wolnemu człowiekowi. Wiarę w osobowe bóstwo zastępuje zdepersonalizowany kosmoteizm, czyli charakterystyczne dla ery przedchrześcijańskiej przekonanie o przyrodzonej doskonałości, a być może nawet świętości przyrody. W takim uniwersum nie potrzeba transcendencji. Mamy tu komplet narzędzi wystarczających do pomyślnego życia, wszelkie zaś głębsze religijne tęsknoty zaspokajamy poprzez praktyki utrzymujące nas w immanencji – psychoterapię, sztukę albo rozmaite formy duchowości odwołujące się do wierzeń wschodnich czy też

pogańskiego dziedzictwa Zachodu. Tak właśnie – w drapejnym skrócie – wygląda ten koniec w oczach francuskiej filozofki.

Czy Delsol ma rację? Powiedzmy najpierw, że dalece nie wszyscy chrześcijanie się z nią zgadzają, nie tylko jeśli chodzi o podstawową tezę, ale także rozmaite tej tezy realizacje i domniemane konsekwencje. Ks. Robert J. Woźniak, autor przedmowy do „Końca...”, zarzuca jej np. – z jednej strony – daleko idący pesymizm co do faktycznej żywotności projektu chrześcijańskiej cywilizacji, z drugiej zaś nadmiarowy optymizm, z jakim odrzuca konserwatywny lęk przed nihilizmem i degrengoladą postchrześcijańskiej epoki. Rzeczywiście, dla Delsol, w odróżnieniu od wielu prochrześcijańsko usposobionych autorów – np. przywoływanego także przez Woźniaka René Girarda – koniec cywilizacji opartej na naukach Jezusa nie oznacza automatycznie końca świata. Świat będzie nadal trwał – mówi filozofka – to po prostu my, chrześcijanie, a z nami uznawana przez nas za niezbywalną siatka pojęciowych i symbolicznych odniesień straci – a ściślej: już straciła – wszelkie uniwersalne znaczenie. Proces ten jest niemożliwy do zatrzymania, nieodwracalny, ale nie prowadzi do apokalipsy. Raczej do specyficznego, a stosunkowo nowego dla chrześcijaństwa położenia, w ramach którego staje się ono na powrót jedną z wielu dostępnych w ofercie religijnych denominacji. Tyle że pozbawioną już intensywnego, uniwersalistycznego impulsu, który ongiś zapewnił jej – by tak rzec – wielką międzynarodową karierę.

I tutaj chyba właśnie tkwi fundamentalny punkt niezgody pomiędzy Delsol a niektórymi katolickimi konserwatystami. W jej stoickiej konstatacji o przemijaniu chrześcijańskiego świata pobrzmiewa bowiem jakaś nuta relatywizmu. Chrześcijaństwo, którego racja bytu opierała się przecież zawsze na poczuciu wyjątkowości, jedyności i dziejowego posłannictwa, miałoby być tylko jednym z wielu rozdziałów w przepastnej historii ludzkości? Nie pierwszym, ale i nie ostatnim? Zarazem – czy to nie myśl podobna pamiętnym prorocstwom Josepha Ratzingera, który domniemywał, że Kościół straci swoją dominującą w zachodniej kulturze pozycję i stanie się znowu niewielką wspólnotą?

Niezależnie od tego, jak koniec chrześcijańskiego świata będzie faktycznie wyglądał – pewna kwestia wydaje mi się tutaj najistotniejsza. Otóż chrześcijaństwo jest w dzisiejszej kulturze – poza wszystkim – jednym z ostatnich bastionów, nazwijmy to, antropologicznej skromności. Jednym z ostatnich znaków przypomnienia, że człowiek podlega rozmaitym ograniczeniom i że fantazja o braku ograniczeń może go zwieść na manowce. Wraz z wygasaniem chrześcijaństwa jako siły kulturotwórczej, wygasa również ta specyficzna wizja człowieka. Czy skutki tego będą – jak chce Girard – apokaliptyczne, czy też – jak chce Delsol – nie aż tak bardzo, o tym się może przekonać. A z całą pewnością przekonają się ci, którzy przyjdą po nas. Tu bowiem Delsol prawie na pewno się nie myli – świat, z chrześcijaństwem czy bez, nie przestanie istnieć.

©

ZAPROSZENIE

Biuro Parlamentu Europejskiego w Polsce
oraz Przedstawicielstwo Komisji
Europejskiej w Polsce

mają zaszczyt zaprosić na uroczyste
otwarcie multimedialnego centrum

EUROPA EXPERIENCE

16 czerwca 2023 r. (piątek)

10.00 – 18.00

ul. Jasna 14/16a, Warszawa

LUBIĘ
WIEDZIEĆ
JAK TO
DZIAŁA

Europa Experience to multimedialne centra otwierane w krajach Unii Europejskiej, dzięki którym w interaktywny sposób można dowiedzieć się, jak funkcjonuje Unia Europejska i jak wpływa na życie codzienne jej obywateli.

Wszystkie wizyty w centrach Europa Experience są bezpłatne i dostępne w 24 językach urzędowych Unii Europejskiej.

MATERIAŁ PARTNERA



Parlament Europejski
Biuro w Polsce

Biuro Parlamentu
Europejskiego w Polsce
zaprasza do wystuchania podcastu:

„Końskie doszły do Europy”

Spotify



YouTube



Facebook



MAGIA CZY KONTEMPLACJA

Nazywana jest modlitwą „nie do odparcia”. Wielu jednak przestrzega przed pogańskim rozumieniem nowenny pompejańskiej.

JAREMA PIEKUTOWSKI

WŚRÓD CZĘSTO ZADAWANYCH PYTAŃ dotyczących tej modlitwy są i takie: „Zasnąłem i nie dokończyłem nowenny, czy muszę zacząć od nowa?” oraz „Nie zdążyłem odmówić nowenny przed północą. Czy taka nowenna się liczy?”. Autorzy strony pompejanska.rosemaria.pl uspokajają: „Jeśli skończysz modlitwę po północy, to nadal będzie ona ważna”, jednocześnie bardzo mocno podkreślają, że istotą nowenny jest jej ciągłość: „Jeśli to skutek twojego trwałego zaniedbania bez szans poprawy, to przerwij nowennę i zacznij na nowo, kiedy będą lepsze okoliczności do modlitwy”.

Na tej stronie można przeczytać dokładną instrukcję odmawiania nowenny pompejańskiej, jak i wiele artykułów na jej temat. Strona działa od ponad 12 lat i zawiera według autorów ponad 23 tys. wpisów. I nie jest to jedyne miejsce po polsku w internecie poświęcone tej modlitwie (inne to np. nowennapompejanska.info, nowenna-pompejanska.pl, pompejanka.com, e-pompejanka.pl, oprócz tego można ściągnąć aplikacje Nowenna Pompejańska i Pompejanka). Powstała we Włoszech nowenna pompejańska wydaje się bardziej popularna w Polsce niż w kraju pochodzenia.

Popularyzują ją skrajnie różne postaci polskiego Kościoła. Z jednej strony jest wśród nich o. Adam Szustak, dominikanin i popularny vloger (którego filmy o nowennie pompejańskiej na YouTube

przekraczają 3 mln wyświetleń). Z drugiej – ks. Piotr Glas, kontrowersyjny kolekcionista, były egzorcysta straszący zagrożeniami demonicznymi, krytykowany przez Komisję Duszpasterską Episkopatu (w publikacji „Duszpasterstwo w czasach pandemii” umieszczony wśród księży głoszących radykalne poglądy, często rozmiągających się „z obowiązującymi praktykami Kościoła bądź zmierzającymi na obrzeża zdrowej teologii i duszpasterstwa”).

Prezes Fundacji Królowej Różańca Świętego – organizacji tworzonej przez świeckich i duchownych, która szczególnie silnie popularyzuje nowennę, m.in. właśnie na stronie pompejanska.rosemaria.pl – Marek Woś wyjaśnia „Tygodnikowi”, dlaczego właśnie ta modlitwa jest dla niego tak ważna:

– Dlatego, że ważny dla mnie jest jej autor – bł. Bartolo Longo. Dwadzieścia lat temu byłem w Pompejach i pewien ksiądz opowiedział mi jego historię. Longo miał bardzo burzliwy epizod w młodości. Nazwał wówczas sam siebie kapłanem „świątyni szatana”, walczył z Kościołem, walczył z duchowieństwem i to w bardzo aktywny sposób. Po tym wszystkim obawiał się, że czeka go tylko potępienie, że nie ma już dla niego nadziei. A jednak został świętym. Odkrywałem w jego dziełach coraz głębsze pokłady duchowości różańcowej, aż doszedłem do tej nowenny.





KAROL MAKURAT / REPORTER

Godzina dziennie

W największym skrócie nowenna pompejańska polega na odmawianiu codziennie przez 54 dni całego różańca (15 lub 20 tajemnic), któremu towarzyszą modlitwy początkowe, w tym podanie intencji, oraz modlitwy końcowe – „Pod Twoją obronę” oraz modlitwa błagalna (w pierwszej części) lub dziękczynna (w drugiej części). Nowenna podzielona jest bowiem na dwie części, przez pierwsze 27 dni to część błagalna, drugie – dziękczynna. Nie ma się co dziwić, że modlitwa ta ma opinię trudnej i wymagającej – trzeba na nią poświęcić około godziny dziennie (odmawiane przez o. Szustaka na kanale YouTube „Langusta na palmie” trwają godzinę i dwie minuty).

Bartolo Longo urodził się w 1841 r. w niewielkim mieście Latiano na południu dzisiejszych Włoch (w części „włoskiego buta” wyglądającej jak obcas, czyli na Półwyspie Salentyńskim). Wówczas Latiano było częścią Królestwa Obojga Sycylii. Rodzina Longa była zamożna, jego ojciec był lekarzem, a dziadek – burmistrzem miasta. Sam Bartolo Longo studiował prawo w Lecce i w Neapolu, gdzie rzucił się w wir studenckich i wielkomiejskich uciech. Wciągnął go antyklerykalizm i popularne wówczas formy ezoteryki – uczestniczył w seansach spirytystycznych, fascynował się zapomnianym już dziś teoretykiem spirytyzmu Allanem Kardecem, uczestniczył w nabożeństwach sekty ówczesnych lucyferian, a nawet został namaszczonej na „kapłana ciemności”. Publicznie krytykował Kościół, a szczególną nienawiść budzili w nim dominikanie.

Nie wpłynęło to dobrze na jego stan psychiczny – nocami męczyły go straszliwe wizje, jego zdrowie pogarszało się, codziennie towarzyszyła mu depresja i stany paranoiczne. Pomógł mu przyjaciel – profesor Vincenzo Pepe, który cierpliwie wspierał go i modlił się za niego, oraz dominikanin Alberto Radente. Spowiedź u niego była przełomem w życiu Longa. Przeżył silne nawrócenie. W 1871 r. wstąpił do Trzeciego Zakonu Dominikańskiego i jako tercjarz przyjął imię Brat Różaniec. Pracował jednocześnie jako adwokat, i jako adwokat podpisał się w 1897 r. pod wstępem do własnej książki, „Cuda i łaski Królowej Różańca Świętego w Pompejach”.

Samo słowo „nowenna” pochodzi od łacińskiego „novem” („dziewięć”) i oznacza nabożeństwo lub modlitwę sprawowaną przez dziewięć kolejnych dni. Korzeni tego →

→ zwyczaju można szukać w obrzędach żałobnych starożytnego Rzymu, gdzie przez dziewięć dni rodzina po śmierci bliskiej osoby izolowała się od reszty społeczności i odprowadzała modły za zmarłego, a ostatniego dnia urządzana była uczta. Naśladowanie tego zwyczaju krytykował św. Augustyn, z czasem jednak praktyka dziewięciodniowych modlitw przeszła do chrześcijaństwa, a oficjalnie została zatwierdzona w czasie kontrreformacji i później, zwłaszcza przez papieża Piusa IX.

W 1879 r. Bartolo Longo napisał modlitwę, którą nazwał wówczas „Nowenną do Matki Bożej Pompejańskiej o zesłanie łask w przypadkach beznadziejnych”. Był wówczas poważnie chory (prawdopodobnie na tyfus) i przewidywał swoją rychłą śmierć. Jednak ostateczna formuła nowenny pompejańskiej przyszła wraz z objawieniem prywatnym, jakiego doświadczyła 21-letnia wówczas mieszkanka Neapolu, Fortunatina Agrelli.

Cierpiała na padaczkę, dziś powiedzielibyśmy, że prawdopodobnie także na depresję. „Delikatna Natina odczuła stratę [bliskiej krewnej – JP] tak boleśnie, że od tego dnia nie odzyskała już dawnej wesołości, a jej młodość wędła pod ciężarem żałoby – pisał Longo. – Do tego doszła jeszcze straszna choroba, objawiająca się silnymi konwulsjami, które powtarzały się codziennie od godziny drugiej po południu i trwały nieustannie przez dziesięć godzin do północy. Najbardziej bolesne było ściśnięcie gardła – czuła co wieczór w krtani coś w rodzaju kłęбка, który ją dusił i nie pozwalał wypowiedzieć ani słowa”.

Agrelli doświadczyła widzeń Maryi, która miała powiedzieć jej: „Teraz, gdy mnie wzywasz pod imieniem Królowej Różańca Świętego z Pompejów, które mi jest bliższe ponad wszystkie inne, nie mogę ci odmówić. Odpraw trzy nowenny, oddawaj mi cześć, a wyzdrowiejesz”. Dziewczyna odprowadzała nakazane nabożeństwo (trzy razy po dziewięć dni, czyli przez 27 dni) i wyzdrowiała. W ostatnim widzeniu usłyszała słowa: „Ktokolwiek pragnie otrzymać łaski, niech odprawi na moją cześć trzy nowenny, odmawiając piętnaście tajemnic różańca, a potem niech odmówi znowu trzy nowenny dziękczynne”. W ten sposób powstała forma nowenny, którą opisał i rozpowszechnił Longo, odmawiana do dziś.



DOMENA PUBBLICNA

Bartolo Longo

Nie do odparcia

Właśnie ze względu na te słowa z objawienia prywatnego nowenna pompejańska jest dziś często nazywana „nowenną nie do odparcia”. Na stronie prowadzonej przez Fundację Królowej Różańca Świętego można znaleźć dziesiątki świadectw osób, które odmawiały nowennę. Mówią one m.in. o uzdrowieniach („Po 3 latach strasznie ciężkiej i wyniszczającej walki, dziś po guzie nie ma śladu. Nie ma też przerzutów” – pisze Anna), o znalezieniu pracy („Mąż stracił pracę, postanowiłam odmawiać Nowennę Pompejańską. Po trzech dniach nowenny siostrzenica zadzwoniła, że ma pracę dla niego” – pisze Leni), a nawet o przemianie teściowej (anonimowa autorka: „Dowiedziałam się, że teściowa zmieniła swoje nawyki żywieniowe, zaczęła się zdrowiej odżywiać, nawet schudła. Mając okazję do wypicia, np. na jakichś rodzinnych spotkaniach, odmówiła”).

Zdarzają się jednak i rozczarowania. A. pisze na tej samej stronie: „Odmówiłam cztery Nowenny Pompejańskie w intencji uratowania bardzo ważnej dla mnie relacji. Żadna nie została wysłuchana. Nie mam już nadziei, że kiedykolwiek wyjdę za mąż i zostanę mamą. Ktoś bardzo mi bliski, osoba wierząca i codziennie odmawiająca różaniec, z dnia na dzień porzucił mnie bez słowa wyjaśnienia. Nie byłam akceptowana przez jego rodzinę. Ocenili mój wygląd, a nie poznali mojego serca. Nie dali mi szansy. Skreślili, bo byłam za gruba. Bo nie miałam odpowiedniego wykształcenia”.

Rozmawiam z Julią, 37-letnią programistką, którą spotkała w życiu tragedia: – Odmówiłam kilka razy. Nabawiłam się tylko wstępu do Pozdrowienia Anielskiego. Dzień po ostatnim dniu odmawiania nowenny pompejańskiej zaczęłam ronić i umarł mój syn. Potem odmawiałam, by tę nowennę jakoś „odczarować”, ale nie pomogło. Tylko wiarę straciłam.

Na czym więc polega owa niezwykła „skuteczność” modlitwy? Na czym polega jej potęga, o której mówił m.in. ks. Piotr Glas: „W tym czasie zauważyłem, że to nie jest jakaś tam nowenna, tylko potężna modlitwa różańcowa (...) To jest coś potężnego i fantastycznego. Zaczęłam ludziom proponować tę modlitwę i rzeczywiście, owoców było bardzo dużo”.

Niestety, skuteczność ta często rozumiana jest bardzo dosłownie, wręcz magicznie – jakby za sprawą tej właśnie modlitwy miały się spełnić życzenia osoby modlącej się. Można czasami odnieść wrażenie, że do takiego myślenia o nowennie pompejańskiej przyczynia się fakt, że jest ona szczególnie wymagająca. Że jest to swego rodzaju „modlitewny challenge” – jakby wysiłek włożony w modlitwę miał bezpośrednio przekładać się na „efekty”.

Upór

Nie ma się co dziwić, że po wpisaniu w Google frazy „nowenna pompejańska” pojawia się często zadawane pytanie „Czy nowenna pompejańska zawsze działa?”. Odpowiada ks. Adam Cieślak z Salezańskiego Seminarium Duchownego: „Nowenna pompejańska wcale nie jest skuteczniejsza niż inne modlitwy. Ani słowa, ani długość, ani forma modlitwy nie mają wpływu na jej skuteczność. Bogu chodzi o wytrwałość”. A popularyzujący nowennę o. Adam Szustak w filmie „Jak się modlić, żeby być wysłuchanym?” twierdzi wprost, że dzielenie modlitw na skuteczniejsze i mniej skuteczne jest wyrazem pogaństwa. Wskazuje też na modlitwę „Ojcze nasz”, która nie należy do najdłuższych, a to w ten, a nie inny sposób Jezus zalecił uczniom się modlić. „Na modlitwie nie bądźcie gadatliwi jak poganie” – mówi Chrystus wcześniej (Mt 6, 7).

Na niebezpieczeństwo magicznego traktowania nowenny pompejańskiej zwraca uwagę także Marek Woś: – Trzeba oddzielić warstwę marketin-

gową od duchowej. Słyszymy nieraz o jakimś nabożeństwie czy modlitwie, np. do św. Rity, że „zawsze pomoże”. Należy oddzielić myślenie magiczne od tego, co jest naprawdę ważne w tej modlitwie. A jej istotą jest pogłębienie naszej relacji z Bogiem i utrwalenie jej. Z radością widzę, że większość świadectw nowenny pompejańskiej łączy to, iż modlący się piszą o swoim nawróceniu, często po latach obojętności religijnej. Sam Bartolo Longo mówi, że dzięki modlitwie można otrzymać to, co jest zgodne z wolą Bożą. Nowenna pompejańska nie służy do tego, byśmy wymodelili sobie wygraną w lotto.

A jednak Chrystus mówi też: „Proście, a będzie wam dane” (Mt 7, 7). Po co się modlić, skoro i tak Bóg da nam to, co będzie chciał? Skoro Jego wola i tak będzie się działa w naszym życiu?

O. Jacek Woroniecki, dominikanin, w swojej książce „Pełnia modlitwy” pisał, że niektóre dary Boże otrzymamy tylko wtedy, kiedy o nie poprosimy. Jego zdaniem modlitwa jest elementem uruchamiającym „ciąg przyczynowo-skutkowy” między wolą Bożą a zdarzeniem w naszym życiu.

Rozmawiam o nowennie pompejańskiej z Tomaszem Terlikowskim, filozofem, katolickim pisarzem i publicystą. – Chrystus mówi o tym, że jeśli będziemy szukać, pukać i będziemy się dobijać, to zdobędziemy Królestwo Niebieskie. To jest ostatecznie cel życia chrześcijanina. Kiedy apostołowie pytają Go o mo-

Nowenna podzielona jest na dwie części, przez pierwsze 27 dni to część błagalna, drugie – dziękczynna.

Trzeba na nią poświęcić około godziny dziennie.

dlitwę, ucząc ich, wprowadza w tę modlitwę słowa fundamentalne: „ądz wola Twoja”. Przecież w nowennie pompejańskiej te słowa wypowiedane są wielokrotnie, za każdym razem, gdy odmawiamy „Ojcze nasz”. Tak, otrzymamy wszystko, czego potrzebujemy. Ale to nie oznacza wszystkiego, czego chcemy.

Wytrwałość

Po co w takim razie w ogóle odmawiać tak długą i wymagającą modlitwę? Nie wystarczy po prostu westchnąć od czasu do czasu „Bądź wola Twoja”? Na ciekawy trop naprowadza teolożka Monika Waluś:

– W bardziej intelektualnych kręgach mamy wielki szacunek dla buddyzmu, medytacji, powtarzania mantry czy prawosławnej modlitwy na czotkach (czyli sznurze modlitewnym), z jednoczesnymi kpinami z różańca. A przecież – zwłaszcza obudowany w formułę nowenny pompejańskiej – różaniec to typowa modlitwa medytacyjna, policzalna. Wymaga skupienia, ale i skupienie daje. Jest szansą

na odcięcie natrętnych, nadmiernych myśli, wewnętrznego zamętu, lęków, wprowadza w przestrzeń wewnętrzną ciszy.

Nowenna pompejańska może także zaintrygować osoby będące daleko od Kościoła. Monika Waluś opowiada o doświadczeniu w szpitalu dziecięcym: – Kobiętom przebywającym tam z ciężko chorymi dziećmi ta modlitwa pozwalała myśleć, oddychać i spać. Pamiętam, jak obserwowała tę modlitwę jedna z matek, niewierząca, i poprosiła, by nauczyć ją różańca i pompejanki.

Marek Woś: – Wiele osób, które modlą się nowenną pompejańską w konkretnej sprawie, wcześniej wcale nie modliło się na różańcu. Jednak znajdują ten czas, tworzą własny program duchowy, poświęcają godzinę, półtorej godziny dziennie na modlitwę. Nawet gdyby to była jakakolwiek inna modlitwa, rozważanie czy adoracja, to przy tym samym skupieniu osiągnęliby prawdopodobnie te same efekty: odzyskanie relacji z Panem Bogiem, spokój wewnętrzny, pogodzenie się ze sobą i swoim życiem.

W tej perspektywie kontemplacyjnej nowego sensu nabiera fakt, że nowenna pompejańska wymaga czasu i powtarzania wielu słów. Wprowadza to modlących się w nowy rytm. Można więc mówić o „skuteczności” – rozumianej jednak inaczej niż w potocznym języku.

I możemy tylko sobie życzyć, by ci, którzy uczą nas modlitwy, nie uczyli nas myślenia magicznego, składając obietnice bez pokrycia. © JAREMA PIEKUTOWSKI

„Oddech dla duszy”

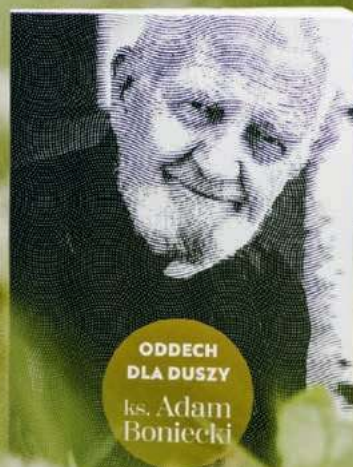
Zapraszamy na spotkanie z ks. Adamem Bonieckim i Michałem Olszewskim.

Spotkanie poprowadzi Katarzyna Kubisiowska.

21 czerwca o godz. 18.00

w ramach Czytelni POLIN w siedzibie muzeum,
ul. Anielewicza 6 w Warszawie.

Bezpłatne wejściówki dostępne w dniu spotkania
na bilety.polin.pl i w kasach Muzeum.



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

Kościoły złej nowiny

ŁUKASZ OSTRUSZKA

Ostatnie wydarzenia w Kenii pokazują, że jedynym sposobem walki z „duchowymi terrorystami” jest solidna edukacja.

TO ZBRODNI PRZECIW LUDZKOŚCI” – mówi wprost Kithure Kindiki, minister spraw wewnętrznych Kenii. Na początku czerwca władze poinformowały, że na terenie lasu w Shakahola, na wschodzie kraju, znaleziono już 241 ciał ofiar sekty o nazwie Międzynarodowy Kościół Dobrej Nowiny. Przywódca tej organizacji został oskarżony o nakłanianie wyznawców do śmierci głodowej i wiele innych zbrodni, w tym terroryzm, morderstwa, porwania i wykorzystywanie seksualne.

Pierwsze ciała zagłodzonych członków sekty odkryto w kwietniu i maju. Były składowane w zbiorowych mogiłach. Bilans na pewno nie jest ostateczny, bo służby spodziewają się, że grobów jest więcej.

Fałszywi prorocy

Międzynarodowy Kościół Dobrej Nowiny został założony przez byłego taksówkarza Paula Mackenziego Nthenge w 2003 r. Samozwańczy duchowny szybko zyskiwał popularność. Wielbicieli ściągnął na 800-hektarową posiadłość niedaleko miasta Malindi. Mieli tam „pójść i czekać na przyjście Pana”.

Mieszkańcy Malindi powiedzieli dziennikowi „Guardiana”, że przed zamknięciem Kościoła w 2019 r. Nthenge mocno radykalizował swoje kazania. Wzywał ludzi, żeby nie jedli i nie angażowali się w „światowe sprawy”. Zaliczał do nich edukację – która miała być szatańska i uczyć dzieci homoseksualizmu – usługi medyczne czy używanie kosmetyków. Popularne we wspólnocie były również egzorcyzmy. Nawoływano do bojkotu szczepionek, promowano teorie spiskowe. Przywódca sekty miał już kilkakrotnie problemy z prawem. Formalne oskarżenie wniesiono w 2017 r. Sprawa ciągnęła się przez cztery lata, po czym wy-

cofano zarzuty. Teraz komisja bada, czy w śledztwie nie było uchybień.

Na początku maja Nthenge stanął przed sądem w Malindi, ale rozprawa nie trwała długo – sprawę przeniesiono do sądu najwyższego w Mombasie. Razem z nim na ławie oskarżonych siedzi kilkadziesiąt innych osób związanych z sektą.

Co więcej, kilka dni po odnalezieniu ciał na terenie dawnego kościoła prowadzonego przez Mackenziego Nthenge, służby aresztowały innego wpływowego pastora – Ezekiele Odera. To założyciel Kościoła i Centrum Modlitwy Nowego Życia, który również został oskarżony o morderstwa na swoich wyznawcach. Sekta została zamknięta, a z jej terenu ewakuowano ponad sto osób. Odero jest popularnym teleewangelistą, który zbudował imperium – w jednym z kościołów mieści się 40 tys. osób, a kanał na portalu YouTube ma pół miliona obserwujących. Odero mówi o sobie, że jest „wybrańcem Boga”.

Zwodnicze teologie

Działalność takich religijnych zbrodniarzy jest związana ze zjawiskiem określanym jako *misleading theologies*, czyli „teologie wprowadzające w błąd” lub „zwodnicze teologie”. Takie nauki nie są oczywiście niczym nowym i występują nie tylko w krajach afrykańskich. Różnego rodzaju sekty i zamknięte grupy religijne powstawały w różnych miejscach.

– Problem z teologią wprowadzającą w błąd narasta ostatnio w Afryce – przyznaje jednak w rozmowie z „Tygodnikiem” Felix Joseph Samari, odpowiedzialny za komunikację w Luteranckim Kościele Chrystusowym w Nigerii. – Trudno jest zmierzyć skalę wzrostu zwodniczej teologii w Afryce, ale z pewnością w ostatnim okresie bardzo się ona nasiliła. Największy problem dotyczy miejsc o większej koncentracji chrześcijan, takich jak Kenia, Nigeria, RPA.



Samari podkreśla, że problem jest „skomplikowany i wielowątkowy” i choć brzmi to jak komentarz wytrawnego polityka, który nie chce podać szczegółów, to sprawa rzeczywiście nie jest prosta.

– Głównymi motorami są ubóstwo i przesady. Wiele osób jest wprowadzanych w błąd, bo chcą wierzyć, że mogą zakończyć swoją nędzę robiąc pewne rzeczy. Inni z obawy przed czarami i wyimaginowanymi wrogami uciekają się do kłamstw zwodniczej teologii. Sekty pokazują moc i zmyślają historie. Niektóre z nich zaczynają od udostępniania zachęt dla nowych członków, jak zakwaterowanie i nakarmienie – mówi Samari.

Płynność religijna

Ojciec Stanisław Grodz, werbista, religioznawca, autor wielu publikacji o religiach w Afryce, zaznacza, że działalność takich grup nie jest ograniczona tylko do Afryki, bo znamy podobne przypadki z USA, Korei, Japonii czy Europy. Także



Samozwańczy pastor Paul Nthenge Mackenzie (w środku) na sali sądowej w Malindi, Kenia, 2 maja 2023 r.

stępuje splot wydarzeń, który sprawia, że ludzie szukając tego sensu wpadają w sidła manipulacji, z których trudno się wyrwać. Później mechanizm jest podobny do tego obserwowanego u osób uczestniczących w piramidach finansowych. W pewnym momencie człowiek orientuje się, że popełnił błąd, i ma dwa wyjścia – przyznać się do tego i wycofać albo brnąć dalej – tłumaczy o. Stanisław Grodź.

Praca u podstaw

Ojciec Grodź wciąż podkreśla, żeby nie utożsamiać afrykańskiej religijności z „duchowymi zbrodniarzami”. Afryka jest miejscem, w którym bije puls chrześcijańskiego świata. Dotyczy to tradycyjnych Kościołów różnych wyznań.

Przykład? Zgodnie ze statystykami Światowej Federacji Luterńskiej zrzeszającej 149 Kościołów z 99 krajów, luteranie nadal stanowią najwyższy odsetek w społeczeństwach w krajach nordyckich, a państwem z największą liczbą luteran (należących do różnych Kościołów lądowych) są Niemcy – jednak największym Kościołem luteranskim na świecie jest Etiopski Kościół Ewangelicki Mekane Yesus, do którego należy ponad 10 mln osób. W rozmowach z chrześcijańskimi działaczami z Afryki można usłyszeć żart, że niedługo zaczną wysyłać misjonarzy do Europy.

– Afrykańska religijność jest cudowna ze względu na różnorodność – przekonuje o. Grodź. – W naszym kręgu kulturowym pozamykaliśmy się w religijnych ramach, a tam jest płynność. Religia musi mieć wymiar praktyczny, co oznacza, że duchowość i wiara mają wpływ na codzienność, relacje z innymi ludźmi. To nie jest wiara teoretyczna, ale praktyczna, która działa choćby w ten sposób, że wprowadza harmonię w życie, zgodę pomiędzy ludźmi i uczy, jak dobrze żyć.

Po pierwsze edukacja

– Zwodnicze teologie są wyzwaniem dla tradycyjnych Kościołów, choć zarazem impulsem do tego, żeby pracować

w Ameryce Południowej jak grzyby po deszczu powstają mega-Kościoły przyciągające ludzi tzw. teologią sukcesu, zgodnie z którą miarą błogosławieństwa Boga jest grubość portfela.

Zbawienie i powodzenie można oczywiście kupić w Kościele, korzystając z płatnych kursów, doradztwa i dzieląc się swoim majątkiem. Jest jednak, a właściwie zdarza się, jedno „ale”, które sprawia, że zbiorowe mogiły są teraz odkrywane w Kenii.

– Tego typu fanatycy religijni trafiają w Afryce na podatny grunt, bo kwestia dobrego życia jest tu na pierwszym planie. Ludzie są mamieni ofertą, która ma być zrealizowana tu i teraz, a rozumiana jest jako zdrowie, dostatek i zapewnienie ciągłości rodzinnej, czyli pewnego rodzaju wiara w zbiorową nieśmiertelność – mówi o. Grodź.

Pogrążeni w ubóstwie, bezsilności i bezsensowności życia ludzie szukają odpowiedzi. W tym miejscu pojawiają się „duchowi terroryści”, którzy przeko-

nują wiernych, że znaleźli odpowiedzi na trapiące ich problemy. Kto wygrywa wyścig o ludzkie dusze, przyciąga do siebie tłumy.

– W Afryce możliwość tworzenia grup religijnych jest niczym nieograniczona – analizuje werbista. – Nikt nie ma tam monopolu religijnego. Coś takiego miały może religie lokalne, skoncentrowane na życiu plemiennym, ale po zderzeniu z zachodnim światem i pojawieniu się tzw. światowych religii możliwości są prawie nieograniczone. Każdy może założyć religijną grupę i jeśli przyciągnie do siebie ludzi – a zapotrzebowanie jest duże – będzie działał jako pastor/prorok/uzdrowiciel.

Jak ochronić ludzi? Jak regulować religijne relacje, żeby nie stały się toksyczne i zabójcze?

– Nie mam na to odpowiedzi, bo to jest problem, z którym wszyscy się zmagają. Myślę, że ludzie wchodzą w różne religijne grupy, bo sednem są podstawowe pytania o sens życia doczesnego i wiecznego. W niektórych przypadkach na-

SIMON MAINA / AFP / EAST NEWS

→ nad lepszą edukacją teologiczną skierowaną nie tylko do pastorów i pastorek, ale również do szerszych grup wiernych, szczególnie tych, którzy są zaangażowani w różnej formie w życie Kościoła – uważa prof. Jerzy Sojka, wykładowca Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie i członek Rady Światowej Federacji Luterńskiej.

Zagrożenia związane z religijnymi, duchowymi fake newsami, zwodniczą teologią i koniecznością dbania o solidne przygotowanie teologiczne będą zresztą jednym z tematów podejmowanych podczas zbliżającego się Zgromadzenia Ogólnego Światowej Federacji Luterńskiej, które we wrześniu odbędzie się w Krakowie. Delegaci ze wszystkich Kościołów członkowskich, w tym duża grupa z afrykańskich Kościołów, będą szukać sposobów na ochronę wiernych przed „fałszywymi prorokami” naszych czasów.

– W materiałach przygotowanych na Zgromadzenie Ogólne znajduje się lista diagnoz dla świata, w którym żyjemy. Zwodnicze teologie są tam określone jako istotne zagrożenie, któremu należy przeciwdziałać. ŚFL stara się to robić wspierając wspólną refleksję teologiczną Kościołów luterńskich, a także inwestując w dobrą edukację teologiczną członków poszczególnych Kościołów luterńskich. Może to zabrzmieć banalnie, ale odpowiedzią na złą, zwodzącą teologię musi być dobra teologia. Dobra, a więc znająca istotę swojego przesłania, zdolna do tego, by wyrażać ją w sposób zrozumiały i adekwatny w danym kontekście – podkreśla prof. Sojka.

Dobra teologia, niezależnie od tego, w obrębie jakiego wyznania jest uprawiana i w jakim rejonie świata, musi posiadać krytyczne narzędzia do oceny rzeczywistości i nie może bać się używania ich w celu zapewnienia bezpieczeństwa wiernych.

Kanały złej nowiny

Policja formalnie nie łączy obu spraw, choć bada relacje Ezekiele Odera z Mackenzie'em Nthenge. Oba przypadki pokazują jednak, że władze nie stworzyły skutecznego narzędzia ochrony obywateli przed niebezpiecznymi sektami. BBC odkryła setki kazań pastora Nthenge, które nadal dostępne są w sieci, a część wydaje się nagranych

w okresie, w którym Kościół miał już nie funkcjonować.

„Pełen pasji, chrapliwym głosem pastor wygłasza kazania do dużych zbiorów, zniewolony swoimi apokaliptycznymi tematami” – relacjonują reporterzy BBC, którzy przeanalizowali materiały. Podkreślają, że w dziesiątkach filmów nie ma bezpośrednich dowodów na to, że Nthenge wprost nakazywał ludziom post, ale jest wiele odniesień do poświęcenia tego, co jest im drogie, w tym życia. W wywiadzie udzielonym gazecie „Kenyan Nation” kaznodzieja zaprzecza, że zmuszał swoich wyznawców do postu. Kenijskie media donoszą jednak, że część jego zwolenników ciągle przebywała na terenie zajmowanym kiedyś przez Kościół. Zmarli w drodze do szpitala lub odmawiali przyjmowania jedzenia i leków.

„Kanały, które BBC zgłosiła do YouTube po aresztowaniu pastora Nthenge, pozostają aktywne. BBC zaobserwowała na kanałach kilka monetizowanych filmów, co oznacza, że YouTube zarabia na filmach za pośrednictwem reklam online” – czytamy w reportażu korporacji opublikowanym w sieci na początku maja. BBC poprosiła o komentarz koncern Google, do którego należy YouTube, i Metę, kontrolującą Facebooka, który również był używany do promocji kazań duchownego. Firmy nie odpowiedziały.

Ekumeniczna jedność

Katolicka Agencja Informacyjna podaje, że w Kenii istnieje ponad 4 tys. oficjalnie zarejestrowanych Kościołów i związków wyznaniowych, a chrześcijanie stanowią 85 proc. z 53 mln mieszkańców. Uregulowania działalności grup religijnych domagają się we wspólnym oświadczeniu: Krajowa Rada Kościołów, do której należą największe Kościoły różnych wyznań protestanckich, Konferencja Biskupów Katolickich i Najwyższa Rada Muzułmańska Regionu Północnego Rowu.

– Tradycyjne Kościoły różnych wyznań ciężko pracują, aby podnieść świadomość w dziedzinie zwodniczej teologii. To samo robią organizacje kontynentalne, takie jak wszystkie afrykańskie konferencje Kościołów – mówi Felix Joseph Samari.

Tylko czy to wystarczy?

© ŁUKASZ OSTRUSZKA

Nasz czas

SALLY AZAR,
PIERWSZA PALESTYŃSKA PASTORKA
W ZIEMI ŚWIĘTEJ:

Kobiety w społeczeństwie tak naprawdę nie są dostrzegane, nie słucha się za bardzo tego, co mówią. Rola kobiet w Kościele i rola kobiet-duchownych musi być coraz bardziej doceniana.

ZUZANNA RADZIK: Po ordynacji stałaś się światową sensacją: pierwsza kobieta palestyńską pastorką w Jerozolimie! Jak rozumiesz to zainteresowanie?

SALLY AZAR: Jestem szczęśliwa, że ta wiadomość obiegła świat, choć zupełnie się tego nie spodziewałam. To na pewno efekt związków naszego Kościoła z Kościołami w Niemczech, USA i Norwegii, wszędzie w Europie i na całym świecie. Cieszę się, bo wiem, że w wielu Kościołach nie ma jeszcze ordynacji kobiet na księży. Mogliśmy wpłynąć na świadomość i zrobić ten krok również tutaj, a przez to przyczynić się do postępu w sprawach kobiet na całym świecie.

A w skali lokalnej?

To duży krok dla Palestyńczyków i palestyńskich kobiet, nie tylko w chrześcijańskich kościołach. Okazało się to ważne także dla Izraelek i Żydówek, np. dla żydowskich rabinek, które mi gratulowały i przysłyły na ordynację. To mi pokazało, jak bardzo jako kobiety jesteśmy razem, także w wymiarze religijnym.

A dla palestyńskich chrześcijan?

Spotkałam się z dobrym przyjęciem przez wielu Palestyńczyków, nawet tych z Kościołów, które były i są przeciwne ordynacji kobiet. To wzbudziło pytania wśród kobiet w tych Kościołach – jak to możliwe? Wcześniej nie



widziały kobiet jako religijnych liderek ani u siebie, ani u nas.

Czy wszystkie reakcje są pozytywne?

Gratulacje i wsparcie pomogły mi przykryć negatywne reakcje ludzi, którzy są przeciwni temu, by kobiety przewodziły wspólnotom. Wiem, że dla wielu jest to trudne i minie trochę czasu, zanim się przyzwyczają. Teraz wiedzą, że jest to stanowisko Kościołów luterkańskich od wielu lat, obecnie w końcu wprowadzone w życie.

Jak przygotowaliście Kościół do takiej zmiany?

Zmiana zwykle wiąże się z pewnym napięciem. Kiedy 12 lat temu nasz Kościół zdecydował się na ordynowanie kobiet, byłam jeszcze przed studiami. Wiele innych kobiet studiowało wtedy teologię, ale albo to nic nie zmieniało w ich życiu, albo z różnych powodów nie dochodziło do ordynacji. Myślę, że wspólnota nie była wystarczająco zaznajomiona z tym tematem. Ale w ostatnich latach wielu pastorów zaczęło głośno mówić o ordynacji kobiet. Nasze biuro ds. sprawiedliwości płciowej (*gender justice*) intensywnie współpracowało z biskupem. Dyrektorka biura koordynowała wiele działań i rozmawiała z kobietami i mężczyznami

o równości płci. A potem rozmawialiśmy także o ordynacji kobiet. Jeden z pastorów przygotował książkę o przywództwie kobiet w Biblii.

Ta książka również była częścią przygotowań?

Tak, zdecydowanie, ponieważ ordynacja to krok, który miał nastąpić. Rola kobiet w Kościele i rola kobiet-pastorów musi być coraz bardziej doceniana. Praca przygotowawcza została wykonana przez wiele rozmów, kazań, rytuałów. Na pewno nie jest tak, że sto procent wiernych się z tym zgadza. Jednak decyzja została podjęta przez Kościół i zatwierdzona przez lokalny synod, więc nie jest to coś, czemu mogą powiedzieć „nie”. Tu nie chodzi o to, żeby walczyć o samą sprawę ordynacji, bo ona jest przyjęta przez Kościół, ale bardziej o to, żeby znaleźć dobry sposób wprowadzenia jej w życie.

Będiesz teraz częścią jerozolimskiego duchowieństwa, jedyną kobietą wśród księży z bardziej tradycyjnych Kościołów. Czego się spodziewasz?

Na razie nie uczestniczyłam w wielu wydarzeniach. Wiem, że spotkałam się z dużym sprzeciwem ze strony Kościołów prawosławnych, i niektóre powie-

SALLY AZAR jest absolwentką teologii międzykulturowej w Getyndze, w styczniu 2023 r. została ordynowana w Kościele Ewangelicko-Luterańskim w Jordanii i Ziemi Świętej. Wspólnota liczy ok. 3 tys. osób.

działy, że już z nami nie rozmawiają. Rozumiem, że tego nie popierają, ale chodzi przecież o szacunek i o uznanie faktu, że w Kościołach luterkańskich są pastorki. My również jesteśmy tu Kościołem. Natomiast wiem, że mam wsparcie od wszystkich naszych pastorów i biskupa.

Dorastałaś jako córka pastora, który potem został biskupem, ale to chyba jeszcze samo w sobie nie sprawia, że kobieta chce zostać liderką. Jerozolima tworzy dość patriarchalny kontekst religijny – może z wyjątkiem kilku rabinek.

Szczerze mówiąc o rabinkach dowiedziałam się dopiero, gdy przyszedł na moją ordynację. Widziałam pastorki, ale również nie tu, w Izraelu, tylko za granicą. Kiedy dorastałam, uczestniczyłam w wielu programach wymiany. I to była pewnego rodzaju inspiracja. Zaczęłam się zastanawiać: dlaczego kobiety w tej sferze są u nas nieobecne? Pomyślałam, że to jest coś, co mogę do Kościoła wnieść. Mam nadzieję, że coraz więcej kobiet jest dzisiaj zachęcanych do studiowania teologii, aby podążać tą drogą.

Nie chodzi mi nawet o to, że jestem kobietą pastorem, tylko że jestem po prostu kobietą. Widzę, że generalnie kobiety w społeczeństwie tak naprawdę nie są dostrzegane. I nigdy nie słucha się za bardzo tego, co mówią. Trzeba mieć świadomość tej niewidzialności kobiet.

Na początku stycznia czytaliśmy w mediach o profanacji cmentarza protestanckiego na górze Syjon. Jakie są największe wyzwania stojące przed społecznością, której służysz?

Polityka dotyka naszego Kościoła. I to jest trudne. Wiele osób po prostu wyjeżdża z kraju. Inni pytają: gdzie jest Bóg? Jak Żydzi mogą mówić, że są narodem wybranym? A co z nami? Dlaczego cierpimy? Trzeba wyjaśnić, że judaizm jako

→ religia jest inny niż państwo Izrael. Jest jednym z wyzwań: jak rozmawiać tutaj z wierzącymi, odnosząc się do tego, czego doświadczają podczas izraelskiej okupacji, z czym spotykają się w swoim codziennym życiu? Zastanawiamy się, jak możemy kochać siebie nawzajem w tym kontekście.

To staje się codziennym pytaniem?

Właśnie teraz się z tym mierzę. Do tego dochodzą wyzwania związane z tym, jak palestyńscy chrześcijanie mają współpracować, ponieważ działa tutaj 13 różnych Kościołów. Mam nadzieję, że ekumeniczna współpraca nie zostanie zatrzymana z powodu ordynacji kobiet u luteranów... Ale już samo bycie chrześcijanami palestyńskimi zbliża nas do siebie. Jako chrześcijanie jesteśmy atakowani z wielu różnych stron, również przez żydowskich ekstremistów, radykalnych Izraelczyków. Z tej stałej presji wynikają kwestie egzystencjalne: Jak mamy tu funkcjonować? Czy zostaną tu jeszcze jacyś chrześcijanie, skoro tyle osób wyjeżdża?

Spędziłaś kilka lat za granicą, najpierw w Libanie, potem w Niemczech. Jak się czułaś jako palestyńska chrześcijanka, rozmawiając z członkami Kościołów, których wrażliwość jest ukształtowana przez relacje z Żydami po Holokauście i wiekach antysemityzmu?

To był często problem. Zawsze gdy przedstawiając się, mówiłam, że pochodzę z Jerozolimy, ludzie reagowali: „O, Izrael”. A ja musiałam tłumaczyć: „Nie, Palestyna”. A oni pytali: „Ale czy Jerozolima nie jest częścią Izraela?”. Musiałam wyjaśniać: „Jest podzielona między Palestynę a Izrael”. Ludzie zapominają, że w Jerozolimie są również Palestyńczycy, a wśród nich chrześcijanie. Nie są świadomi, jak skomplikowana jest nasza sytuacja. Wielu nie ma odwagi przyjechać do Izraela, a nawet jeśli się na to zdobyli, nie odważyliby się przejść przez mur, by udać się do Betlejem. Skoro oni są przeciwko niesprawiedliwości, to co z tą, która się dzieje tutaj? To, co dzieje się teraz, tutaj, również tworzy historię.

© Rozmawiała ZUZANNA RADZIK



GRAŻYNA MAKARA

Książd Adam Boniecki, Kraków, wrzesień 2021 r.

Przepis na dobre życie

MACIEJ MÜLLER

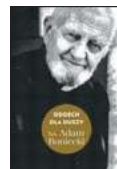
„Jeśli masz okazję wyjątkowego spotkania i ciekawej rozmowy, nigdy jej nie marnuj” – radzi ks. Adam Boniecki na kartach nowej książki.

JEŚLI PYTASZ O MÓJ OPTYMIZM CZY BRAK zgorzknienia, to myślę, że jednym ze źródeł jest nieustanna praca z ludźmi. Nie zamknąłem się w celi, nie zacząłem narzekać na charaktery ludzkie, na grzeszność i marność żywota”. Kilku-godzinne spotkanie z ks. Adamem Bonieckim, które można sobie zapewnić dzięki jego najnowszej książce, to istotnie „Oddech dla duszy”. Pozwala ona nie tylko zrozumieć jego spojrzenie na Kościół czy Polskę; najcenniejsze jest to, że ten wybór tekstów (w tym niepublikowanych) pokazuje, w jaki sposób autor patrzy na świat.

Co ks. Boniecki dostrzega w ludziach i co zapamiętuje na ich temat? Na przykład że „Tischner był człowiekiem, który nawet przez samą swoją obecność, a jeśli było trzeba, przez rozmowy rozładowywał napięcie i przywracał proporcje różnym sprawom. I robił to znakomicie”. Annę Turowiczową – żonę Jerzego Turowicza – ks. Adam spytał kiedyś, dlaczego nie wyłączy telefonu, skoro jego odbieranie przeszkadza jej w pracy nad tłumaczeniem. „Bo zawsze może to być telefon przyjemny” – odpowiedziała. Z przecha-

dzek z ks. Bronisławem Bozowskim – niezwykłą postacią warszawskiego Kościoła – zapamiętał, że miał on „zwyczaj zatrzymywać się nagle i podsumowując jakiś fragment rozmowy, powtarzać w zamyśleniu, z zachwytem: »Widzisz, jaki Pan Bóg jest dobry. Widzisz, ile dobra jest w ludziach«”.

„Jeśli masz okazję wyjątkowego spotkania i ciekawej rozmowy, nigdy jej nie marnuj” – radzi ks. Adam na kartach tej książki. A w rachunku sumienia (który nie bez powodu nabył statusu tekstu kultowego) przedstawia przepis na dobre życie: „Naucz się patrzeć swemu życiu w twarz. Naucz się widzieć, gdzie leży główna linia jego walki, gdzie leży waga jego świadectwa. Naucz się widzieć, kim jesteś i dokąd dążysz w swym życiu, i porównywać ten obraz z rolą, którą wyznał ci Bóg w swoim planie miłości”. ©©



Ks. Adam Boniecki
ODDECH DLA DUSZY
Wydawnictwo Harde,
Tygodnik Powszechny,
Warszawa 2023

ZUZANNA

Radzik:

Nie wierzgaj, katoliczko



NIE ZA BARDZO WIEM, KIM JEST KATE HUDSON, ale wiem już, że jej własny brat jęknął w socialach „Jezu, Kate, nie!” na widok jej ciała w bikini. Faktycznie, ciało tej zgrabnej 44-letniej aktorki zdecydowanie trzeba schować przed światem. Wygląda jak człowiek, bez retuszu, normalnie niby – choć mieści się ciasno w tym, co przyjęte przez świat, jeśli chodzi o rozmiary – i jest po prostu klasycznie piękna. Ale odpadła w kategorii wiekowej. Już nie jesteś Kate taka jędrna, więc nie strasz, schowaj się za filtry, żebyśmy mogli myśleć, że nikt się nigdy nie starzeje, że ciało się nie zmienia.

Nie żeby mnie tak bardzo przejmowały hollywoodzkie aktorki, ale już cielesność kobiet tak, bo ciężko jest uciec przed tym, że zawsze skądś napiera jakaś ideologia, która czegoś chce: przykryć, odstłonić, zmniejszyć, zakazać, zawstydzić, kontrolować. Mimo licznych dyskusji i prywatnych sposobów nawigowania po tych wodach otwierasz w pociągu gazetę, a tam kopniak w kostkę: jeśli Kate Hudson nie może się pokazać bez filtra, to co dopiero ty?

Dużo mnie kosztuje to, żeby mnie takie kopniaki nie obchodziły. Mówię więc sobie: nie robi to na mnie wrażenia – i liczę, że zadziała. Niezwracanie uwagi na to, co ludziom robi twoje ciało, to praca na życie. Iść przez świat i nie patrzeć, czy zachwyca, czy obrzydza, tylko czuć się z sobą dobrze – to nie jest oczywista rzecz dla osoby socjalizowanej jako kobieta. I niestety pewnie prędko nie będzie. Za dużo wokół pułapek, komercyjnych i ideologicznych.

Myślę o Kate Hudson i jej zdjęciach w bikini w pociągu, w drodze na konferencję o kobiecej cielesności w religiach na

szacownym wydziale teologicznym sąsiedniego miasta. Wniosek jest oczywisty: w religiach z cielesnością kobiet nie jest lepiej. Więcej nawet: jest źle, bo przekonania na temat cielesności ubierają się tu w dumne szaty, cytując Biblię strofują ciała kobiet, dyscyplinują w imię przynależności do wspólnoty lub straszą wiecznymi konsekwencjami.

W tym samym pociągu czytam dalej. Znów o kontroli kobiecego ciała, ale teraz wieje grozą. Czytam o Dorocie zmarłej w szpitalu w Nowym Targu i długo nie mogę dojść do siebie. Boję się, tak, zwyczajnie zapiera mi dech. Bo przypominam sobie, że bać się powinnam codziennie. Boję się o wszystkie przyjaciółki, koleżanki i nieznajome, które będą w Polsce w ciąży. Powtarza się we mnie skurcz strachu, który kazał wychodzić na ulicę już tyle razy. A potem znosić drwiny konserwatywnych katolickich kolegów, słyszeć, że ktoś mnie nie będzie słuchał, bo widział, że byłem na proteście. Udać, że nic się nie dzieje, gdy do parafii, w której mam mieć spotkanie, dzwonią telefony i przychodzą gniewne listy, bo organizuje spotkanie z aborcjonistką. A ja tylko się boję i, jak widać, mam powody. Najwyraźniej dyscyplinowanie i straszenie konsekwencjami działa również wtedy, gdy stajemy w obronie swoich ciał. Gdy wrzeszczymy: nie zgadzam się, nie ufam wam, nie jestem bezpieczna w świecie, który urządziliście. A ktoś mówi: ty, katoliczka, wierzgasz mi tu? Krzyż, męczeństwo, poświęcenie. Czy nie o tym jest i kobiecość, i chrześcijaństwo? Stworzyliśmy ci Polskę, w której ani się obejrzysz, możesz zostać męczennicą za naszą wiarę. Tak jak Izabela z Pszczyny, Agnieszka z Częstochowy, a teraz Dorota.

Tu już nie chodzi o sam język, narracje, symbole czy teologię, tylko o ich biologiczne konsekwencje. Śmierć. Śmierć, która zaskakuje, bo życie kobiety można zaryzykować bez pytania jej o zdanie. Wysiadam z pociągu i słucham potem cały dzień na konferencji o tym, jak teologowie więzili kobiece ciała swoimi wywodami i jak to trwa w naszej teologii, liturgiach, sakramentach. Bywa absurdalne, czasem śmieszne, innym razem niszczące i groźne. Oplata naszą religijność i sący się przez nią. Już wiem, że umiemy opowiedzieć sobie swoją wiarę tak, by zgadzała się z wyobrażeniami o porządku świata. Również tak, by torturowanie kobiet w Polsce było uzasadnione. ©

TP W KOLEJNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Pierwszy w tym roku

MAGAZYN CONRAD

A w nim:

- **O hasła i idei jubileuszowej 15. edycji Conrad Festival** opowiedzą dyrektor programowy Grzegorz Jankowicz i dyrektor artystyczny Michał Paweł Markowski
- **Sylwetki wybranych gości i gościń** przedstawią Aleksandra Lipczak, Karolina Rakowiecka-Asgari, Sylwia Chutnik, Tomasz Pindel i Małgorzata Szczurek



WAŻĄ SIĘ LOSY WOJNY

Być może historycy uznają kiedyś, że to, co się stało na tamie w Nowej Kachowce oraz na froncie w Nowodonecku, to symboliczny początek ukraińskiej kontrofensywy.

WOJCIECH PIĘCIAK

TYM RAZEM PIERWSI BYLI ROSJANIE. Od godzin przedpołudniowych w poniedziałek 5 czerwca rosyjskie źródła – na czele z ministerstwem obrony i państwową agencją informacyjną TASS – zaczęły rozpowszechniać komunikaty, których kolejne wersje z godziny na godzinę brzmiały coraz bardziej triumfalnie. Oto dzień wcześniej armia rosyjska miała odeprzeć „wielką ofensywę” ukraińską w okolicy wsi Nowodoneck w południowo-zachodniej części obwodu donieckiego – i zadać atakującym poważne straty.

Pod Nowodoneckiem...

Według finalnej z tych wersji atakujący mieli stracić aż półtora tysiąca żołnierzy (w wersji pierwszej było to trzystu „zniszczonych” Ukraińców) oraz prawie czterdzieści czołgów i bojowych wozów piechoty. Wśród zniszczonych maszyn miało być kilka leopardów („produkcji niemieckiej”, podkreślał komunikat) i czołg kołowy („produkcji francuskiej”). Upubliczniono też nagrania z dronów mających pokazywać zniszczenie kilku pojazdów.

Liczyby te brzmiały o tyle fantastycznie, że w innym miejscu podano, iż w owej „wielkiej ofensywie” uczestniczyć miało kilka ukraińskich batalionów zmechanizowanych i jeden batalion pancerny. Znaczyliby to zatem, że

atakujący zostali wybici niemal do nogi, tracąc też mniej więcej połowę sprzętu pancernego, jaki jest na wyposażeniu tyłu jednostek.

Strona ukraińska długo nie komentowała komunikatów z Moskwy. Dopiero po południu wiceminister obrony Hanna Malar powiedziała, że armia ukraińska przeszła do „działań ofensywnych”. Zaprzeczyła przy tym doniesieniom o wielkich stratach i zasugerowała, że punkt ciężkości owych działań ofensywnych jest zupełnie gdzie indziej – w okolicach Bachmutu.

W międzyczasie zaczęły pojawiać się informacje – podawane przez różne źródła – z których można było wnosić, że armia ukraińska faktycznie podjęła działania ofensywne i nawet odnosi pewne sukcesy, właśnie pod Nowodoneckiem. Czy za cenę takich właśnie (lub jednak mniejszych) strat? Tego nikt nie próbował nawet wyjaśniać – Ukraińcy od początku inwazji kierują się założeniem, by nie informować o własnych stratach ani nieudanych operacjach.

...i nad Dnieprem

Teraz pierwsi byli Ukraińcy. Od bardzo wczesnych godzin porannych we wtorek 6 czerwca źródła ukraińskie – na czele z kanałami w komunikatorze Telegram – podawały, że Rosjanie wysadzili tamę



i elektrownię wodną na Dnieprze w Nowej Kachowce.

Zbudowana w latach 50. XX w. tama i stojąca na niej elektrownia uchodziły za solidne (ekspertci twierdzą, że aby ją wysadzić, potrzebne były duże ilości materiałów wybuchowych). Zapewniały południowo-wschodniej Ukrainie prąd i stabilny dostęp do zasobów wodnych – południowe części obwodów donieckiego i zaporoskiego, a także obwód chersoński, Krym i region Odessy były przed inwazją zagłębem owocowo-warzywnym. Zbiornik Kachowski – liczący ponad



LIBKOS / AP / EAST NEWS

W zalanym Chersoniu, 8 czerwca 2023 r.

200 km długości i w niektórych miejscach szeroki na 20 km – był też ważny dla chłodzenia sześciu reaktorów Zaporoskiej Elektrowni Jądrowej, położonej ok. 150 km w górę rzeki od tamy.

Osiemnaście kilometrów sześciennych – taka ilość wody miała znajdować się w zbiorniku, zanim 6 czerwca około drugiej nad ranem czasu polskiego tama została wysadzona.

„Pamiętajmy o zwierzętach!”

Telegram do dziś chyba najbardziej popularne na Ukrainie źródło informacji. Za-

wdzięcza to prostocie i funkcjonalności – własne kanały mają w Telegramie nie tylko politycy i media, ale też władze niewielkich miejscowości.

Mieszkaniec Chersonia – miasta położonego nad Dnieprem, praktycznie na linii frontu, gdzie żyje wciąż kilkadziesiąt tysięcy ludzi – może korzystać z kilku kanałów, w tym administracji, na których informowany jest o wszystkim, co ważne, także o alarmie przeciwlotniczym.

Kiedyś taką funkcję pełniły lokalne radia czy telewizje – dziś można być na bie-

żąc, mając smartfon, który sygnalizuje powiadomienia z Telegrama.

Tego dnia od świtu smartfony mieszkańców miast, miasteczek i wsi wzdłuż Dniepru brzęczały nieustannie. Informowały, jak szybko podnosi się stan wody, jakie działania podejmuje władza. A gdy sytuacja była krytyczna, gdzie podstawiane są samochody mające ewakuować mieszkańców danej wsi. Komunikaty były krótkie, bez zbędnych emocji: „Zbiórka koło cmentarza!”. „Jeśli nie możemy zabrać zwierząt, pamiętajmy, żeby je wypuścić. Dajmy im szansę przeżycia!”. ➔

→ Wkrótce na naddnieprzańskich kanałach Telegrama zaczęły pojawiać się nagrania: woda zalewająca kolejne miejscowości i ludzie opuszczający swoje wsie. Spiętrzona fala Dniepru zalała niżej położoną część Chersonia. Pojawiły się też zdjęcia i nagrania uciekających zwierząt leśnych.

Kto i dlaczego?

Strona ukraińska od początku twierdzi, że tamę wysadzili Rosjanie; prezydent Zełenski mówił o kolejnej zbrodni wojennej Kremla. Kanclerz Niemiec Olaf Scholz nazwał wysadzenie tamy „nowym wymiarem” tej wojny – nie pozostawiając wątpliwości, że wpisuje się to w dotychczasowy rosyjski *modus operandi*.

Strona rosyjska (Kreml, TASS, ministerstwo obrony) twierdzi z kolei, że za wysadzenie odpowiadają Ukraińcy – miałby to być ich „akt dywersji”. Warto zwrócić uwagę na ten dobór słów: Moskwa nie mówiła np. o ataku rakietowym – to byłoby weryfikowalne – lecz o dywersji. Tymczasem jak taka dywersja mogłaby wyglądać? Do wyobrażenia byłby chyba tylko jeden scenariusz: ukraińscy dywersanci dostają się na tamę i detonują założone na niej przez Rosjan jeszcze w 2022 r. ładunki (bo fizycznie niemożliwe byłoby, aby przynieśli ze sobą setki ton trotylu). Mimo to w rosyjskiej przestrzeni publicznej nikt nie ubolewał nad takim niewątpliwym blamażem.

Wprawdzie fala powodziowa dotyczy bardziej miejscowości na lewym brzegu Dniepru – tego okupowanego przez Rosjan; tereny te są położone niżej niż na prawym brzegu – ale trudno powiedzieć, co Ukraińcy mieliby zyskać na wysadzeniu tamy. Są natomiast powody, dla których interes w tym mają Rosjanie. Pierwszy i najważniejszy: miałaby to być reakcja na coraz bardziej intensywnie ukraińskie działania ofensywne.

Reakcja – według jednych – wynikała z paniki, by utrudnić Ukraińcom atak przez Dniepr w kierunku Krymu. Prowadzone tam wcześniej przez armię ukraińską akcje dywersyjno-rozpoznawcze doprowadziły do zajęcia szeregu wysp i wysepek, licznych na tym odcinku rozlanego Dniepru, który powoli zbliża się do Morza Czarnego – teraz znalazły się one pod wodą.

Reakcja – według innych – nie dyktowana paniką, lecz wykalkulowana

Wiele wskazuje na to, że ukraińska kontrofensywa trwa od jakiegoś czasu.

Tylko nie zaczęła się
**w taki sposób, jak być może
ją sobie wyobrażaliśmy.**

(i ignorująca własne koszty): według tej interpretacji wysadzenie tamy byłoby rodzajem „odpowiedzi asymetrycznej”, działaniem niespodziewanym, mającym wywołać po stronie ukraińskiej chaos, destrukcyjnym – i być może będącym też sygnałem dla Ukrainy i Zachodu: patrzcie, do czego jesteśmy zdolni. W tym sensie komentarz mówiący o „nowym wymiarze” tej wojny – uderzającym przede wszystkim w cywilów, a także w środowisko – wydaje się trafny.

Tylko czy Rosjanie rzeczywiście czują się słabi, że sięgają po takie środki? Albo czego aż tak się boją?

Mgła kontrofensywy

Historycy piszący o dawnych konfliktach używali określenia „mgła wojny” – opisywało chaos, w jakim poruszali się i walczący w linii, i ich dowódcy, którzy musieli podejmować decyzje na podstawie informacji tak opóźnionych, że często nieaktualnych. Dziś żołnierze w linii „widzą” więcej (dosłownie: za sprawą powszechnie używanych dronów), a ich dowódcy mogą na bieżąco śledzić przebieg działań i podejmować decyzje.

Jednak pojęcie „mgła wojny” nadal jest aktualne. Tyle że znaczy coś innego: dziś „mgła wojny” to jakby „mgła informacyjna”, wytwarzana celowo (przez obie strony) zarówno dla mylenia przeciwnika, jak też utrzymania kontroli nad przekazem do własnych społeczeństw i do innych państw. Taką „mgłę” – „mgłę kontrofensywy” – stworzyła strona ukraińska. Początkowo, jak się zdaje, miała dawać nadzieję w ciężkich zimowych miesiącach, gdy rosyjskie ataki na infrastrukturę krytyczną szły w parze z ponurymi doniesieniami o własnych ofiarach pod Bachmutem.

Z czasem, gdy nastały ciepłe dni i zima już podeszła, ale spodziewane wielkie kontruderzenie wciąż nie następo-

wało, dało się odczuć – także w krajach zachodnich – jakby narastające znużenie tym tematem, trochę nawet rozczarowanie. W pewnym momencie ukraińscy politycy i wojskowi zaczęli otwierać „wentyl bezpieczeństwa”, jakby chcieli dać ujście narastającej presji (którą sami stworzyli), studząc oczekiwania.

Kumulacja i synergia

Mniej więcej od połowy maja – odkąd siły ukraińskie odniosły lokalne sukcesy w okolicy Bachmutu – w przekazach Kijowa temat kontrofensywy wrócił i od tam narasta. Wciąż jednak w tak „mglisty” sposób, że można było odnieść wrażenie, iż władze Ukrainy ogłoszą oficjalnie, że kontrofensywa nastąpiła, dopiero wtedy, gdy będą mieć już pewność, iż odnosi ona sukces.

Inaczej niż wcześniej, gdy o kontrofensywie tylko mówiono, teraz na froncie zaczęło dziać się coraz więcej. Były tu więc kolejne ataki na rosyjską logistykę na zapleczu frontu, także przy użyciu nowych rakiet dalszego zasięgu. Były coraz intensywniejsze ataki przy użyciu dronów na cele w Rosji, z Moskwą włącznie (wyrzadzane przez nie szkody były niewielkie, ale miały znaczenie polityczne: pokazują słabość Rosji).

Dalej: przeprowadzony w ostatniej dekadzie maja spektakularny rajd na przygraniczne tereny Federacji Rosyjskiej – w wykonaniu „białych” Rosjan z jednostek ochotniczych, walczących przeciw reżimowi Putina – okazał się nie pojedynczym incydentem, lecz początkiem serii podobnych akcji. Choć z wojskowego punktu widzenia są one ograniczone w skutkach, mają duży wymiar polityczno-psychologiczny i tworzą wrażenie, że strona ukraińska testuje także rosyjską obronę (i może nawet rozważać atak np. na Białgorod, Woroneż czy Kursk).

Być może historycy uznają więc kiedyś, że to, co w pierwszych dniach czerwca stało się w tych dwóch miejscach – w Nowodonecku oraz na tamie w Nowej Kachowce – to symboliczny początek ukraińskiej kontrofensywy.

Symboliczny, gdyż wiele wskazuje, że ta kontrofensywa trwa już od jakiegoś czasu. Tyle tylko, że nie zaczęła się w taki sposób, w jaki być może wyobrażaliśmy sobie jej początek, mając w pamięci filmy o II wojnie światowej. Nie było wielkiej

nawały artyleryjskiej, po której do frontalnego ataku ruszają kolumny pancerne wsparte piechotą, by przełamać pozycję wroga. Zamiast tego była (jest) kumulacja i synergia wielu różnych działań, na wielu różnych poziomach.

Zaczęło się

W tym także na poziomie, który można by nazwać klasycznym, w którym główną rolę odgrywają czołgi, artyleria i piechota.

Od wielu już dni armia ukraińska prowadzi bowiem operacje lądowe, w języku wojskowych nazywane „rozpoznanie bojem”: to lokalne ataki na różnych odcinkach frontu, których celem jest rozpoznanie słabych punktów w rosyjskiej obronie, a także tworzenie wrażenia, że decydujące uderzenie – to przełamujące – może nastąpić w wielu różnych miejscach (w efekcie wróg musi rozpraszać swoje siły). Sądząc po dostępnych źródłach, punkty ciężkości tych ataków leżały głównie w obwodzie donieckim i zaporoskim.

Nie można było zresztą wykluczyć i takiej sytuacji, że armia ukraińska zgromadziła na froncie i jego zapleczu tak duże siły, kompletowane, dozbrajane i szkolone przez ostatnie miesiące, iż może sobie pozwolić na uderzenie nie na jednym, ale na kilku kierunkach. Albo też na symulowanie poważnego uderzenia w jednym miejscu po to, by faktycznie uderzyć w innym. Front jest długi, ma ponad tysiąc kilometrów, a jego ukształtowanie – wielki wygięty łuk – sprawia, że Ukraińcom łatwiej jest elastycznie reagować na pojawiające się możliwości i przerzucać rezerwy po wewnętrznych liniach tego łuku.

Niewykluczone zatem, że to, co stało się pod Nowodoneckiem – i co, według niepotwierdzonych przez Kijów doniesień, miało dziać się w kolejnych dniach na froncie południowo-wschodnim – to właśnie zwiad bojem. Takie rozpoznanie zwykle jest bardzo kosztowne – tak uczą klasycy literatury wojennej.

Podobnie jak fala powodziowa, która spływa Dnieprem. Wątpliwe jednak, by ona zatrzymała to, co – jak się wydaje – już ruszyło.

©© WOJCIECH PIĘCIAK

Tekst oddano do druku 9 czerwca.



W centrum miasta każdy budynek jest uszkodzony, Awdijiwka, maj 2023 r.

Wiosna przyszła do Awdijiwki

TEKST I ZDJĘCIA **ANTONINA PALARCZYK**
Z OBWODU DONIECKIEGO (WSCHODNIA UKRAINA)

Nie oglądając się na wojnę, rozszalała się, eksplodowała bezgłośnie zielenią i ciepłem. Tylko teraz trudniej dostrzec w trawie minę motylkową.

JESZCZE NIEDAWNO, W ŚRODKU ZIMY, przed jedną z kijowskich kawiarni zawisła tablica. Odliczano na niej dni, które pozostały do pierwszego dnia wiosny – wszystko w dobie ciągłych ataków rakietowych na infrastrukturę krytyczną, blackoutów i odcinania energii. Pod zamieszczonym na Twitterze zdjęciem tablicy ktoś z internetowych komentatorów napisał: „Zrozumieją tylko ci, którzy na co dzień mierzyli się z problemem ciemności i zimna”.

Ci, którzy jeszcze niedawno każdego dnia oczekiwali przyjscia wiosny, teraz oczekują wielkiej ofensywy.

WIOSNA TO LIŚCIE, a tutaj, w obwodzie donieckim, liście to lepsza ochrona.

Opuszczamy terenówkę schowaną pod kasztanowcem, obok zdemolowanego bloku. Z tego miejsca nietrudno

dojrzeć zakopany nieopodal w mokrej ziemi bojowy wóz piechoty BMP (na pierwszy rzut oka wyglądający jak czołg, bo z armatą). Pojazd ukryty jest w zaroślach przed wścibskim okiem dronów.

Nie ma na tej wojnie nic gorszego niż drony. Już drugi raz tego dnia przekonuje o tym jeden z żołnierzy, który właśnie wywleka z samochodu skrzynię z narzędziami. Wzdryga się: – Ani te ich sowieckie czołgi nie są tak groźne, ani nawet iskandery. Wiem, co mówię.

Chłopaki z ekipy remontowej szybko rozbierają się z ciężkich kamizelek, wystawiają twarze do słońca, nadstawiają uszu. Choć z oddali rozchodzi się huk artylerii, nad naszymi głowami słychać przede wszystkim rój owadów zamieszkujących krzaki, wśród których schował się teraz ich BMP.

→ – Patrz, jaka tu wiosna, chyba nie macie takiej w Polsce? – Serioha (to imię zmienne; wszyscy bohaterowie tego tekstu prosili o zmianę imienia) przeciąga się jak wielki kosmaty kocur i odkłada swój automat. – A są u was języki?

Małe czarne ptaszki czy może takie języki, które chodzą po ziemi?

– Te, które chodzą po ziemi. U nas jest ich mnóstwo! I jest pięknie, tyle zieleni. Chociaż w domu ładniej niż w tym Donbasie – rozczuła się Serioha, z którego ust słowo „język”, wypuszczone razem z kłębem dymu, brzmi jeszcze bardziej rozbrajająco.

Po ziemi rozrytej przez gąsienice pełnie jaszczurka, śliczna i zielona. Za nic ma ubłocone buty żołnierskie nad jej głową i klnącego jak furmana Sanię, któremu zapalniczka upadła w kępę trawy.

NIE OGLĄDAJĄC SIĘ na wojenne warunki, rozszalała się wiosna, eksplodowała bezgłośnie zielenią. Nie zapomniała nawet o tym opuszczonym osiedlu w obwodzie donieckim. Wiosną trudniej myśleć o umieraniu. Choć śmierć poniesiona w pełnym słońcu i bzowych zaroślach jest równie straszliwa jak ta zimowa, kiedy błoto zamarza skrzepami na muniurze i zamarzają palce podczas nerwowego zakładania stazy CAT powyżej parującej rany.

Za to trudniej zauważyć w trawie minę motylkową, często malowaną na przepyszenie zielony kolor. Jest mała, prawie jak złapany w dłonie motyl, więc za sprawą swoich rozmiarów największe żniwo zbiera wśród dzieci. One chętniej niż dorośli dają się skusić perspektywą pobuszowania w świeżej trawie.

Świeża trawa przykrywa całe polecie zimowych doświadczeń – porzucone przy drodze do medycznych punktów stabilizacyjnych folie ratunkowe i części muniurów, rozerwane sprawnym cięciem nożyc taktycznych.

Gdzieś na północy kraju wystające z czarnoziemu martwe czołgi są obsiewane równymi rzędami słoneczników.

BAZA NA TYŁACH to zaadaptowany zdemolowany budynek z oknami szczelnie zakrytymi czarną płachtą.

– Sąsiedzi chyba nie są zbyt zachwyceni, mając was tutaj? – pytam Rusika.

– Ściągamy większe ryzyko ostrzału – przyznaje Rusik.

Jednak nawet oni muszą gdzieś mieszkać i pracować. A cywile z okolicy przywykli przecież – i to nie w tym ani nie w zeszłym roku – do kręcących się pod ich płotami zmęczonych wojskowych.

Rusik mógłby być ich doskonałym uosobieniem. Twarz ma ogorzałą, nigdy ogoloną, za to zawsze z tłącym się papierosem przyklejonym do kącika ust. Smar i przydrożny pył wrosły w jego linie papilarne jak u górnika jednej z okolicznych kopalni (kopalnia jest pożyteczna, co trzy dni udajemy się tam pod zakładowy prysznic).

Rusik to taki wojak jak z amerykańskiej kreskówki sprzed niemal wieku o marynarzu Popeye’u – można sobie wyobrazić, jak łapie w palce lecący w jego stronę pocisk i czyści nim sobie zęby. Już mało co robi na tym człowieku wrażenie. Ociąga się za każdym razem, gdy Nikita, młodziutki oficer i dowódca rot [kompanii – red.], każe mu zakładać hełm. Wybuchu dudniącym śmiechem na sugestię, że jeśli nawet ani hełm, ani kamizelka kuloodporna nic nie pomagają w konfrontacji z ogniem artylerii, to może przynajmniej dają ciut komfortu psychicznego.

Już większy komfort mogłyby dawać plany na przyszłość po wojnie. – Cokolwiek, co odwraca myśli – powiada Rusik.

W bazie trwają przygotowania do rotacji kilku podkomendnych Nikity, którzy bronią pozycji na obrzeżach pobliskiej Awdijiwki. Rusik ma za zadanie zawieźć na front pięciu wypoczętych towarzyszy i wrócić z pięcioma wycofywanymi na odpoczynek. I samemu bezpiecznie wrócić, co również jest częścią zadania. Ze skupieniem dłubie w karabinie szturmowym, który spoczywa na stole pod mętną żarówką.

OSOBNYM TEMPEM toczy się równoległe życie po drugiej stronie folii, którą odgradzony jest warsztat, zastawiony skrzyniami amunicji. Dmitrij zbiera chętnych do wyjścia na ryby nad oddalone o kilka kilometrów jezioro. Chłopaki w niekompletnym umundurowaniu różnej maści i wzorów leżą na karimatach lub przed budynkiem i debatują nad metodą czyszczenia metalowych części ich grilla. Część przegląda TikToka, wyjątkowo popularnego wśród ukraińskich żołnierzy, niezależnie od wieku. Na chy-



boczącym się stoliku w trawie stoi plastikowa butelka z nieokreślonego koloru płynem, z której popija kilku zebranych wokół.

– A co mają robić chłopaki – mówi dalej Rusik. Odstawił swój automat i zabrał się za kompletowanie zestawu magazynków w kieszeniach na piersi. – Alkohol chociaż na chwilę przynosi uczucie zapomnienia, a to najbardziej pożądane tutaj uczucie. Co innego mamy? Wielu wciąż wierzy, że zostaną wzięci za świrów przez otoczenie, gdyby ze swoim problemami poszli do psychologa. Zresztą żadnego psychologa dla nas nie ma.

Z dala słychać pomruk – to idzie wiosenna burza. Zgadywanie niedoświadczonym uchem, czy słyszany z odległości huk to wystrzał naszych czy ostrzał ze strony Rosjan, ustępuje zastanawianiu się, czy to artyleria czy tylko grzmot piorunu.

Piątką wypoczętych wsiada do samochodu, odprowadzani światłem latarki w dłoni Nikity. – A co, mieliśmy się z nimi całować? – ze śmiechem powie potem Rusik, zapytany, co tak szybko mu poszło wykonanie kursu tam i z powrotem. Z lubością zrzuca z siebie całe żelastwo i chwyta zębami papierosa. – Ale niesłodko tam teraz chłopakom na pozycjach.



Po lewej: remont w prowizorycznych warunkach pojazdów pancernych jednej z brygad stacjonujących pod miastem. Obok: maj w Awdijiwce. Obwód doniecki, maj 2023 r.

BILANS KOLEJNYCH dwóch dni po rotacji przygniótł tych, którzy sprawiali wrażenie, że przywykli do każdych możliwych warunków. Dziewiąty rok wojny w kraju, półtora roku od mobilizacji – żaden okres, dłuższy czy krótszy, nie przyzwyczai do przyjmowania wieści o zabitym towarzyszku.

– Kto dwieście, kto trzysta? Ilu? – pyta Nikita, łącząc się radiowo z pozycjami.

Mimo prób zastąpienia tych określeń szlachetniejszymi – wszak pochodzą one jeszcze z żargonu „afgańców” i czasów wszystkich wojen prowadzonych przez sowieckie/rosyjskie imperium – są one wciąż stosowane na całej długości frontu. „Ładunek 200” to kod oznaczający zabitego (podobno wziął się kiedyś od kompletnej wagi ołowianej trumny z ciałem żołnierza). Kod „ładunek 300” oznacza rannego. Ale choć to lepsza z dwóch wiadomości, nie mówi nic o stanie rannego żołnierza.

– Przedwczoraj go przytulałem przed odjazdem. A tak długo, bardzo długo nie było żadnych wypadków, żadnej śmierci. – Nikita siada na skrzyni i precyzuje, co tutaj znaczy długo: cały miesiąc, może nawet półtora.

– Nikula, masz wódkę? – przepraszające spojrzenie jednego z żołnierzy krzyżuje się ze spojrzeniem jego przełożonego. Ten po

chwili sięga w zakamarki szafki, by wyciągnąć butelkę. Dzisiaj Nikita nie podniesie głosu, jak w inne dni, gdy strofował podkomendnych, którzy przesadzali z alkoholem. Zaczyna kręcić się po pomieszczeniu, analizuje niedawną rozmowę. Głos ma spokojny, rzeczowy. Tylko trochę cięższy niż zwykle: – Zabity snajperskim strzałem. Nawet niczego nie poczuł, powiedział. Nie męczył się.

Serioha nie zdobywa się na długie wypowiedzi. Także następnego dnia, kiedy jesteśmy na drodze w głąb Awdijiwki. Tylko długo wpatruje się w zdjęcie w swoim telefonie, na którym jest on, Serioha i jego siwobrody towarzysz, ten, którego został wczoraj pozbawiony: – Wiem, to nie pierwsza przeciecz i nie ostatnia śmierć tej wojny. Ale to zawsze tak, jakby odbierano człowiekowi kawałek duszy.

Wszystkim wokół już spowszedniały liczby. Nikt nie chce ich powiększać, więc od dawna nie ma już nowych rekrutów, ochotników. – A kiedy wracam na przepustkę do domu, znajomi dziwnie na mnie patrzą, trochę jak na idiotę, trochę jak na wariata – dodaje siedzący za kierownicą Wowa i zwalnia z setki, gdy zbliżamy się do zakrętu, za którym otwiera się widok ruin miasta. Tych świeżych i tych czasem już dziewięcio-

letnich, teraz otoczonych świeżą zielenią.

DO AWDIJIWKI wiosna też przyszła, kłucząc między kikutami osmalonych drzew i brodząc w błocie na stałe już wpisanym w filozofię donieckiego frontu.

Jesteśmy gdzieś na wschodnich peryferiach miasta, znowu szukając przyczajonego w gęstych zaroślach bojowego wozu piechoty, jakich wiele ukrywa się dziś w ukraińskich krzakach, a niełatwo ukryć takie gabaryty.

Na opuszczonym stanowisku strzelniczym dzikie pnące chmielu zaczęło już wic się wokół pustych skrzynek po amunicji, jakby chciało pospiesznie przykryć ten widok. Ale długo jeszcze na ścieżce będą chrząścić pod stopami łuski pocisków, którymi pokryty jest pachnący czarnoziem. Gdzieś z gęstym odzywa się najprawdziwsza kukulka. Nikita kręci głową z niedowierzaniem, gdy zaczynamy sobie z kukulką dialogować w jej narzeczu.

Ptak milknie, kiedy w słowo wchodzi mu niedaleki wystrzał. Taki jest doniecki ekosystem. Czołgista umiera razem z czołgiem.

A za rok wiosna też przyjdzie. Przynajmniej tak zapowiadają.

© ANTONINA PALARCZYK

Czterdziestu ostatnich

TEKST I ZDJĘCIA **MARCIN RYCHŁY**
Z POLONEZKÖY (TURCJA)

W słynnej polskiej wsi w Turcji żyje coraz mniej Polaków. Tych, którzy zostali, cechuje przedsiębiorczość i zmęczenie rządami prezydenta Erdoğan.

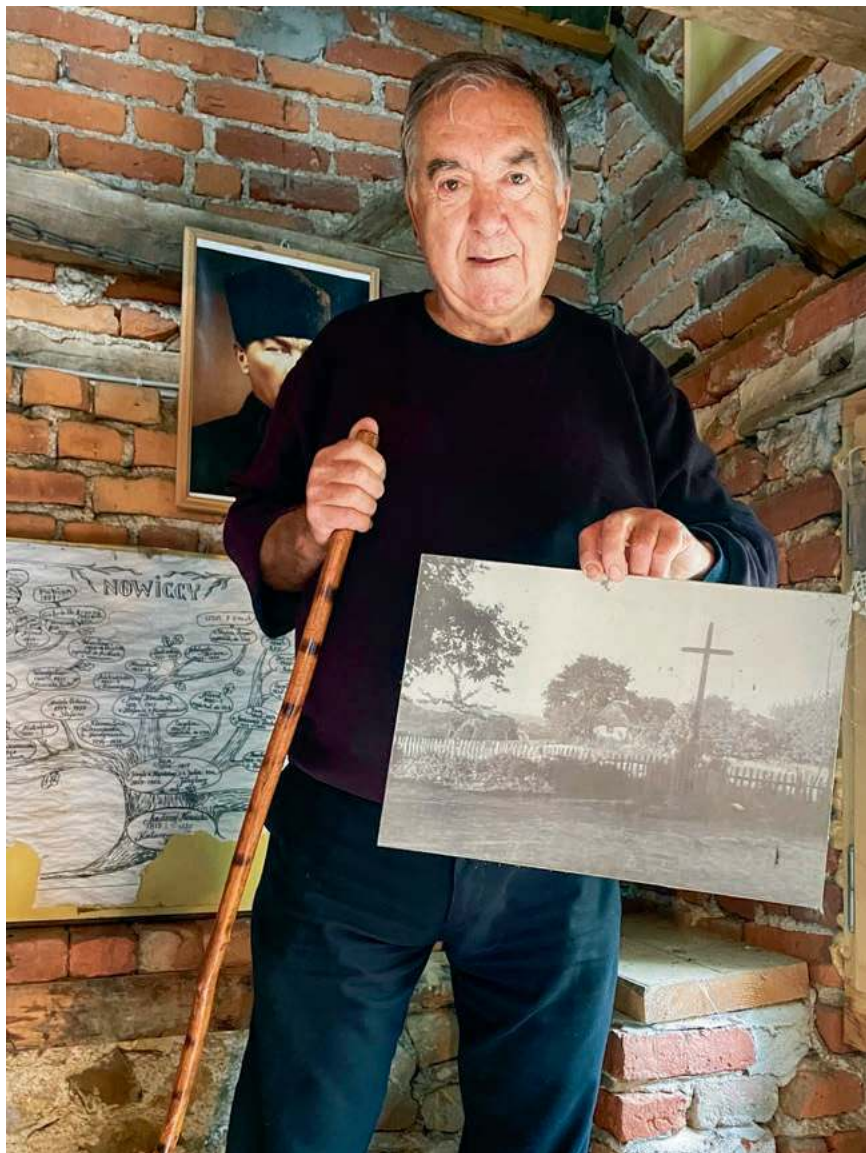
SIEDEMDZIESIĘCIOLETEK SIEDZI NA ŁAWCE przed skąpanym w zieleni domem. Biała elewacja budynku, w którym mieści się restauracja, jest przyozdobiona wzorami łowickimi.

Mężczyzna popija herbatę z tureckiej szklanki w kształcie tulipana. – Za co mamy chwalić tego naszego nieszczęsnego sułtana, z czego się cieszyć? – zastanawia się, gdy pytam o Recepa Erdoğan, zwycięzcę tureckich wyborów prezydenckich. – Nas tutaj nigdy nie dostrzegali, nie chciał nas odwiedzić – dodaje nie-naganną polszczyzną.

Frederik Nowicki jest byłym sołtysiem miejscowości Polonezköy, położonej kilkadziesiąt kilometrów od centrum Stambułu, w azjatyckiej części Turcji. Jego prapradziadek Andrzej pochodził z okolic Płocka i był jednym z czternastu powstańców listopadowych, którzy w połowie XIX w. osiedli na tureckiej ziemi.

DZIEJE MIEJSCOWOŚCI sięgają roku 1842: wtedy książę Adam Czartoryski, przeciwstawiając się rosyjskim wpływom w Imperium Osmańskim i mając świadomość politycznej wagi Stambułu, położonego na styku kontynentów, utworzył polską osadę w Anatolii. Na jego cześć nazwano ją Adampolem; później nazwę zmieniono na Polonezköy.

Z czasem do uchodźców po powstaniu listopadowym dołączyli polscy weterani Wiosny Ludów (1848-49) i wojny krymskiej (1853-56). Miejscowość stała się nie tylko miejscem azylu dla Polaków, ale też ośrodkiem politycznej emigracji.



Frederik Nowicki był przez kilka kadencji sołtysiem Polonezköy. Maj 2023 r.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. wielu potomków osadników z Adam pola wróciło do ojczyzny przodków, ale większość pozostała, kultywując tradycje, religię i język. Dziś żyje tu już tylko ok. 40 Polaków. I choć są mniejszością we wsi liczącej ok. 400 mieszkańców, społeczność polska wciąż kształtuje jej charakter. Przykładem tradycja wybierania gospodarza Polonezköy spośród Polaków.

FREDERIK NOWICKI piastował tę funkcję przez cztery kadencje. Równocześnie z żoną Sułtan i córką Dianą otworzył restaurację i agroturystykę. W pewnym momencie zdecydował się na wyprawę do Sucholasek koło Giżycka. – Kupiłem tam kilka hektarów, zbudowałem domki letniskowe. Jednak po pewnym czasie zrozumiałem, że le-

piej czuję się w Turcji, i wróciłem – opowiada. Narzeka, że jego zdaniem Polacy z Polonezköy nie chcą już się wspierać i współpracować jak dawniej: – Jeśli nie będziemy działać razem w imię naszych wspólnych interesów, to będzie koniec Adam pola.

Nowicki prowadzi izbę pamięci poświęconą historii Adam pola – w budynku stojącym na podwórku pełnym starych aut i niewykorzystanych materiałów budowlanych. Zgromadził w niej czarno-białe zdjęcia, stare mapy okolicy, zakurzone proporzyczki poświęcone przyjaźni narodów polskiego i tureckiego. Z dumą dzieli się opowieściami rodzinnymi, z patosem mówi o miłości do Polski. Pokazuje fotografie z ludźmi, którzy odwiedzali Polonezköy, gdy pełnił urząd sołtysa, w tym z prezydentami

Wałęsą i Kwaśniewskim. Jest też fotografia z Janem Pawłem II, którego sołtys odwiedził wraz z innymi mieszkańcami w Watykanie.

Jest także zakurzony manekin kobiety w polskim stroju ludowym i duży drewniany krzyż. – Próbowałem go ustawić w miejscu, gdzie dawniej stał podobny krzyż, ale na mnie donieśli. Już po kilku godzinach dzwoniли do mnie z Ankary, z MSW. Potem też ze Stambułu, z władz samorządowych. Kazali od razu usunąć – wspomina.

Stawianie krzyża w centralnym punkcie wsi położonej w muzułmańskiej Anatolii, zaraz obok popiersia Mustafy Kemala Atatürka, ojca współczesnej Turcji, mogło spotkać się z niechęcią nie tylko jego sąsiadów. Nowicki: – Przecież zakładaliśmy tę wioskę, dziadowie wycinali tu puszcę, by postawić domy. Jesteśmy autochtonami, którym wolno więcej.

REPUBLIKA TURECKA, która powstała w 1923 r. na gruzach Imperium Osmańskiego, miała opierać się na jednolitym etnicznym fundamencie i świeckich zasadach. W tych warunkach katolicyzm i polskość nie broniły Adampola. Polacy przegrali praktycznie wszystkie spory z turecką administracją: o zmianę nazwy miejscowości (Adampol – Polonezköy), o obywatelstwo mieszkańców, o możliwość nauki polskiego w szkole.

Odizolowanie i słaby kontakt z otoczeniem konserwowały jednak polską tradycję i kulturę. I choć z czasem liczba osób posługujących się językiem Mickiewicza zaczęła się drastycznie zmniejszać, społeczność polska do dziś kultywuje wiarę i obyczaje przodków.

Polonezköy nie jest skansenem i idzie z duchem czasów. Z pierwotnie rolniczej i pasterskiej, wieś przekształciła się w podmiejski zamożny kurort, do którego chętnie zaglądają mieszkańcy nie tylko Stambułu, ale i innych regionów Turcji. W ostatnich latach powstało dużo klimatycznych pensjonatów, luksusowych SPA i dobrych restauracji.

Wiele ma swojsko brzmiące nazwy: Karcma, Obora, Polina, Adampol. W menu można znaleźć dania kuchni polskiej, jak sernik, pierogi, kluski śląskie, pieczoną kaczkę. Dzięki przychodowi z turystyki wzrosła zamożność mieszkańców. Domy i obejścia są zadbane, ludzie jeżdżą dobrymi autami.

CZĘŚĆ LOKALI w Polonezköy prowadzą tureckie rodziny, które z polskością nie mają żadnych więzi. Osiedliły się tu w ostatnich pięciu dekadach – przyciągnęły je przyroda i spokój okolicy, bądź chcieli zainwestować w turystykę.

Również pracownicy pensjonatów i restauracji, także tych należących do Polaków, są Turkami – przyjeżdżają tutaj do pracy ze Stambułu albo nawet z odległych części Anatolii. Dla nich polskość Adampola to tylko osobliwość, która może przyciągnąć dodatkowych turystów. Korzystają z polskiego dziedzictwa i potrafią je dyskutować – również w knajpkach prowadzonych przez Turków można zjeść pierogi. Polaków traktują z szacunkiem i uznaniem, doceniają ich przedsiębiorczość. Wielu po prostu dobrze się czuje w sąsiedztwie potomków osadników znad Wisły.

Wies nie wydaje się czymś problematycznym także dla Turków o poglądach bardziej nacjonalistycznych (ten trend jest dziś coraz bardziej popularny w całym kraju) – Polonezköy można by porównać do tatarskich wsi na wschodzie Polski. Polscy turyści chętnie próbują tatarskiego pierokaczewnika w Bohonikach i zwiedzają meczet w Kruszynianach. Tutaj zaś Turcy odwiedzają miejscowy polski cmentarz i kosztują kaczki, bez zastanawiania się, czy ta odmienność zagraża ich kulturze.

PROTOKÓŁ Z WYNIKAMI głosowań wisi na drzwiach polskiego domu kultury – podczas niedawnych wyborów prezydenta i parlamentu posłużył on jako lokal komisji wyborczej. Gdyby mieszkańcy wsi mieli rozstrzygnąć te wybory, Recep Tayyip Erdoğan pożegnałby się z urzędem i ustąpiłby miejsca Kemalowi Kılıçdaroğlu: 150 z 222 oddanych głosów padło na kontrkandydata prezydenta, który sprawuje władzę już od 20 lat.

– Nikogo chyba nie dziwi słaby wynik Erdoğan i jego partii w naszej wsi – mówi Barbara, właścicielka hotelu i restauracji, z którą rozmawiam przed sobotnią wieczorną mszą w kościele Matki Boskiej Częstochowskiej. – Prezydent ma bardzo dobre relacje z politykami w Warszawie, z nami już niekoniecznie. Przez 20 lat nie przyjął zaproszenia do nas, a jak już przyjechał, to spotkaliśmy się w lesie.

Z tym spotkaniem było tak: mieszkańcy Polonezköy wykorzystali fakt, że prezydent odwiedzał położony nieopodal ośrodek zajmujący się ochroną zwierząt. Barykadując drogę, którą przejeżdżała jego kolumna aut, wymusili spotkanie z głową państwa i przekazali mu postulaty dotyczące regulacji zabudowy działek przylegających do terenów leśnych.

Przez wiele lat mieszkańcy Polonezköy walczyli, by ochronić obszary leśne otaczające ich miejscowość i jednocześnie nie zostać wchłoniętymi do dynamicznie rozprzestrzeniającej się aglomeracji Stambułu. Władze wysłuchały prośb, wprowadzając na tyle restrykcyjne przepisy, że wiele osób nie może dziś rozbudować swoich domów. Jednocześnie instytucje zarządzające lasami wycinają drzewa na dużą skalę.

– Jak takie działania mają się do ochrony przyrody? – pyta Barbara.

– Nieważne, na kogo głosujemy. To przecież nasz prezydent. Mielśmy prawo oczekiwać spotkania z nim – wtóruje jej mężczyzna przysłuchujący się rozmowie.

Może Erdoğan boi się, że nie zostałaby tu przyjęty tak ciepło, jak Atatürk ponad 80 lat temu? – Jesteśmy gościnni, docenilibyśmy fatywę pana prezydenta – odpowiada mężczyzna. I dodaje, że mniejszości w Polsce też nie głosują na PiS: – Weźmy Białorusinów z Podlasia, im też nie po drodze z partiami prawicowymi. Poza tym uważam, że Turcja potrzebuje zmian.

PRZEWODNICZKA po Domu Pamięci Zofii Ryży jest Sylwia. W obrośniętym glicynią i otoczonym starymi leszczynami budynku z 1882 r. prezentowane są pamiątki po jednej z bardziej wpływowych rodzin z Polonezköy, a także najbardziej znanej mieszkance wsi. W ciągu długiego życia Zofia Ryży była świadkiem zachodzących tu przemian, prowadzących do ograniczania polskiego charakteru wsi. Walczyła o przetrwanie polskiej tożsamości, a jej dom pełnił funkcję ośrodka kultury; spotykała się w nim młodzież.

Sylwia jest wnuczką Lesława Ryżego, który był wójtem Polonezköy, i prawnuczką Wincentego – jednego z pierwszych osadników i założyciela Adampola. Zofia była jej ciocią.

Wychowana w Polsce, Sylwia studiuje turkologię na Uniwersytecie Warszawskim. W przeciwieństwie do większości



Restauracja z polskimi motywami ludowymi w Polonezköy, wsi założonej w XIX wieku przez powstańców listopadowych, dziś na obrzeżach aglomeracji Stambułu. Maj 2023 r.

⇒ polskich mieszkańców wsi, znajomości tureckiego nie wyniosła z domu rodzinnego. Do Polonezköy przyjeżdżała tylko na wakacje. Jest dumna ze swojego pochodzenia i historii polskiej społeczności nad Bosforem. Opowiada o bliskich, prezentuje szafę z podręcznikami do polskiej gramatyki, które przywoziły kolejne pokolenia Polaków, a także zdjęcia polityków, którzy odwiedzili wieś w ostatnich 150 latach.

Szczególną uwagę poświęca zdjęciu z 1937 r., z wizyty Atatürka. – To mój dziadek Lesław, jedyna do dzisiaj żyjąca we wsi osoba, która miała przyjemność poznać ojca narodu tureckiego – wskazuje

chłopca na zdjęciu. Atatürk przyjechał, gdyż był zainteresowany dobrze rozwiniętym tu rolnictwem. Chodził po gospodarstwach, próbował polskiego masła i mało popularnej w muzułmańskim kraju wieprzowiny.

CO DALEJ Z POLONEZKÖY? Takie pytanie młoda przewodniczka musi słyszeć od wielu odwiedzających. – Niektórzy pewnie najchętniej by nas ogrodzili i zakazali wyjeżdżać – żartuje Sylwia. Przyznaje, że pojawiają się opinie sugerujące miejscowym Polakom konieczność walki o zachowanie polskości wsi za wszelką cenę. – Nie rozumiem, czemu miałyby to słu-

żyć. Na co to komu powtórne polonizowanie tego terenu i zamknięcie nas w skansenie? – zastanawia się. – Adampol powstał, by zagwarantować bezpieczne schronienie naszym przodkom w czasach, gdy Polski nie było na mapie. Od lat jednak państwo polskie istnieje i pod niektórymi względami życie tam jest prostsze niż tutaj.

Sylwia uważa, że polskość powinno się kultywować przez pielęgnowanie takich miejsc jak dom ciotki Zosi czy wprowadzanie większej liczby polskich dań w menu restauracji. Natomiast oczekiwanie od kogoś, że ma mieszkać na wsi i poświęcić swoją przyszłość w imię konserwowania polskości, jest niesprawiedliwe. – Nie możecie mieć nam za złe, że chcemy się zmieniać i rozwijać, a więc po prostu stąd wyjeżdżać do Stambułu, Warszawy czy Sydney. Bo nawet tam wielu stąd wyjechało za chlebem.

SYTUACJA EKONOMICZNA Turcji jest zła. Sylwia wskazuje na wysoką inflację, ogromną liczbę uchodźców z Syrii i skutki lutowego trzęsienia ziemi na pograniczu turecko-syryjskim; jej zdaniem to największe problemy państwa.

– Dwa lata temu pieczona kukurydza kosztowała na Taxim 2 liry, dziś 10-12 lirów – wylicza. Taxim to jeden z najważniejszych placów Stambułu.

– Wyjdź na spacer po centrum Stambułu w nocy. Zobaczysz dziesiątki syryjskich dzieci poszukujących jedzenia w śmietnikach i żebrzących o bułkę – dodaje. – Obawiam się, jak nowy-stary prezydent sobie z tym wszystkim poradzi. To są nasze rzeczywiste problemy.

© MARCIN RYCHŁY

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

KATOWICE, piątek 16 czerwca, spotkanie z ks. Jackiem Prusakiem, „Wiara, która więzi i która wyzwala” / stacjonarne /

OGÓLNOKLUBOWE, poniedziałek 19 czerwca, spotkanie dyskusyjne wokół książki Tomáša Halíka „Popołudnie chrześcijaństwa” – rozdział „Społeczność słuchania i rozumienia”, cykl „Wspólne czytanie” / online /

WROCŁAW, środa 21 czerwca, spotkanie wokół tekstów ks. Michała Hellera „Na kamiennych tablicach” i „Bestie i bohaterowie” / stacjonarne /

REZERWUJ CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ



Laboratorium Floryda

MARTA ZDZIEBORSKA

Gubernator Ron DeSantis przebudowuje swój rodzinny stan na prawicową modłę, prowadząc kolejne wojny kulturowe. A w republikańskich prawyborach rzuca wyzwanie Trumpowi.

KATHERINE, MIESZKANKA OKOLIC Palm Beach na Florydzie, patrzy na Rona DeSantisa przychylnym okiem.

Zachwyca się, że ten polityk, syn pielęgniarstwa i monterów dekodowników telewizyjnych, sam zapracował na swój sukces. Podczas studiów na Harvardzie i Yale dorabiał przy przeprowadzkach i parkował samochody gości na imprezach. Do tego odbył służbę wojskową w Iraku. Katherine docenia też, że gubernator podpisał ostatnio ustawę dopuszczającą karę śmierci dla pedofilów gwałcicieli.

Ochrona praw dzieci jest dla niej szczególnie ważna. Tej 71-letniej emerytce, która uczyła w szkole podstawowej, podobają się również to, że DeSantis prowadzi wojnę z mocno podnoszoną dziś w Stanach Zjednoczonych przez lewicę tzw. ideologią wokeizmu (od angielskiego słowa „*woke*”, przebudzony), która w centrum uwagi stawia takie kwestie jak rasizm, sprawiedliwość społeczną czy systemową dyskryminację.

– Małe dzieci nie powinny wysłuchiwać w szkole o tożsamości płciowej i o tym, że biali ludzie są oprawcami, a czarni ofiarami – mówi Katherine w rozmowie z „Tygodnikiem”. – Czytałam gdzieś, że Elon Musk pytał piętoklasistów, jakich znają prezydentów. Potrafili wymienić tylko George’a Waszyngtona i wiedzieli jedynie to, że był właścicielem niewolników! Nie tak powinno zaszczepiać się miłość do ojczyzny – denerwuje się Katherine, której DeSantis skradł serce ubiegłoroczną ustawą nazywaną „Don’t Say Gay”. Zakazuje ona mówienia w klasach od pierwszej do trzeciej o orientacji seksualnej i tożsamości płciowej. Ostatnio te przepisy zreformowano i rozszerzono na uczniów do ósmej klasy włącznie.

Legislacyjne tornado

44-letni gubernator – od niedawna kandydat w republikańskich prawyborach

prezydenckich – obiecuje wyborcom, że w przypadku zwycięstwa pociągnie kraj na prawo, tak jak robi to w swoim 22-milionowym stanie. DeSantis lubi powtarzać hasło: „*Make America Florida*” (w wolnym przekładzie: „Uczyńmy Amerykę taką, jaką jest Floryda”).

I jest w tym konsekwentny. Tylko w ostatnich miesiącach podpisał ustawę zakazującą aborcji po szóstym tygodniu ciąży, umożliwił noszenie broni palnej bez pozwolenia i przypieczętował serię reform wymierzonych w społeczność LGBT. Na Florydzie zdelegalizowano zabiegi związane z korektą płci u nieletnich, zakazano używania w szkołach zaimek niezgodnych z płcią biologiczną ucznia, a także utrudniono organizację parad równości i pokazów drag queen, co rządzący stanem Republikanie tłumaczą ochroną dzieci przed „aberracjami”. Podpisując serię „antyćcowych” ustaw, gubernator obwieścił, że Floryda pozostanie „ostoją zdrowego rozsądku i cytadelą normalności”, gdzie dzieci, jak mówi, mogą pozostać dziećmi.

Ron DeSantis podsyca kolejne wojny kulturowe od zeszłego roku: oprócz podpisania wspomnianej ustawy „Don’t Say Gay” zakazał w szkołach lekcji o teorii rasy, czyli akademickiej koncepcji głoszącej, że lata niewolnictwa i segregacji rasowej doprowadziły w USA do utrwalenia instytucjonalnego rasizmu. Gubernator zmienił też prawo tak, by łatwiej było walczyć o usunięcie ze szkolnych bibliotek książek poświęconych kwestiom rasowym czy osobom LGBT.

„Antyćcowa” fala dotarła nawet na florydzkie uczelnie: w maju zniesiono publiczne finansowanie przedmiotów poświęconych równości i różnorodności. Kilka miesięcy wcześniej na celowniku znalazła się uczelnia New College of Florida, postrzegana jako ostoja liberalizmu. DeSantisowi to się nie podoba:

w styczniu odwołał sześciu członków rady tej uczelni, zastępując ich swoimi ludźmi, którzy zdymisjonowali dotychczasową rektorkę Patricię Okker. Jak mówi cytowana przez dziennik „The New York Times” Sonia Howman, matka studenta LGBT, zmiany na uczelni potęgują strach u ludzi, którzy na tym niewielkim uniwersytecie szukali schronienia w przesuwającym się na prawo stanie.

Gejów nie przyjmujemy

– To jest chore – mówi „Tygodnikowi” Marcia Fernandes, emerytka, która do 2018 r. prowadziła zajęcia ze scenopisarstwa na uczelni The Art Institute of Fort Lauderdale. – Miałam wśród uczniów wielu gejów i nikt nie próbował mówić im, jak mają żyć. Pamiętam, jak kiedyś podeszła do mnie studentka i powiedziała, że jej brat jest osobą niebinarną. Nawet nie wiedziałam, co to znaczy. Po prostu przyjełam to do wiadomości i uczyłam dalej.

Marcia Fernandes narzeka, że „antyćcowa” krucjata wkrada się też do służby zdrowia. Od 1 lipca lekarze będą mogli odmówić leczenia osobom LGBT, jeśli to godzi w ich przekonania religijne. – Mój kardiolog jest oburzony. Tym bardziej że, jak mi powiedział, wielu medyków jest zwolennikami DeSantisa i pochwała jego kontrowersyjne reformy – relacjonuje 65-latką.

O tym, jak Floryda zmienia się w mikroskali, przekonała się też Jillian, pedagogka pracująca w liceum w rejonie zatoki Tampa. Jak mówi „Tygodnikowi”, na fali reform DeSantisa konsultacje psychologiczne w jej szkole mogą odbywać się jedynie za zgodą rodziców uczniów. Dyrekcja nakazała również usunięcie z klas i gabinetów nauczycielskich naklejek z napisem „Bezpieczna przestrzeń”.

– Naklejki miały być sygnałem dla uczniów, że wspieramy ich bez względu na tożsamość płciową – tłumaczy Jillian. – Odkąd obowiązują nas nowe zasady, zaczęliśmy używać naklejek z tęczowymi flagami, co akurat nie jest zabronione. Szkoła musi być bezpieczną przystanią dla wszystkich uczniów. DeSantis tego nie zmieni pomimo swoich usilnych starań – denerwuje się Jillian.

Przyznaje jednak, że reformy gubernatora skłoniły już jej kilku znajomych nauczycieli do odejścia z zawodu. →



CHARLIE NEIBERGALL / AP / EAST NEWS

Powyżej: Republikański gubernator Florydy i kandydat na prezydenta USA Ron DeSantis z żoną Casey. Des Moines, 3 czerwca 2023 r.

Poniziej: Protest przed rozpoczęciem kampanii prezydenckiej Ron DeSantisa. Miami, 24 maja 2023 r.



JASON KOERNER / GETTY IMAGES

→ – Ja miałam szczęście i większość rodziców zgodziła się na konsultacje pedagogiczne z ich dziećmi. Ale wszystko pozostaje teraz w ich rękach – mówi Jillian, prosząc, by nie podawać w tekście jej nazwiska. Jak tłumaczy, boi się prawicowych aktywistów biorących na celow-

nik tych, którzy odważą się krytykować politykę gubernatora.

Kwestia reformy

Znany z rządów twardej ręki, Ron DeSantis porównywany jest czasem do Viktora Orbána. Podobnie jak węgierski pre-

mier, gubernator rozacza wizję zagrożenia dla tradycyjnych konserwatywnych wartości, które można ochronić jedynie poprzez ograniczanie praw wrogów prawnicy.

Krytycy wytykają gubernatorowi, że kontrowersyjna ustawa „Don’t Say Gay” została uchwalona dziewięć miesięcy po tym, jak na Węgrzech rząd Orbána przyjął podobną. Do florydzkiego parlamentu trafił również projekt ustawy zakazującej studiów gender na publicznych uniwersytetach, co może być echem węgierskiej reformy z 2018 r.

Choć zainspirowani „orbanizmem” są również inni Republikanie, to właśnie DeSantis skutecznie robi z Florydy laboratorium amerykańskiej prawicy. Nie ma też oporów, by majstrować przy prawie wyborczym: tuż przed ogłoszeniem, że weźmie udział w prawyborczym wyścigu o Białą Dom, podpisał ustawę, która zabezpiecza jego rządy na Florydzie w przypadku zdobycia nominacji Partii Republikańskiej. W świetle dotychczasowych przepisów nie było bowiem jasne, czy można jednocześnie ubiegać się o urząd prezydenta i sprawować obowiązki gubernatora.

DeSantis zagwarantował sobie też dodatkowy milion dolarów na podwyżki dla swoich podwładnych i zmienił prawo tak, by nie musiał ujawniać informacji o kampanijnych podróżach finansowanych z pieniędzy podatników.

Nie zważa przy tym na konflikt interesów. „The New York Times” informuje, że pracownicy gubernatorskiej administracji namawiają do wpłacania darowizn na kampanię prezydencką ich szefa, a także naciskają na stanowych parlamentarzystów, by poparli jego kandydaturę. Anonimowi rozmówcy nowojorskiego dziennika z tego grona obawiają się, iż jeśli nie udzieli poparcia DeSantisowi, to ten zawetuje popierane przez nich ustawy.

Myszka Miki na celowniku

DeSantis pokazał też, że potrafi mścić się na przeciwnikach.

Od ponad roku trwa jego spór z koncertem Disneya, który skrytykował ustawę „Don’t Say Gay”. W odpowiedzi gubernator odebrał koncertowi przywileje, które gwarantowały mu funkcjonowanie na podobnych zasadach co rządy lokalne. Firma, zarządzająca znajdującym się na Florydzie słynnym parkiem rozrywki

Walt Disney World, od 1967 r. decydowała o inwestycjach na swoim terenie i sama zapewniała usługi, takie jak prąd, ochronę przeciwpożarową czy naprawę lokalnych dróg.

W obliczu wojny z administracją DeSantis koncern złożył pozew, twierdząc, że stał się ofiarą „odwetu rządu stanowego”. „W Ameryce rządzący nie mogą karać za wyrażanie własnych opinii” – napisano w pozwie do sądu federalnego. Administracja DeSantis nie pozostała dłużna i odpowiedziała pozwem przeciwko koncernowi.

Napięte stosunki mają już przełożenie na lokalne inwestycje. Disney zrezygnował m.in. z wyłożenia niemal miliarda dolarów na budowę nowego korporacyjnego kompleksu niedaleko Orlando. Planowo miało przenieść się tam 2 tys. kalifornijskich pracowników koncernu, zarabiających średnio po 120 tys. dolarów rocznie – ich podatki stanowiłyby dodatkowe zastrzyk pieniędzy dla rządu stanowego.

Zdaniem niektórych analityków torpedowanie przez DeSantis jednego z największych pracodawców na Florydzie ma jeden cel – zapunktowanie u republikańskich wyborców krzywo patrzących na establishment, do którego zaliczyć można również wielkie korporacje.

Z drugiej strony taka strategia może obrócić się przeciwko gubernatorowi. W Partii Republikańskiej nie brakuje wpływowych darczyńców zdegradowanych jego zacieklą walką z koncernem i serią jego prawicowych reform społecznych. W rozmowie z dziennikiem „Financial Times” Thomas Peterffy, biznesmen i drugi najbogatszy człowiek na Florydzie, przyznaje, że „na razie bierze na wstrzymanie” i nie będzie wspierał jego kampanii, choć jeszcze kilka miesięcy temu mocno mu kibicował. Portal Politico twierdzi, że krzywo na DeSantis patrzą również niektórzy finansjści z Wall Street, coraz częściej przyglądający się innym kandydatom.

Tymczasem grono polityków walczących o nominację w prawyborach republikańskich systematycznie się powiększa – na początku czerwca do gry wkroczyli Mike Pence (były wiceprezydent w administracji Trumpa), Doug Burgum (gubernator Dakoty Północnej) oraz były gubernator stanu New Jersey Chris

DeSantis nie musi się martwić o popularność na Florydzie: w 2022 r. **zdobył półtora miliona głosów więcej niż rywal** z Partii Demokratycznej.

Christie, który rozpoczął swoją kampanię od mocnych ataków na Trumpa.

A ten ma kolejne problemy prawne. Federalni prokuratorzy zdecydowali o postawieniu byłemu prezydentowi zarzutów w związku z przechowywaniem przez niego rządowych dokumentów w posiadłości Mar-a-Lago na Florydzie. Donald Trump miał poznać treść aktu oskarżenia w sądzie federalnym w Miami na dzień przed trafieniem tego numeru „Tygodnika” do kiosków.

Wyrzucić elfa

Tymczasem największy rywal Trumpa w prawyborach republikańskich – Ron DeSantis – ma jedną dużą wadę. Jego nieustępliwość w forsowaniu kontrowersyjnych reform może podobać się najbardziej zatwardziałemu elektoratowi Partii Republikańskiej, ale już niekoniecznie wyborcom umiarkowanym.

Analitycy wieszczą już, że nawet gdyby DeSantis zdobył nominację Republikańską – na co nie wskazują dziś sondaże, dające Trumpowi aż 34 pkt. proc. przewagi – to wówczas mógłby zadziałać ten sam mechanizm co w 2020 r. Wyborcy umiarkowani woleli wówczas zagłosować na Bidena, niż poprzeć Donalda Trumpa, ich zdaniem zbyt radykalnego.

Tymczasem DeSantis w pocie czoła pracuje nad takim właśnie swoim wizerunkiem: w ubiegłym roku nazwał naczelnego epidemiologa kraju Anthony’ego Fauci’ego „elfem, którego należy złapać i przerzucić na drugą stronę rzeki” (kontekstem tej sprawy było kontestowanie przez gubernatora zaleceń rządu federalnego w czasie pandemii).

DeSantis wywołał również oburzenie, gdy w czasie kryzysu migracyjnego na granicy z Meksykiem wysłał swoich ludzi do Teksasu, aby tam zwabili grupę Wenezuelczyków, którzy już przekro-

czyli granicę, a następnie odesłali ich samolotem do liberalnego stanu Massachusetts – niejako „w prezencie” dla jego władz związanych z Partią Demokratyczną. Drugą taką pokazową akcją zorganizował już jako kandydat w wyścigu o Białą Dom – tym razem wysłał grupkę cudzoziemców do liberalnej Kalifornii, co postrzegane jest jako prztyczek dla jego zagorzałego krytyka, miejscowego gubernatora Gavina Newsoma.

Czerwona fala

Prawybyry to jedno – za to o popularność na Florydzie DeSantis nie musi się martwić. W wyścigu o reelekcję w 2022 r. zdobył ponad 1,5 mln głosów więcej niż rywal z Partii Demokratycznej, co jest najlepszym wynikiem na Florydzie od 40 lat. Wygrał nawet w hrabstwie Miami-Dade, gdzie przez ostatnie dwie dekady republikańscy kandydaci na gubernatora nie mieli szans. „Czerwona fala” (czerwony to kolor Republikańców) pozwoliła też utrzymać im większość w parlamencie i obsadzić kluczowe stanowiska. Mówi się, że Floryda nie jest już tzw. wahającym się stanem, czyli takim, którego wyborcy w wyścigu o Białą Dom raz mogą poprzeć Demokratę, a innym razem Republikanina.

Zaniepokojona tymi przemianami jest Marcia Fernandes, która zaczęła się nawet kryć z tym, że ogląda liberalną telewizję MSNBC: – Gdy tylko słyszę dzwonek do drzwi, wyłączam telewizor. Przez lata głosowałam na konkretnego kandydata, a nie na partię. Dziś nie mam wyboru: będę głosować wyłącznie na Demokratów. Nie mogę znieść tego, jak radykalizuje się amerykańska prawnica – mówi.

To, jak zmienia się Floryda, nie podoba się też Olgierdowi Świdzie, mieszkającemu w Deerfield Beach. Jak mówi, jeszcze jesienią 2022 r. podobało mu się, że DeSantis porzucił partyjne podziały i współpracował z administracją Bidena, by naprawić zniszczenia wywołane przez huragan „Ian”. Gubernator nie palił się też, aby tak jak inni Republikanie zastrzekać dostęp do aborcji.

Ale to było jeszcze przed walką o gubernatorską reelekcję. Dziś Ron DeSantis mierzy jeszcze wyżej.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press”.



CI GORSI NIEMCY

Choć od zjednoczenia dwóch państw niemieckich minęły 33 lata, wielu mieszkańców wschodnich landów Republiki Federalnej ma poczucie, że są imigrantami we własnym kraju.

PIOTR BERNARDYN



STEPHEN JAFFE / GETTY IMAGES

Dzieci z zachodnioniemieckich szkół i NRD-owscy strażnicy graniczni pięć dni po otwarciu muru berlińskiego, który przez 28 lat dzielił to miasto. Widoczny fragment muru. Berlin Wschodni, 14 listopada 1989 r.

sche Erfindung” („Niemcy wschodnie jako wymysł zachodnioniemiecki”, wyd. Ullstein 2023). Minęło kilka miesięcy, a wciąż otwiera ona listę bestsellerów tygodnika „Der Spiegel”. Budzi kontrowersję, Oschmannowi zarzuca się brak obiektywizmu. Jednak sam fakt, że wywołuje ogólnokrajową debatę, dowodzi, iż autor, jak to mówią Niemcy, trafił w nerw.

Pamflet literaturoznawcy

Dzieło Oschmanna – urodzonego w powiatowym mieście Gotha w Turynii w czasach głębokiego enerdowskiego komunizmu, a zajmującego się zawodowo literaturą z wieków XVII i XVIII – ma osobliwą formę: opatrzone solidną bibliografią, zawierającą nazwiska filozofów i pisarzy, przyjmujące w istocie charakter gorzkiego i pełnego emocji pamfletu.

Ponad trzy dekady zjednoczonych Niemiec mają stanowić zatem okres „dyskryminacji, dyfamacji i eksploatawania” niemieckiego Wschodu przez niemiecki Zachód. W wykreowanym przez zachodnie elity wizerunku przeciętny mieszkaniec dawnej NRD, zwłaszcza mężczyzna, ma być „bierny, depresyjny, słaby, tchórzliwy, brzydki, leniwy, bez ogłady, radykalny”. No i ma oczywiście nazistowskie ciągoty, o czym świadczy wysokie poparcie dla ultraprawicowej AfD we wschodnich landach.

Oschmann nie kryje, że bardziej niż na wyważonej analizie zależy mu na potrząśnięciu opinią publiczną, jednak swoje wywody podpira twardymi faktami. Mieszkańcy dawnej NRD, stanowiący blisko jedną piątą ludności kraju, zajmują średnio tylko 3 procent pozycji społecznych uchodzących za elitarne. Wynik ten zawyżają funkcje pochodzące z demokratycznych wyborów, bo już przykładowo wśród kadry dowódczej Bundeswery nie ma nikogo ze Wschodu. Niewiele lepiej jest we władzach sądowniczych, wyższej administracji i zarządach korporacji. Na 108 niemieckich uniwersytetów jedynie uczelnią w brandenburskim Cottbus kieruje miejscowy rektor; problem dotyka też całej kadry naukowej.

Elity się reprodukuja

Oschmann jest w istocie pierwszym profesorem literatury ze Wschodu mianowanym od czasu zjednoczenia. Pomogły mu, jak twierdzi, wcześniejsze pobyty naukowe w USA i to, że jego zainteresowania badawcze pomijają literaturę NRD.

Jaskółka wiosny nie czyni. Naukowców z tej części kraju wciąż nierzadko doprasza się na zachodnie konferencje, by przedstawili tzw. wschodnią perspektywę. O ile „stare” landy postrzega się w ich różnorodności i zindywidualizowaniu, to teren byłej NRD dalej stanowi monolit: ktoś pochodzi zatem nie z Turynii czy Saksonii, lecz reprezentuje „Wschód”.

Skala penetracji elit NRD przez komunistyczną bezpiekę Stasi uzasadniała zapewne zwolnienia, które po 1990 r. miały powszechnie miejsce w sądach, wojsku czy na uczelniach. Jednak lustracja nie zakładała trwałego upośledzenia ludzi ze Wschodu. Tymczasem okazuje się, że swoista dyskryminacja trwa również wobec młodego pokolenia: zachodnioniemieckie elity reprodukuja się z własnych kręgów także na obszarze byłej NRD. W przypadku uczelni profesura przekazuje po prostu katedry swoim zachodnim wychowankom.

Wschodnim Niemcom, zwanym *Ossis* (w wolnym przekładzie: wschodniacy), zarzuca się często pasywność i wyniesioną jeszcze z NRD nieumiejętność konkurowania na wolnym rynku. Oschmann dostrzega problem socjalizacji, ale tej już po zjednoczeniu: ludzie mają wyrastać tu w poczuciu, że są gorsi, że bez względu na włożony wysiłek wyższe pozycje społeczne i tak przewidziane są dla ludzi z zachodnich landów (zwanych z kolei *Wessis*, zachodniacy).

Stygmat pochodzenia niełatwo zresztą wymazać także po wyprowadzce do „starych” landów. Młody człowiek może jednak temu zaradzić. Wystarczy powiedzieć, że miejsce urodzenia zawdzięcza się rodzicom, którzy przyjechali już po 1990 r. z Zachodu na Wschód do pracy – wtedy jest się traktowanym jak swój.

Dowód maksymalnej pogardy

Samopoczucie *Ossis* nie poprawia też sytuacja materialna. Na Wschodzie zarabia się średnio 22 proc. mniej, a w niektórych branżach, jak przemysł samochodowy czy stoczniowy, różnice są wyższe. „Eksploatacja”, jak to nazywa Oschmann, →

TRZY LATA TEMU DIRK OSCHMANN, 56-letni profesor literatury z Lipska, otarł się o śmierć, biorąc udział w wypadku podczas jazdy rowerem. Wpłynęło to u niego na zmianę postawy życiowej: stał się bardziej bezkompromisowy, nie chciał dalej przyrzucać oczu na to, co boli. Postanowił wygarnąć, jak zachodni Niemcy traktują obszar dawnej komunistycznej NRD.

Najpierw robił to w prasie, a w lutym wydał książkę „Der Osten: eine westdeut-

→ to także skutek lat 90. XX w., gdy kapitał zachodni przejmował czasem za bezcen wschodnie firmy i nieruchomości. Centra miast dawnej NRD pięknie odrestaurowano, ale właścicielem kamienic jest często ktoś z Monachium czy Hamburga, wynajmujący mieszkania tubylcom. W dzisiejszych Niemczech także majątek dziedziczą zatem głównie *Wessis*.

Brak poczucia szacunku i wykluczenie z kręgów decyzyjnych rodzą w nowych landach frustrację. To głównie, zdaniem Oschmanna, ma pchać do głosowania na AfD, nie zaś mentalność skażona rzekomo dyktaturą. Poza tym jeśli nawet średnio 25 proc. miejscowych chce rządów AfD, to pozostałe trzy czwarte elektoratu ma inne zdanie. Mainstreamowe media koncentrują się jednak zwykle na tej mniejszości, rzadziej analizując wyniki AfD na Zachodzie – skąd pochodzi zresztą większość przywódców tej formacji.

Wśród części mieszkańców wschodnich landów, zwłaszcza młodego pokolenia, pojawił się ostatnio odruch publicznej afirmacji czy wręcz podkreślania dumy ze swego pochodzenia. Pytanie jednak, w jakim stopniu to odczucie pozytywne i budujące, a w jakim rodzaj rebelii kryjącej słabości własnej pozycji.

Tak czy inaczej maksymalny komplement, na jaki *Ossis* liczyć mogą z ust *Wessis*, to często wciąż formułka: „nigdy bym nie pomyślał, że pochodzisz ze Wschodu”. Dla Oschmanna to dowód „maksymalnej pogardy”.

„Ktoś wcześniej posłał łóżko”

Badania obiektywnie wskazują szereg różnic w postawach mieszkańców obu części kraju. Wschód dużo mniej ufa zatem demokracji niż Zachód, odczuwa też znacząco większą sympatię do Rosji, nawet po jej inwazji na Ukrainę. Czy to też miał być efekt rozczarowania zjednoczeniem sprzed prawie 33 lat?

Urodzony w NRD historyk Ilko-Sascha Kowalczyk wskazuje odmienny niż Oschmann paradoks transformacji. Przy wszystkich trudnościach, mieszkańcy dawnej NRD żyją dziś przeciętnie na poziomie wyższym od mieszkańców reszty krajów postkomunistycznej Europy. O ile jednak Polska czy Rumunia musiały dobrobyt wypracowywać własnymi rękami, do Niemiec wschodnich został on w niemałej części przetransfe-

Urodzony w Lipsku w 1967 r. Dirk Oschmann wyznaje, że **często bliżej mu do Polaków i Czechów niż do zachodnich Europejczyków.**

rowany od zachodniego Wielkiego Brata (który, cóż, lubi to wypominać). NRD została też wchłonięta przez system ustrojowy Republiki Federalnej, przejmując jej konstytucję, hymn, barwy narodowe i partie polityczne. Wschodnim Niemcom „ktoś wcześniej posłał łóżko” – mówi Kowalczyk. Taką wolność zaś szanuje się mniej, niż jeśli samemu trzeba ją zagospodarować.

Kowalczyk, rówieśnik Oschmanna (oba z rocznika 1967), podziela jego opinie na temat arogancji Niemców zachodnich, jednak źródła postaw w nowych landach szuka też w komunistycznej przeszłości. Permanentna indoktrynacja, jak twierdzi, zostawiła ślady, choćby sympatia do USA jest blisko dwukrotnie wyższa na niemieckim Zachodzie niż na Wschodzie.

Nieoczywisty jest też stosunek mieszkańców byłej NRD do Związku Sowieckiego. Armia Czerwona dopuszczała się gwałtów i grabieży na terenie przyszłej NRD, położyła też jednak kres III Rzeszy, a wprowadzanie komunizmu szło tam w parze z denazyfikacją. Po katastrofach dwóch wojen światowych nie mała część Niemców, którzy znaleźli się w NRD, zaczęła doceniać stabilność egzystencji i względny dobrobyt systemu, którego gwarantem była Moskwa. Z bagażem wojennych zbrodni narodziła się u nich sympatia jeśli nie do sowieckich przywódców, to do zwykłych Rosjan. Miało to, jak widać, przetrwać próbę czasu.

Życie za murem

Życie w NRD opisuje inna książka, która w maju stała się za Odrą bestsellerem.

Oschmann twierdzi, że dla zrobienia kariery młody człowiek ze Wschodu powinien albo wyjechać do „starych” landów i nie obnosić się tam z pochodzeniem, albo udać się za granicę. Histo-

ryczka Katja Hoyer, rocznik 1985, wybrała tę drugą strategię. Od ponad dekady mieszka w Wielkiej Brytanii, gdzie na początku roku ukazała się jej, ciepło przyjęta, historia NRD pt. „Beyond the Wall” (Za murem).

Jej niemieckie tłumaczenie („Diesseits der Mauer: Eine neue Geschichte der DDR 1949-1990”, wyd. Hoffman und Campe Verlag 2023) trafiło do księgarń w maju – i książka odnosi komercyjny sukces mimo niepochlebnych opinii części krytyków. Zarzuty najogólniej dotyczą zbyt łagodnego potraktowania NRD – choć idzie może raczej o to, że malując wizerunek kraju, autorka nie używa wyłączenie czerni.

Gospodarka NRD, podobnie jak innych państw komunistycznych, ostatecznie okazała się niewydolna. Hoyer wskazuje jednak, że od początku rozwój NRD napotykał przeszkody. Pierwszą była szeroko zakrojona denazyfikacja, która dotknęła też specjalistów o rzadkich kwalifikacjach. Druga to reparacje: „bratni” Sowieci bynajmniej z nich nie zrezygnowali. Szacuje się, że obok majątku trwałego, obejmującego nierzadko całe fabryki, w latach 1945-53 do Związku Sowieckiego wędrowało 60 proc. całej produkcji przemysłowej NRD.

Tymczasem Republika Federalna miała inny start. Otrzymała pomoc z Planu Marshalla, a nazistowską przeszłość zaczęła na serio rozliczać dopiero pod koniec lat 60. (w ramach dzisiejszych animozji między obiema częściami Niemiec padały nawet głosy, że teraz to Zachód powinien mieszkańcom dawnej NRD wypłacić reparacje).

Przypomnienie tej historii przez Hoyer nie każdemu przypadło do gustu. Wytknięto jej, że także w NRD nie mało nazistów zachowało po 1945 r. wpływowe pozycje społeczne.

Mniejszość i większość

Największy opór wzbudził jednak przedstawiony przez nią obraz dnia codziennego.

Katja Hoyer pisze o awansie społecznym na skalę znacznie wyższą niż w RFN, o równouprawnieniu kobiet i tanim systemie opieki nad dziećmi, o powszechności ogródków działkowych, radości z kupna pierwszego trabanta i poczuciu koleżeńskości wśród współpracowników czy mieszkańców osiedla.



ULRICH BAUMGARTEN / GETTY IMAGES

Wyjazdy z NRD na Zachód były rzadkie. Tym ludziom się udało: rodzina z NRD zmienia tablice rejestracyjne w swoim trabancie na zachodniemieckie. Giessen, RFR, 1984 r.

Ćwierć wieku po zakończeniu II wojny światowej społeczeństwo NRD podzieliło się jej zdaniem na dwie grupy: nieszczęśliwą i zdławioną polityzacją wielu aspektów życia mniejszość oraz resztę, która akceptowała życie takim, jakie ono było. W kraju systematycznie rosło spożycie piwa. Ale, jak uważa Hoyer, pito „nie po to, aby zapomnieć”, lecz dlatego, że „życie pozbawione było większych zmartwień”. Na koniec Hoyer dodaje, że jeszcze pod koniec lat 80. większość mieszkańców NRD chciała raczej reformować swój kraj niż szybkiego zjednoczenia z Niemcami zachodnimi.

Krytycy pytają: a gdzie w tym sielan-kowym obrazie masowa inwigilacja? Książka nie pomija działalności Stasi, choć może powinno być tego więcej. Czy jednak spór o tak zwany dzień powszedni NRD dotyczy wyłącznie historii, czy może również teraźniejszości, a konkretnie statusu wschodnich landów w zjednoczonych Niemczech?

Kazus Angeli Merkel

Gdy w grudniu 2021 r. kanclerz Angela Merkel uroczystie zegnała się z urzędem, orkiestra wojskowa zagrała na jej prośbę hit gwiazdy rocka z NRD Niny Hagen „Du hast den Farbfilm vergessen”. Niektórzy odebrali to jako kuriozum albo przejaw „Ostalгии”, nostalgii za NRD. Pi-

sano o trudnościach z aranżacją utworu, pani kanclerz nie kryła jednak wzruszenia.

Merkel powinna stanowić żywe zaprzeczenie też Oschmanna: kobieta ze Wschodu sprawuje przez 16 lat urząd kanclerski, ciesząc się szacunkiem większości obywateli. Oprócz kompetencji było to jednak możliwe dlatego, gdyż nigdy nie akcentowała tego pochodzenia, wspomnienia z NRD, gdzie przeżyła 36 lat, ograniczając do minimum. Szybko nauczyła się, że byłoby to źle widziane wśród zachodnich elit. I tak nie ustrzegło jej to od afrontów i zranień na tym tle, od poczucia, że jest „migrantką” we własnym kraju.

Poruszyła otwarcie ten temat dopiero przy samym końcu politycznej kariery, a bardziej szczegółowo na tegorocznych targach książki w Lipsku, udzielając wywiadu redaktorowi naczelnemu tygodnika „Die Zeit”. Mechanizm był prosty: jeśli prowadziła politykę pozbawioną kontrowersji, jej pochodzenie nie grało roli, a gdy pojawiały się spory, choćby wewnątrz jej partii CDU, to okazywało się, iż NRD-owska przeszłość jednak na niej ciąży. Pisano na przykład, że jest tylko „przyuczoną” obywatelką RFR i Europką.

Podczas rozmowy Merkel próbuje demistyfikować codzienność NRD. W do-

minującym po 1990 r. przekazuje kraj ten funkcjonuje jako „państwo bezprawia” (*Unrechtsstaat*), niemal jak wielki obóz koncentracyjny. „Czy wolno wam było się śmiać?” – była kanclerz wspomina cierpko pytania kolegów z zachodnich landów. Tymczasem, jak mówi, było to po prostu życie: „interesujące, pełne napięć i wyzwań, w którym zdarzały się też piękne momenty”. Codziennosc NRD, jak ją postrzega, opierała się na instynktownej autocenzurze w sferze publicznej, zostawiała jednak margines prywatnych swobód tym, którzy nie chcieli być częścią systemu.

Gorsze towarzystwo

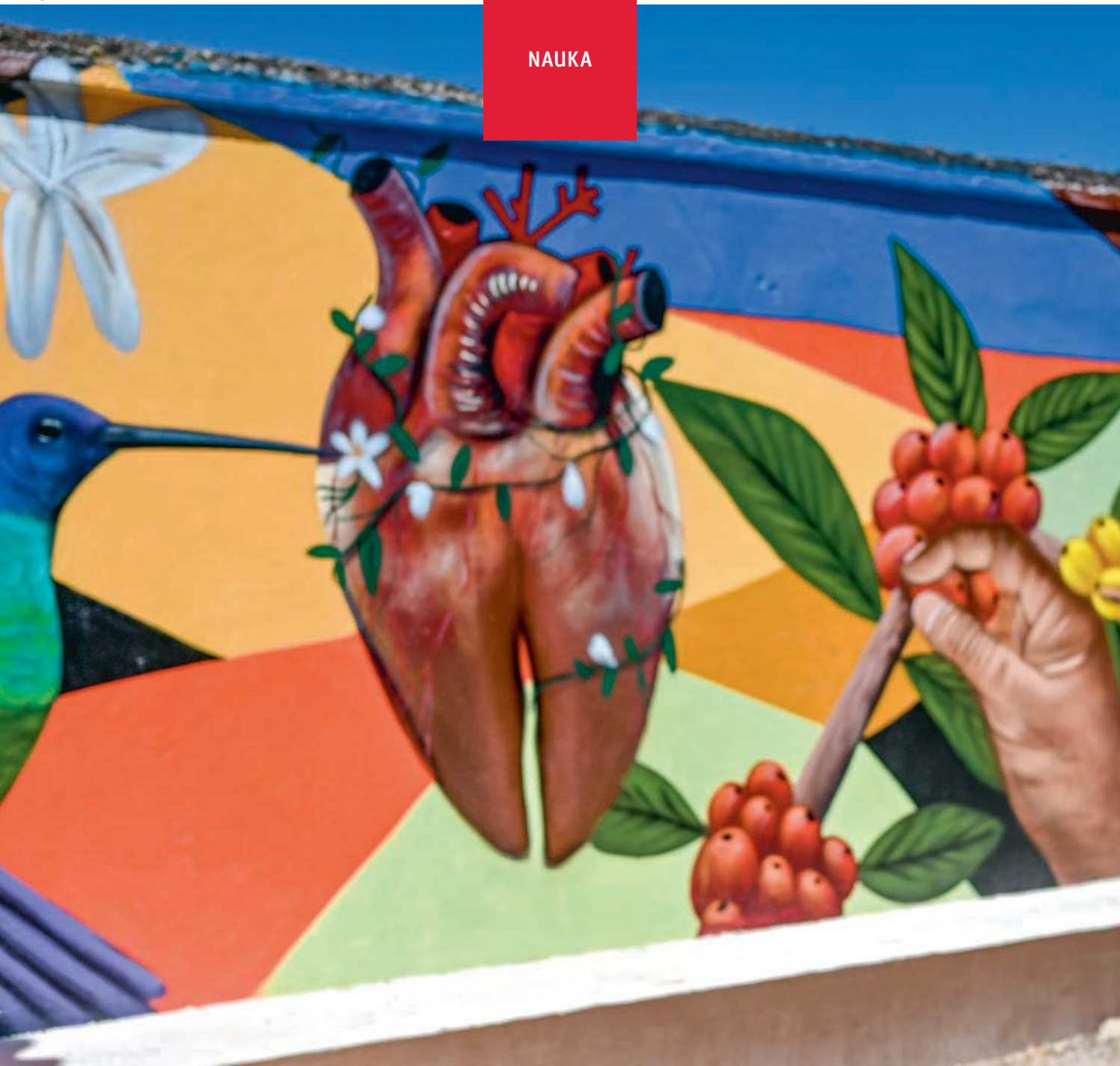
Z polskiego punktu widzenia uwagę przykuwają fragmenty książki Oschmanna, gdzie problemy wschodnich landów pokazuje on w szerszej perspektywie: postrzegania przez Zachód całej Europy Wschodniej.

Ze źródeł literackich, które przytacza, wyłania się obraz naszej części kontynentu, zwłaszcza tej słowiańskiej, jako niższej i wymagającej ucywilizowania przez wysoką kulturę Niemiec czy szerzej zachodniej Europy. Do tego gorszego towarzystwa przypisano też obszar byłej NRD. Nie dziwi zatem wyznanie autora, że w międzyludzkich kontaktach często bliżej mu do Polaków i Czechów niż do zachodnich Europejczyków. A jeśli już wybiera się na Zachód, to „porządnie”: do Wielkiej Brytanii, a najlepiej USA, gdzie jego pochodzenie przestaje się źle kojarzyć.

Zważywszy na długą historię zachodnich uprzedzeń do Wschodu, Oschmann nie robi sobie nadziei na rychłą poprawę. Tym bardziej że realna zmiana musiałaby naruszyć nie tylko sferę mentalności, ale też wymierne interesy (stanowiska, pieniądze), podtrzymujące hegemonię Zachodu. Popularność jego książki – właśnie zrobiono dziesiąty dodruk – może być jednak też sygnałem nadchodzących przewartościowań. Podobnie jak echo po wypowiedziach Merkel, która na przyszły rok zapowiada publikację wspomnień.

Czy zmiana objęłaby też środkową i wschodnią część kontynentu? Rosnąca waga tego obszaru wskutek wojny na Ukrainie i fiasko polityki Niemiec wobec Rosji stwarzają ku temu jakąś szansę.

© PIOTR BERNARDYN



ILOŚĆ PONAD JAKOŚCIĄ

KRZYSZTOF SZYMANEK, PIOTR SZYMANEK

W raportach z badań naukowych często zwracamy uwagę na samo występowanie jakiegoś zjawiska czy efektu. Rzadziej – na jego znaczenie lub siłę.

Mural w muzeum kawy, San Cristóbal, Meksyk, styczeń 2022 r.

wiele, dopóki nie dowiemy się, w jakim stopniu wzrasta to zagrożenie. Bardzo czy tylko nieznacznie?

Krótki sen milionera

W zjawiskach otaczającego nas świata dostrzec można dwa aspekty: jakościowy i ilościowy. Gdy pytamy o ten pierwszy, interesuje nas odpowiedź typu „tak” lub „nie”: czy istnieje jakieś zjawisko albo związek między zjawiskami. Z informacjami jakościowymi mamy do czynienia w naszym życiu codziennym najczęściej. Również wśród doniesień ze świata badań naukowych nieustannie natykamy się na tego rodzaju komunikaty – przykładowo, że istnieje zjawisko dziedziczenia doświadczeń rodziców przez dzieci, że inteligencja związana jest ze skłonnością do używania wulgaryzmów czy że poeci są raczej nocnymi sowami niż rannymi skowronkami. Musimy jednak brać pod uwagę, że każde z tych zjawisk ma jakieś swoje większe lub mniejsze nasilenie.

Myślenie o rzeczywistości w binarny sposób („tak” lub „nie”) jest przydatne – wszak deszcz tylko pada lub nie, a polityk albo kłamie, albo nie kłamie – ale bez ustaleń ilościowych nie mamy szans na stworzenie sobie poprawnego obrazu świata. Rzeczywistość jest bowiem na tyle skomplikowana, że odpowiedź na nasze pytania rzadko bywa zero-jedynkowa. Ostatecznie nawet deszcz może padać z różnym natężeniem: być potężną ulewą lub niemrawym kapuśniaczkiem.

Przeskok do myślenia ilościowego – o natężeniu, stopniu, o sile wpływów i wzajemnych związków – uwydatnia sytuacja, w której musimy uwzględnić kilka czynników i porównać je ze sobą, by wybrać najlepszy wariant. Możemy czasem przeczytać, że pobyt w górach ma łagodzić objawy depresji. Ale czy jest skuteczniejszym środkiem niż terapia albo wsparcie bliskich? Podobnie pytani o klucz do swojego sukcesu biznesmeni mówią nieraz, że w zdobyciu majątku pomogło im wstawanie wcześniej rano – pewnie tak było! Są jednak inne czynniki, które pomogły im w tym bardziej, i trudno się spodziewać, że wystarczyłoby nastawiać budzik na szóstą, by wkrótce zarobić miliony. Prześledźmy tę kwestię na kilku przykładach z różnych dziedzin.

Kto lubi gorzką kawę

Zacznijmy od artykułu opublikowanego na jednym z dużych portali, w którym przedstawiono wyniki badań wskazujących na związek między zamiłowaniem do gorzkich potraw a psychopatią (jak mówią psychiatrzy: osobowością dyssocjalną). Ludzie z tym zaburzeniem osobowości okazują się częściej lubować w gorzkich potrawach i napojach. Autorzy tekstu dają czytelnikowi ich zdaniem dobrą radę, która miałaby wypływać z tych ustaleń: widzisz, że twój znajomy pije gorzką kawę? Zastanów się, czy nie masz do czynienia z psychopatą!

Kiedy jednak zajrzymy do artykułu naukowego cytowanego w tekście, zdamy sobie sprawę z niedorzeczności podobnego zalecenia. Rzeczywiście, im więcej osoby uczestniczące w opisywanym badaniu zdobywały punktów na skali zamiłowania do gorzkich potraw, tym więcej uzyskiwały też punktów na skali osobowości dyssocjalnej. Jednak związek odnotowany w publikacji jest bardzo słaby: siła korelacji, którą w statystyce określa się współczynnikiem r , ma tu wartość $0,14$, a więc zgodnie ze standardową interpretacją – niewiele.

Warto wyraźnie pokazać, jak słaby jest to związek. Odnotujmy najpierw, że według różnych źródeł osób z dyssocjalnym zaburzeniem osobowości (psychopatów) jest w społeczeństwie około 2 proc. Jeśli więc nie wiemy absolutnie niczego o kimś, to prawdopodobieństwo, że jest on psychopatą, wynosi 2 proc. O ile zwiększy się to ryzyko, gdy dowiemy się, że ta osoba jest rozmiłowana w gorzkich smakach? Otóż założywszy, że chodzi o kogoś darzącego gorycz wyjątkowo mocnym uczuciem (silniejszym niż uczucie 98 proc. całej populacji!), to prawdopodobieństwo, że jest to psychopata, wyniesie... ok. 4 proc. A zatem wiedza o zamiłowaniach kulinarnych tylko minimalnie, o 1-2 pkt. proc., zwiększa ryzyko, że mamy do czynienia z osobą o osobowości dyssocjalnej. Zauważmy zresztą, że fakt picia gorzkiej kawy nie daje jeszcze podstaw do przekonania, że chodzi o kogoś fanatycznie uwielbiającego gorycz – a takie założenie zrobiliśmy w naszych wyliczeniach.

Wróćmy jeszcze do komunikatu o związku spożywania gorących płynów z rakiem. Nie wspomnieliśmy, że zawierał on jedną liczbę: otóż gorące napoje zwiększają ryzyko raka →



ARTURA WIDAK / NUR PHOTO / GETTY IMAGES

PICIE GORĄCYCH PŁYNÓW ZWIĘKSZA ryzyko raka przełyku” – kilka lat temu można było przeczytać na wielu portalach internetowych. Brzmi groźnie. Gdy dociera do nas taki komunikat, odkładamy na bok kubek gorącej herbaty, a niektórzy mogą nawet poczuć ochotę, by zainwestować w kuchenny termometr. Wyjaśnijmy: picie gorących płynów rzeczywiście zwiększa ryzyko nowotworu, ale sam ten fakt nie znaczy

⇒ przełyku o 90 proc. Autorzy niniejszego tekstu zadali około setce studentów pytanie: czy w takim razie osoby pijące gorące płyny prawie na pewno (z prawdopodobieństwem 90 proc.) zachorują na raka? Zdecydowanie dominowała opinia, że tak. Tymczasem, choć z opisanego badania wynika, że picie gorących płynów rzeczywiście zwiększa ryzyko raka przełyku o 90 proc., trzeba mieć tu na uwadze, że ryzyko to jest wyjściowo niezwykle małe. Zaledwie kilka osób na tysiąc zapada w ciągu swojego życia na podobny nowotwór. Na podstawie naszych oszacowań, wśród Polaków, którzy nie piją gorących płynów, zachorowalność wynosi około 2 na 1000 osób. Pośród miłośników gorącej herbaty jest to o 90 proc. więcej, ale to wciąż poniżej 4 na 1000 Polaków. Podobnie kupienie dwóch biletów na loterię zwiększa nasze szanse na wygraną o 100 proc. (dwukrotnie!), ale prawdopodobieństwo trafienia jest wciąż śmiesznie małe.

Jak działa, to działa

Temat osobowości dysocjalnej może wydawać się mało istotny w naszym codziennym życiu, ale myślenie jakościowe potrafi sprowadzić nas na manowce, także gdy chodzi o radzenie sobie w społeczeństwie czy o nasze zdrowie. Na rynku znajduje się dziś wielka liczba książek poradników formułujących rozmaite zalecenia wynikające jakoby z ustaleń naukowych. Obejmują one szeroki wachlarz porad: od radzenia sobie ze stresem, przez porady dotyczące rozmów kwalifikacyjnych, po sposoby na zwalczanie moli spożywczych w kuchni. Zalecenia te bardzo rzadko opatrzone są informacją o sile działania rekomendowanych środków.

Weźmy za pierwszy przykład liczne publikacje o tym, jak na podstawie „mowy ciała” odgadywać emocje i myśli naszego rozmówcy oraz sprawdzać, czy on kłamie („stań się ekspertem w rozszyfrowywaniu ludzi” – zachęcają nas tytuły książek i artykułów). Oczywiście wykrywanie kłamstwa to umiejętność bardzo atrakcyjna, którą większość ludzi chętnie by posiadała. I faktycznie, badania naukowe dostarczyły wielu dowodów na to, że osoba kłamiąca przejawia pewne charakterystyczne zachowania. Przykładowo, kłamcy częściej się śmieją, unikają spojrzenia rozmówcy albo – przeciwnie – nienaturalnie długo utrzymują kontakt wzrokowy. Problem jest taki, że związek tych oznak z kłamstwem faktycznie istnieje, ale jest bardzo słaby: wskaźniki statystyczne określające siłę związku przyjmują tu wartości uznawane przez specjalistów za niskie. Obrazowo mówiąc: kłamcy się śmieją, ale niewiele częściej od mówiących szczerze; unikają także spojrzenia rozmówcy, ale prawdomówni robią to tylko trochę rzadziej.

Znajomość oznak kłamstwa w bardzo nikłym stopniu poprawi nasze kompetencje w zakresie jego wykrywania, a na pewno nie uczyni nas mistrzami rozszyfrowywania ludzi. Jak wykazali m.in. Aldert Vrij i Samantha Mann w eksperymencie opisanym w 2008 r., nawet profesjonaliści zawodowo związani z wykrywaniem kłamstw (w tym przypadku policyjni śledczy), radzą sobie z tym zadaniem mniej więcej tak samo dobrze, co reszta populacji. A w zasadzie równie źle – średnia skuteczność wykrywania fałszywych zeznań wśród uczestników tego eksperymentu wynosiła 50 proc. Tyle co przy przewidywaniu wyników rzutu monetą.

Innego przykładu informacji czysto jakościowych dostarczają reklamy leków i terapii, od których nie wymaga się wzięcia pod uwagę kwestii ilościowej. Gdy kupujemy suplementy diety i lekarstwa, interesujemy się przede wszystkim tym, czy dany środek działa, a rzadziej tym, jak mocno działa. Producent może więc zgodnie z prawdą informować na opakowaniu czy w reklamie, że lek poprawia odporność, łagodzi zmarszczki czy zwalcza otyłość brzuszna, ale nie musi zaznaczać, że możliwa do stwierdzenia poprawa uzyskuje się, powiedzmy, w 5 przypadkach na 100. Warto więc pamiętać, że nawet gdy działanie leku jest wiarygodnie poświadczane, nie znaczy to jeszcze, że w ogóle odczuwamy jego działanie.

Wszystko to nie świadczy, rzecz jasna, że nie warto przyjmować leków, a już w szczególności tych przepisanych przez lekarza, opartych na setkach precyzyjnych badań klinicznych, których efekt jest zazwyczaj wystarczająco silny. Sztuka medycyny często polega na dobraniu odpowiedniego leku dla danego pacjenta, biorąc pod uwagę mnogość różnic indywidualnych.

A jednak z Ziemi

Problem z myśleniem ilościowym i jakościowym przejawia się też w doniesieniach dotyczących różnic społecznych. Najbardziej bodaj jaskrawym przykładem jest tu kwestia różnic występujących między mężczyznami i kobietami, o których mawia się, że pochodzą, odpowiednio, z Marsa i Wenus. To powiedzenie zawdzięczamy książce Johna Graya z 1992 r., która wciąż cieszy się na świecie ogromną popularnością. Dała ona początek fali naśladownictw w publikacjach psychologii popularnej, dokumentujących różnorakie, jakoby fundamentalne odmienności płci. Różnice mają dotyczyć przede wszystkim sposobów komunikowania się mężczyzn i kobiet, stanowiąc jakoby przyczynę wiecznych nieporozumień. Często jednak wnioski autorów podobnych opracowań opierają się wyłącznie na osobistych obserwacjach – czy są one miarodajne i spójne z wynikami systematycznych badań?

Przeprowadzono wiele badań na temat różnic komunikowania się płci, które generalnie pokazują, że kobiety różnią się od mężczyzn pod wieloma względami. Wraca do nas jednak kluczowe pytanie:

Wyrazy współczucia i wsparcia dla
Joanny Stawiarskiej oraz jej rodziny
z powodu śmierci

Ojca

składają

PRZYJACIELE Z KLUBU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

o ile? Okazuje się, że często odmienności są nieznaczne. W języku statystyki różnice oddaje się parametrem zwanym „d Cohena”. Wynik równy 0 oznacza brak różnicy, wartość między 0 a 0,1 opisywana jest zaś jako: „różnica istnieje, ale jest ona bez znaczenia”. Dopiero $d = 0,5$ oznacza różnicę pełnokrwistą. Przykładowo, istnieje bardzo duża różnica we wzroście mężczyzn i kobiet w Polsce – w tym przypadku $d = 1,5$. Kiedy losowo wybierzemy kobietę i mężczyznę, to w 92 proc. przypadków kobieta będzie niższa od mężczyzny. A jak wypada porównanie skłonności do mówienia kobiet i mężczyzn, ustalone w kilkudziesięciu badaniach?

Wbrew ustalonym stereotypowi, według którego kobiety przejawiają większą skłonność do wielomówstwa, różnica stwierdzona w badaniach to $d = 0,11$ – a więc jest to różnica, której w potocznym życiu nie jesteśmy w stanie uchwycić, a którą „dostrzegamy” prawdopodobnie na bazie stereotypu. Podobnie wypada skłonność do mówienia o sobie, która według stereotypu powinna dotyczyć kobiet dużo bardziej niż mężczyzn. Otrzymujemy tutaj $d = 0,18$. Znowu: różnica istnieje, ale jest znikoma. Czy mężczyźni częściej przerywają rozmówcy? Tak, ale $d = 0,15$. Całkiem wyraźna jest jednak różnica w rozpoznawaniu sygnałów pozawerbalnych. Kobiety są trochę lepsze: $d = 0,4$.

Istnieją co prawda znacznie wyraźniejsze różnice w psychologii mężczyzn i kobiet, ale wygląda na to, że przynajmniej w kwestii codziennej komunikacji przedstawiciele obu płci nie różnią się tak, jakby pochodzili z różnych planet. Parafrazując jedną z badaczek komunikacji, Kathryn Dindie, która napisała obszerną recenzję książki Graya, prawdopodobnie najlepiej byłoby powiedzieć, że mężczyźni są z Gdańska... a kobiety z Gdyni.

Klątwa „może”

Na koniec chcielibyśmy wspomnieć o pewnym szczególnym znaku rozpoznawczym myślenia jakościowego, który – choć z pozoru niewinny – powoduje nie lada kłopot w przekazach medialnych. To jedno kłopotliwe słowo – „może”.

Gdy jakiś komunikat uwzględnia ilościowe aspekty danego zjawiska, to istnieje zagrożenie, że ktoś, powołując się na niego, zastąpi liczbowe wartości nieokreślonym słowem „może”. Problem



ARTURA WIDAK / NUR PHOTO / GETTY IMAGES

Pytani o klucz
do swojego sukcesu
biznesmeni mówią nieraz,
**że w zdobyciu majątku
pomogło im wstawanie
wcześnie rano.**
Pewnie tak było!
Jednak inne czynniki
pomogły im o wiele bardziej.

polega na tym, że z „może” prawie nic nie wynika i na podstawie tego, co się może zdarzyć, nie sposób podjąć jakiejkolwiek racjonalnej decyzji. Samolot może spaść, każde lekarstwo może nas zabić, złodziej może sforsować każdy rodzaj zamka, ale to nie stanowi powodu, by nie lecieć samolotem, nie leczyć się czy nie instalować zamków w drzwiach. O wszystkim decyduje prawdopodobieństwo. Lekarstwo może nam zaszkodzić, ale prawdopodobieństwo, że to się stanie, jest znikome w porównaniu z prawdopodobieństwem, że zaszkodzi nam nieprzyjęcie lekarstwa. Myślenie jakościowe, oparte na „może”, prowadzi do zdecydowanie nieracjonalnych decyzji. Czy – przykładowo – warto nosić maseczki w czasie epidemii? Myślenie ilościowe prowadzi do zupełnie innego rozumowania niż jakościowe. „Ilościowiec” zastanowi się nad tym, o ile maseczka zmniejsza ryzyko zakażenia – o 10, 50 czy 90 proc.? „Jakościowiec” pyta natomiast: czy można się zarazić pomimo noszenia maseczki? Ponieważ odpowiedź brzmi „tak”, decyduje się na to, by jej nie zakładać.

Z niezliczonych artykułów w prasie popularnej dowiadujemy się, że lekarstwo „może zwalczać raka”, „bałaganiarstwo

może świadczyć o wysokiej inteligencji” czy też, że dany suplement „może zmniejszyć ryzyko demencji”. Partykuła „może” jest o tyle szkodliwym przypadkiem myślenia jakościowego, że nie tylko zaciera informacje o sile wpływu, ale wręcz zmusza do balansowania na krawędzi istnienia i nieistnienia związku między zjawiskami. Komunikat zawierający słowo „może” jest zbyt ogólnikowy i w istocie trywialny: bo też trudno znaleźć przypadek, gdzie coś na pewno być nie może.

Racjonalnie, czyli jak?

Pytanie jak zawsze brzmi: jak żyć? Mogłoby się здаwać, że z powyższych rozważań wynika, iż nie warto zwracać uwagi na artykuły popularnonaukowe (co byłoby kłopotliwym wnioskiem wypływającym z artykułu popularnonaukowego) albo wręcz nie ufać żadnym informacjom w nich zawartym. Istnieją jednak sposoby na to, by wciąż raczyć się fascynującymi newsami ze świata nauki, zachowując ostrożność w stosunku do wyborów i decyzji, do których mogą nas one doprowadzić.

Ogólną zasadą byłoby: starać się podejmować decyzje i działania tak, by maksymalizować siłę ich efektu, zamiast opierać się tylko na informacji, że jakiś efekt zachodzi. Osobowość dyssocjalną można przewidzieć znacznie trafniej na bazie innych danych niż preferowanie gorzkiego smaku przez daną osobę, a unikanie gorących płynów obniży ryzyko nowotworu przełyku, ale w stopniu zanedbywalnym. Zażywanie suplementów pomoże przy niedoborach składników odżywczych, ale warto upewnić się, czy znacznie bardziej nie pomogą nam inne środki – to samo tyczy się zresztą wspomnianych gór, mających łagodzić objawy depresji. Co wcale nie oznacza, że w góry chodzić nie warto – ale przecież na to nikomu nie potrzeba argumentów naukowych.

© KRZYSZTOF SZYMANEK,
PIOTR SZYMANEK

DR HAB. KRZYSZTOF SZYMANEK jest profesorem Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Zajmuje się logiką oraz filozofią i metodologią nauki.

PIOTR SZYMANEK jest doktorantem w Szkole Doktorskiej Nauk Społecznych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się religioznawstwem i kognitywistyką religii.

ELIZA

Kacka: Odszkodowanie kregostupa



AUTOBUS 519, DWIE PÓZNONASTOLETNIIE. „matka powiedziała, że mnie nie puści, bo mnie ojciec nie uświadomił”. „bosz, dlaczego ojciec?! wstydzi się?”. „też. ale ojciec ma mi opowiedzieć, jak faceci mnie będą napastować”. „ona w ogóle gadała z tobą o seksie?”. „co ty. matka nie wie, co to jest”. „no chyba wie, skoro cię urodziła”. „ona mówi, że to się nie łączy”. „bosz, to po co ojciec?”. „dla matki to ja nigdy nie będę miała seksu. mam tylko umieć facetom odpowiadać”.

Tramwaj, w mojej pakamerze siedzeniowej dwie nad komórką. „zobacz, dała wiersz o kocie Szymborskiej”. „ja ogólnie nie mogę Szymborskiej, ale kot pasuje do śmierci. słodkie”. „u mnie Szymborska na »nie« poza kotem. ten znam na pamięć”. „jak to?”. „połączyłam na przedstawieniu kota z księdzem Twardowskim”. „ooo, słodkie. ale jak?”. „no bo co może mówić kot w pustym mieszkaniu? uczennica recytowała początek wiersza, tak do »Spać i czekać«. i chłopak w stroju kota wchodził ze »Śpieszmy się kochać ludzi...«”. „geniaaalne”. „a potem już końcówka od Szymborskiej nie pasuje, więc idzie mój tekst, że kot ma ciężką refleksję. następnie patrzy w okno i panuje zaduma”. „Aśka, nie wiedziałam, żeś ty taka autorka!”.

Autobus 116, dwie trzydziestoletnie, jedna z wózkiem. „twój był na marszu?”. wózkowa: „był. ktoś musi”. „ale ty masz go przy dzieciaku, Małgosia?”. „nienowiesz, tak ogólnie to trochę mało”. „może zmiana pracy?”. „nienowiesz, on jest ideowy”. „?”. „dziadek walczył ogólnie, ojciec”. „wujek?! w czym?”. „słuchaj, no, nie pamiętam, walczył z postawy. Grzesiek też walczy. tylko teraz ma ciężko”. „oni nie będą tak ciągle maszerować”. „no niby, ale co on ma za to kregostupem płacić?”. „fakt”. „ja to bym wogóle nie miała cierpliwości, ale Grześ uważa, że to jednak też Polacy”. „a zdrowie?”. „nienowiesz, ja mu powiedziałam, że ma wystąpić o odszkodowanie kregostupa i emeryturę”. „i co?”. „no mam nadzieję, że jak się jesienią uspokoi, to mu zrobią na rękę”. „ja myślę. to nasz współczesny husarz, nie?”.

Dzwoni staruszka od ciśnienia. „pani elizo, żyje pani?”. „owszem”. „widziała pani pismo od wspólnoty?”. „nie, siedzę za granicą”. „fiufiu. a gdzie?”. „a u przyjaciół w Berlinie”. „o, to szybko wynaradawia. czuje się pani jeszcze trochę

Polką?”. „to krótki pobyt”. „no to może nie straciliśmy pani. a jednak mniej bym się martwiła, gdyby to były Włochy”. „hm?”. „Włochy nie wynaradawiają, wiadomo. czy ktoś już panią uwiódł perwersyjnie?”. „jeszcze nie”. „szkoda, może coś by pani miała z tej zdrady narodowej. Niemcy w końcu na pierwszym miejscu w tabelce”. „u, to jest taka tabelka?”. „gwarantuję pani, że wisi u któregoś z ministrów nad łóżkiem”.

Pociąg do Poznania, dwie starsze. „nie cała zagranica zła. byłam u córki w Paryżu”. „polecała pani?!”. „syn zawiózł”. „grzecznie”. „po drodze nic. Niemcy brzydkie, tylko wysprzątane”. „za nasze pieniądze z Unii”. „Francja lepsza. mąż córki tam jest ataszem”. „nono”. „chciałam zobaczyć jeden kościół, Serce Jezusowe. phi, kopuła jak w Licheniu, okrągła, tylko mniej pieniędzy włożyli. został taki biały, bez zdobień”. „i już go nie ukończą, pani droga”. „ta cała Eiffla jak słup prądowy, tylko wyższy, kto by to u nas uznał za symbol...”. „bezuście”. „nic lepszego nie widziałam niż u nas w Kielcach, jak Boga kocham”. „a trochę pani była”. „dwa dni! i codziennie coś pokazywali”. „a mówi się, że Polacy mają kompleks”. „ototo”.

Berlin, późne popołudnie, dwadzieścia stopni. stawek lokalny, przytęchły. w nim stadka kaczek, w trzcinach sporo śmiecia – nadprzeciętnie jak na zadbaną okolicę. duszno i rdzawo, bo woda i ścieżki w podobnych odcieniach brudnego brązu z fastrygą zieleni, słonecznych refleksów. betonowymi schodami w dół. siadam na ławce pod skarpą ulicy. pozostałe – nieliczne – obsadzone staruszkami, matkami z dziećmi. na najbliższej kloszardowata, w rękawiczkach bez palców, pod warstwą kamizelek, w kapeluszu po strachu na wróble. robi kulki z bulcanego mięszu, macza w jogurcie i kładzie na języku. zlapała moje spojrzenie i wgapia się przenikliwie. po chwili jej wzrok raptem nieprzytomnieje. jakby miała dwie pary rotujących gałek. „kaczki” – rzuca gardłowo. potwierdzam skinieniem głowy. „kiedyś byłam kaczką”. dobrze zrozumiałam? powtarza. dobrze. „a teraz jestem wariatka” (mantruje „ferrykt, ferrykt” na melancholicznym wzdłużeniu). zatyka mnie. milczymy. wstaje i zbliża się do brzegu niezdarnym, kulawym płasem. wypłukuje kubek po jogurcie, wraca na miejsce. „w końcu wszyscy wyładujemy przy tym stawie” – wypalam pocieszająco. podnosi na mnie wzrok. inny niż tamte. wściekły, stężały. „my tu zostaniemy, wy musicie odejść”. „wy?”. „wy, ludzie”. ścigało mnie jeszcze jej królewskie, właścicielskie „rrraus!”, gdy przecinałam ulicę.

Folder „inne” koi: „Szanowna Pani, miałem już pisać do pani miesiąc temu, ale się zniechęciłem. Nawiażę za tem maila sprzed miesiąca. Jak wiadomo, myślałem o literaturze, w której podobno posiada Pani orientację. Chciałem tylko zaznaczyć, że jej Pani nie posiada, ale ponieważ nie wysłałem listu, to nie przyjmuję protestu. Łączę wyrazy (niech Pani, wstawi czego)”. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

WAKACYJNY WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**

„TP” 25/2023





Edwin Landseer, Doubtful Crumbs, 1858-1859 r.

Jeżeli nie Luwr, to co?

PIOTR KOSIEWSKI

Wielkie muzea wydają się niemożliwe do pominięcia. Zgromadzone w nich dzieła są już częścią kultury masowej. Można jednak wybrać alternatywną ścieżkę: miejsca mniej znane, świadectwa kolekcjonerskich pasji.

Wiek XIX był złotym okresem muzeów. Stworzyły one wtedy kolekcje, które do dziś określają ich znaczenie w świecie sztuki. Stały się ważnymi publicznymi instytucjami, wpływającymi na gusty i upodobania. Budowały prestiż państwa, jego siły kulturowej, kreowały narodową tożsamość. Stąd zaangażowanie władz państwowych w ich tworzenie oraz wzbogacanie zbiorów.

Wiek XIX to także czas wielkich kolekcji prywatnych, tworzonych przez zdo-

wające coraz silniejszą pozycję burżuazję i mieszczaństwo. Część tych zbiorów trafiła potem – w formie darowizn lub zakupów – do muzeów. Bez tych indywidualnych pasji nawet największe z nich nie posiadałyby tak wspaniałych obrazów czy rzeźb – a niewielu zwiedzających ma świadomość, za czyją sprawą znalazły się one w muzealnych salach. Niektóre z kolekcji do dziś, dzięki decyzjom ich założycieli, można zobaczyć w kształcie, jaki im oni nadali. Więcej nawet: niejednokrotnie zbiory te znajdują się w pomiesz-

zeniach, w których umieścili je dawni właściciele.

W tych muzeach-kolekcjach można zobaczyć dzieła, których nie powstydziłby się paryski Luwr, londyńska National Gallery czy madryckie Prado. Autorstwa największych w dziejach sztuki, jak Sandro Botticelli, Tycjan, Rubens, Rembrandt, Diego Velázquez, Antoine Watteau, Élisabeth Vigée-Le Brun czy Eugène Delacroix. Jednak przede wszystkim są to swoiste kapsuły czasu, w których przechowały się świadectwa ówczesnych gustów, pasji,

artystycznych i intelektualnych mód. A jednocześnie opowiadają one o osobach, które je stworzyły, oraz o ich epoce. Warto zatem zejść z utartych szlaków.

W Londynie pójść do **Wallace Collection**, a nie do słynnej National Gallery. W Paryżu nie przedzierać się przez niezliczone sale Luwru, tylko zajrzeć do kameralnego **Musée Jacquemart-André**. W Mediolanie zamiast Brery wybrać **Museo Poldi Pezzoli**. Ich twórcy urodzili się w podobnym czasie: Richard Wallace w 1818 r. Cztery lata później Gian Giacomo Poldi. Edouard André w 1833 r., a jego żona Nélie Jacquemart osiem lat później. Łączyły ich upodobania, gusty, artystyczne wybory. I przekonanie, że stworzone przez nich kolekcje powinny służyć ogółowi.

Jules de Goncourt, pisarz, krytyk i jedna z najbardziej wpływowych osób w XIX-wiecznym Paryżu, w słynnym, prowadzonym z bratem Edmondem „Dzienniku” zanotował: „Wątpię bardzo w smak czy, jeśli ktoś woli, w przekonania eklektyków tyjące sztuki. Ludzi, którzy znajdują upodobanie w Poussinie i Watteau, a w swym podziwie płaczą Rubensa z Ingres’em, nie mają osobistego stosunku do sztuki. Nie oceniają według własnego temperamentu i uczucia. Są posłuszni prawu ogólnej admiracji; mają poglądy artystyczne, jak czytelnicy »Le Siècle« [jednego z najpopularniejszych francuskich dzienników w XIX w.] poglądy polityczne”.

Goncourtowie chcieli być prawodawcami dobrego gustu. Jednak przypadek wielu kolekcjonerów pokazuje, że jest

możliwe umiejętne łączenie bardzo różnych tradycji, a eklektyczne wybory pozwalały czasem wyjść poza dominujące w ich epoce kanony.

Wallace Collection mieści się w **Hertford House**, w samym centrum Londynu, na tyłach słynnej Oxford Street. Rodzina Hertfordów zamieszkała w tej rezydencji w 1797 r. Dla kolejnych pokoleń ważniejszym miejscem okazał się Paryż. Tam też kolekcji nadano ostateczny kształt. I chociaż nosi imię Richarda Wallace’a, to do jej stworzenia przyczyniły się kolejne pokolenia markizów Hertford.

Francis Charles Seymour-Conway, trzeci z rodu, przyjaciel regenta, a później króla Jerzego IV, wykorzystał wielkie wyprzedaże organizowane w 1793 i 1794 r. przez rewolucyjne władze Francji. Nabył XVII-wiecznych Holendrów oraz francuskie meble, brązy i porcelanę Sèvres pochodzące z dawnych kolekcji królewskich.

Richard Seymour-Conway, czwarty markiz Hertford, większość życia mieszkał w Paryżu. Słynął z niechęci do bliźnich. Goncourtowie w „Dzienniku” przywołali jego słowa: „Ludzie są źli i umierając będą miał przynajmniej tę pociechę, że nigdy nie oddałem przysługi nikomu”. Słynął też z zamiłowania do dzieł sztuki, które nabywał w znacznych ilościach. To jemu Wallace Collection zawdzięcza wiele arcydzieł przechowywanych dziś w londyńskim muzeum, w tym „Portret syna Tytusa”, jedno z najwspanialszych późnych płócien Rembrandta.

Kolekcja czwartego markiza była połączeniem francuskiego i angielskiego gu-

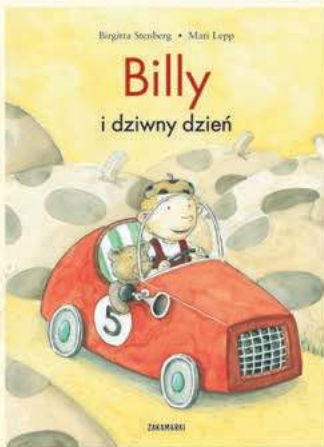
stu, a podziw dla Antoine’a Watteau nie przeszkadzał markizowi posiadać arcydzieł Poussina – chociaż w oczach Goncourtów zapewne nie znalazłoby to uznania. Nigdy też się nie ożenił. Swoim sekretarzem, a potem spadkobiercą uczynił Richarda Wallace’a, nieślubnego syna (nigdy oficjalnie nie uznał swego ojcostwa). Obaj bardzo różnili się usposobieniem, jednak połączyła ich kolekcjonerska pasja. Syna fascynowała przede wszystkim sztuka średniowiecza i renesansu. To jemu Wallace Collection zawdzięcza większość dzieł z tego czasu.

W ich czasach francuska sztuka doby rokoka i wczesnego klasycyzmu była powszechnie ignorowana – w zbiorach Luwru do czasu zapisania w 1865 r. przez Louisa La Caze wspaniałych dzieł m.in. Watteau, Bouchera i Chardina była ona niemalże nieobecna. Czwarty markiz Hertford i Richard Wallace należeli do tych, którzy zmienili ocenę twórczości tego czasu. Słynne *fêtes galantes*, sceny wytwornych zabaw parkowych, koncertów i przedstawień teatralnych, stały się symbolem tego stulecia i zafascynowały kolejne pokolenia kolekcjonerów.

Czwartego markiza Hertford i jego syna łączyło także przywiązanie do Francji. Jednak kolejne rewolucje podważyły zaufanie do Paryża. Po Komunie Paryskiej Richard Wallace postanowił przenieść swoje zbiory w bezpieczniejsze miejsce. Przed wyjazdem подарował miastu 50 żeliwnych fontann z charakterystycznymi postaciami trzech kariatyd. Nie tylko zapewniały mieszkańcom czystą darmową wodę pitną, ale na trwałe →

REKLAMA

WAKACYJNE NOWOŚCI Z ZAKAMARKÓW



Zabawna i świetnie zilustrowana historia o dniu urodzin kilkuletniego chłopca.

Bogato ilustrowana, wakacyjna opowieść Astrid Lindgren o dzieciach z wyspy Saltkråkan.



zakamarki.pl



→ wpisały się w paryski krajobraz. A dziś są przedmiotem kultu (powstało nawet specjalne Société des Fontaines Wallace).

Swoją siedzibą uczynił Hertford House, który specjalnie przystosowano do prezentowania kolekcji. Zmarł w Paryżu w 1890 r. Wdowa po nim postanowiła przekształcić dom w publiczne muzeum. Zostało ono otwarte dla publiczności w 1900 r. i do dziś zasadniczo trwa w niezmienionym kształcie.

Mediolańczyk **Gian Giacomo Poldi Pezzoli** także odziedziczył znaczny majątek. Po osiągnięciu pełnoletności przejął rodzinne interesy. Na krótko. W 1848 r. poparł ruch na rzecz zjednoczenia Włoch. Po jego stłumieniu musiał uciekać z rodzinnego kraju.

Mając zaledwie 20 lat wyjechał do Szwajcarii, a następnie podróżował po Francji i Wielkiej Brytanii. Oglądał tamtejsze zbiory, poznał ważnych historyków i krytyków sztuki, m. in. Charlesa Eastlake'a, dyrektora londyńskiej National Gallery. Postanowił stworzyć kolekcję.

Fascynowała go dawna broń, jednak dość szybko zaczął zbierać obrazy renesansowe z Lombardii, Veneto oraz Toskanii. Kupował dawne rzemiosło artystyczne. I podobnie jak czwarty markiz Hertford oraz jego syn nie pomijał XVIII w., tyle że interesowała go przede wszystkim sztuka włoska tej epoki. Nabył m.in. „Gondolę na lagunie” Francesca Guardiego, jeden z najpiękniejszych weneckich pejzaży. Kolekcjonował też XVIII-wieczną porcelanę miśnieńską.

Powstała kolekcja, która dobrze oddaje upodobania epoki. Jednak niektóre z wyborów wyprzedzały swój czas. Gian Giacomo Poldi Pezzoli należał bowiem do tych, którzy szczególną uwagę zwrócili na sztukę wczesnego renesansu. Zakupił Sandra Botticellego, dotąd pozostającego trochę na marginesie zainteresowania historyków i miłośników sztuki. Także dzieła Andrei Mantegni, ale przede wszystkim monumentalny wizerunek „Świętego Mikołaja z Tolentino” autorstwa Piera della Francesca, którego twórczość docenią dopiero kolejne pokolenia.

Dla prezentacji tego bardzo różnorodnego zbioru Poldi Pezzoli postanowił stworzyć specjalne przestrzenie wystawiennicze i przebudować rodzinny dom w centrum Mediolanu. Zadanie to powierzył dwóm cenionym wówczas architek-



Antonello da Messina, Czytająca kobieta, 1460 r.

tom, Giuseppe Bertiniemu i Luigiemu Scrosati, którzy – inspirując się stylami z przeszłości – nadali kolejnym pomieszczeniom własny charakter. Historyczny eklektyzm dominował wówczas w architekturze. Jednak w tym przypadku nawiązania do przeszłości miały przede wszystkim służyć możliwie najlepszemu wyeksponowaniu cennych obiektów z kolekcji.

W stworzonej przez dekoratora La Scali Filippa Peroniego neogotyckiej Sala d'Armi znalazły się więc zbiory dawnej broni. W nawiązującej do czasów renesansu – dzieła mistrzów XV w. A w rokokowej Sala degli Stucchi – kolekcja XVIII-wiecznej porcelany. Powstał dom-muzeum, w którym wszystko zostało podporządkowane jednemu celowi: podziwianiu dawnej sztuki.

Poldi Pezzoli umiera nagle w 1879 r. Jego zbiory od tej pory mają być publicznie prezentowane. Muzeum zostaje otwarte w 1881 r. W sierpniu 1943 r. naloty lotnicze niszczą centrum Mediolanu, poważnie uszkodzony jest też gmach **Museo Poldi Pezzoli**. Wiele dekoracji wnętrz przepadło. To, co ocalało, po wojnie starannie odrestaurowano i ponownie zapełniono ocalałymi zbiorami.

Świadectwem kolekcjonerskich pasji tego czasu jest wreszcie paryskie **Musée Jacquemart-André**. Jego współtwórcą,

Édouard André, był spadkobiercą jednej z największych fortun Drugiego Cesarstwa. Jako młody człowiek został członkiem elitarnego korpusu oficerskiego, odpowiedzialnego za ochronę Napoleona III, jednak szybko opuścił wojsko. W 1864 r. został posłem do Zgromadzenia Narodowego. Zaczął także kolekcjonować sztukę.

Nabywa rzemiosło artystyczne oraz prace współczesnych mu artystów, m.in. Delacroix i przedstawicieli Szkoły z Barbizon. Jednak coraz bardziej interesuje go przeszłość. Postanawia też wznieść swój własny pałac. Wybiera działkę przy bulwarze Haussmanna, powstałym w ramach wielkiej przebudowy Paryża za czasów Napoleona III. Budowę powierzono Henri Parentowi, który w latach 1869-1876 stworzył budynek inspirowany architekturą francuską XVIII w. Inauguracja rezydencji stała się wielkim wydarzeniem. „Nie można znaleźć bardziej godnego podziwu miejsca” – pisał z zachwytem „L'illustration”. Doceniono starannie zaaranżowane reprezentacyjne sale, klatkę schodową z efektownymi podwójnymi spiralnymi schodami czy ogród zimowy zaprojektowany przez Charles'a Garniera, twórcę paryskiej Opery.

Édouard André wspierał rozwój krytyki i historii sztuki. W 1872 r. zakupił „Gazette des Beaux-Arts”, jedno z najważniejszych pism artystycznych w Europie. I nieustannie powiększał swoją kolekcję. Od 1881 r. wspierała go żona Nélie Jacquemart, młoda malarka, autorka cenionych portretów, m.in. znanego historyka i polityka, prezydenta Francji Adolphe'a Thiersa. W ich wspólnych zbiorach znalazły się m.in. obrazy Rembrandta, w tym zjawiskowa „Wieczera w Emaus”. Jednak Édouarda André przede wszystkim fascynował wiek XVIII. Obrazy, rzeźby, meble czy gobeliny zapełniły reprezentacyjne wnętrza, utrzymane w stylu Ludwika XV i jego następcy. Natomiast Nélie Jacquemart szczególnie interesowała się malarstwem i rzeźbą włoską XIV i XV stulecia, która zaczynała być coraz bardziej ceniona. Nabyte przez nią dzieła m.in. Sandra Botticellego, Vittorego Carpaccio, Donatella, Mantegni czy Paola Uccello tworzą jedną z najpiękniejszych kolekcji sztuki tego czasu, nie tylko we Francji. Dla tych dzieł zaprojektowano zresztą specjalne

MATERIAŁY PRASOWE MUSEO POLDI PEZZOLI

pomieszczenia w pałacu, utrzymane w stylu renesansu i nazwane Muzeum Włoskim. Wreszcie, w ich pałacu znalazły się imponujące freski Giambattisty Tiepola z Villi Contarini-Pisani w Mirze, w tym wspaniała scena powitania Henryka III przez dożę Contariniego. Ten nabytek wywołał oburzenie we Włoszech. Próbowano nie dopuścić do wywieżenia tych malowideł. Jednak ostatecznie trafiły do Paryża.

Edouard André zmarł w 1894 r. Jego żona nadal powiększała zbiory. Zmarła w 1912 r. Kolekcję zapisała Institut de France pod warunkiem zachowania integralności zbiorów i dostępu do nich możliwie największej publiczności. W 1913 r. muzeum w ich pałacu zostało otwarte dla zwiedzających.

Za przykładem Richarda Wallace'a czy Edouarda André i Nélie Jacquemart poszli kolejni, jak francuski bankier i miłośnik sztuki XVIII w. Moïse de Camondo (1860-1935), twórca paryskiego **Musée Nissim de Camondo**, czy wielcy amerykańscy kolekcjonerzy. Do dziś powstają podobne kolekcje-muzea, będące świadectwem pasji kolejnych pokoleń. Coraz częściej poświęcone sztuce współczesnej, jak założone przez Grażynę Kulczyk w Szwajcarii **Muzeum Susch**.

W porozbiorowej Polsce, przeżywającej kolejne powstania i następujące po niej represje, nie udawało się stworzyć podobnych zbiorów. A jednak **Izabella z Czar-toryskich Działyńska**, córka ks. Adama Czartoryskiego, należąca do tego samego co Richard Wallace i inni pokolenia (urodziła się w 1830 r.), stworzyła kolekcję-muzeum. Nie jest ono tak znane jak Mu-

zeum Czartoryskich w Krakowie, ale koniecznie trzeba je zobaczyć.

Izabella Czartoryska po upadku powstania listopadowego znalazła się wraz z rodzicami w Paryżu. Tam w 1857 r. poślubiła Jana Działyńskiego. Oboje zaczęli zbierać dzieła sztuki: ona dawne rzemiosło i grafikę, jego fascynował antyk – zgromadził słynną kolekcję waz greckich. Do Jana Działyńskiego należał też renesansowy **zamek w Gołuchowie**, wzniesiony w latach 1550-1560 dla Rafała Leszczyńskiego. Z czasem zaczął popadać w ruinę, a zniszczeń dopełniły wojska pruskie, które stacjonowały w nim po powstaniu styczniowym. Po ich wycofaniu zabudowania wymagały odbudowy. Podjęła się tego Izabella, która w 1872 r. przejęła Gołuchów od męża.

W latach 1875-1885 przeprowadzono gruntowny remont według projektu architekta Maurice'a Ouradou, współpracownika słynnego Eugène'a Viollet-le-Duca, autora konserwacji najslawniejszych francuskich zabytków, z paryską katedrą Notre Dame na czele. Z Włoch, Francji i Hiszpanii sprowadzono wiele historycznych fragmentów architektonicznych, jak kominki czy obramowania okien, by podkreślić rangę rezydencji. W efekcie powstała romantyczna, pełna uroku budowla.

Nie mniej starannie urządzono wnętrze. Izabella w całej Europie wyszukiwała kolejne dzieła. Dzięki temu powstał jeden z najpiękniejszych zbiorów europejskiego rzemiosła artystycznego. A jednocześnie w wyposażeniu i urządzeniu wnętrza zamkowych akcentowano związki Gołuchowa z rodem Leszczyńskich i z polskimi dziejami. Zaprojekto-

wano też 158-hektarowy park, w którym zasadzono wiele okazów rzadkich i egzotycznych drzew.

Działyńska przed śmiercią utworzyła Ordynację Książąt Czartoryskich w Gołuchowie. W jej statucie poleciła zapisać: „Życzeniem jest moim, aby te dzieła sztuki się nie rozproszyły i aby zbiór ten zachował się pełny i cały po wsze czasy. Spodziewam się, że zbiór powyższy ogółowi pożytek przeniesie, wywołując i podnosząc upodobanie do sztuki i zmysł piękna”. I dodała: „Oglądanie tych zbiorów ma być dostępne dla każdego, pragnącego znaleźć tam źródło pomocnicze do badań naukowych i w zakresie sztuki”.

Muzeum funkcjonowało do 1939 r. Niestety podczas II wojny zbiory zostały zrabowane przez Niemców. To, co udało się odzyskać, w tym słynne wazy gołuchowskie, trafiło przede wszystkim do Muzeów Narodowych w Warszawie i Poznaniu. To ostatnie w 1951 r. przejęło także gołuchowski zamek.

Po konserwacji wnętrza ponownie urządzono w nim muzeum, w którym znalazły się obiekty z własnych zbiorów poznańskiej placówki. Z czasem zaczęły też wracać dzieła z kolekcji Izabelli z Czartoryskich Działyńskiej, w tym – przed kilkoma miesiącami – dyptyk „Ecce Homo” i „Mater Dolorosa” z warsztatu XV-wiecznego niderlandzkiego malarza Dierica Bouts. To jeden z najcenniejszych obiektów przechowywanych niegdyś w Gołuchowie. Tym samym przywracana jest pamięć o jednej z najciekawszych polskich kolekcji i osobie, która ją stworzyła.

© PIOTR KOSIEWSKI

REKLAMA

WYDAWNICTWO MWM POLECA NOWOŚCI



■ Maria Werner-Mickiewicz „LUSTRO”

Opowiadania zamieszczone w książce „Lustro” Marii Werner-Mickiewicz to osobne światy, po których autorka prowadzi nas, olśniewając gejerami

swojej fantazji. Jednak obrazy i sytuacje stworzone przez jej niezwykle wyobraźnię nie są celem samym w sobie – każde opowiadanie konfrontuje nas z innym obliczem moralnego zła. Możemy się w nich przejrzeć jak w lustrze. Książka napisana pięknym, poetyckim językiem.



■ Andrzej Frania „MOJE ROZMOWY Z BOGIEM”

W stu wierszach zamieszczonych w tomie poezji „Moje rozmowy z Bogiem” spotykamy wielką wrażliwość, przenikliwość spojrzenia na świat oraz intymną relację

z Bogiem. Słowa w tych wierszach, trafnie i dobitnie spletały się i rozplatają, wyrażając głęboką duszę Autora, tworząc obrazy, które trafiają wprost do serca czytelników. Wiersze pisane miłością i cierpieniem – po prostu życiem.



WYDAWNICTWO

www.wydawnictwomwm.com

maria.werner.mickiewicz@gmail.com

WOKÓŁ NAS MORZE OGNIA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa

WYSTAWA CZASOWA

Wystawa
w ramach
programu „Nie
bądź obojętny.
80. rocznica
powstania
w getcie
warszawskim”

WOKÓŁ NAS MORZE OGNIA

Losy żydowskich cywilów
podczas powstania
w getcie warszawskim

polin.pl

18.04.2023-08.01.2024

ORGANIZATOR: **POLIN** Muzeum Historii Żydów Polskich

WSPÓŁORGANIZATORZY: **PROWADZENIE STOWARZYSZENIA HISTORIA ŻYDÓW W POLSCE**, **Centrum Kultury Żydowskiej w Warszawie**, **Żydowski Instytut Historyczny**

PATRON HONOROWY: **Prezydent Miasta Stołecznego Warszawy**

WYSTAWA POWSTAŁA DZIĘKI WSPARCIU: **Jankilevitch Foundation**, **FRANCOIS DITON** (Fondation de la Culture Juive), **WIZ** (Wirtualny Instytut Żydowski), **Żydowski Instytut Historyczny**

Projekcja Conference on Jewish Material Claims Against Germany / Sponsorowane przez Fundację, Partner, Odpowiedzialność / Projektant

Fundacja Konektowani
dla handlowy

WSPÓŁORGANIZATORZY: **WARSZAWA** (Miasto Stołeczne), **Żydowski Instytut Historyczny**, **Żydowski Instytut Historyczny**

Partnerzy: **AMS**, **Newsweek**, **HISTORIA**, **VOGUE**, **WYBIECZAGI**, **WYBIECZAGI**, **WYBIECZAGI**, **WYBIECZAGI**, **WYBIECZAGI**



MATERIAŁY PRASOWE MNK

Bronisław Jamontt, Krajobraz – szkic do tapiserii, 1923 r.

Wakacje z klasykami

PIOTR KOSIEWSKI

Tegoroczne lato w muzeach i galeriach upłynie pod znakiem klasyki. Obejrzymy dzieła popularnych twórców oraz artystek i artystów mniej u nas znanych, a wybitnych – jak Tola Certowicz czy Tony Cragg.

Marc Chagall, Francisco Goya, Tycjan – to tylko kilka nazwisk, które mają przyciągnąć widzów do muzeów i galerii. Tyle że pokazywane dzieła nie należą, mówiąc delikatnie, do najwybitniejszych, jakie stworzyli. Nadal jednak pokutuje przekonanie, że głośne nazwisko wystarczy, by przyciągnąć tłumy. Szczęśliwie, w najbliższych mie-

siach nie zabraknie ekspozycji, które naprawdę zasługują na uwagę.

Na wystawie „Bez gorsetu” (czynnej do 10 września br.) w **stołecznym Muzeum Narodowym** można zobaczyć rzeźby Camille Claudel, jednej z legendarnych postaci w historii sztuki. Artystki, która w ostatnich dekadach stała się jednym z mitów popkultury. W Warszawie został zebrany bardzo dobry wybór jej prac,

ze słynnym, pełnym erotycznego napięcia „Walcem”. I nie mniej ważna jest obecność na tej samej wystawie dzieł polskich rzeźbiarek tworzących w XIX w., wybitnych, choć wciąż mało znanych, jak Tola Certowicz. To pierwsza w naszym kraju taka ekspozycja.

Wystawy rzeźby należą do rzadkości. Tym bardziej warto wybrać się także na „Ekspresję. Lwowską rzeźbę rokokową” →

→ zorganizowaną na **Zamku Królewskim na Wawelu** (ekspozycja czynna do 22 października br.). Co więcej, to unikalna okazja, by zobaczyć w Polsce prace Johanna Georga Pinsela, jednego z najbardziej oryginalnych twórców XVIII w. w naszej części Europy. Niezwykły jest też sam pomysł wystawy: zebrano na niej rzeźby, które dawniej zdobiły kościół w położonej pod Lwowem Hodowicy. Po dekadach ponownie znalazły się w jednym miejscu.

Znacznie odleglejszym czasem będzie poświęcona otwierająca się 18 lipca na **Zamku Królewskim w Warszawie** wystawa „Przebudzeni. Ruiny antyku i narodziny włoskiego renesansu” (potrwa do 15 października). Będzie pokazywała wpływ, jaki wywarły starożytne Rzym oraz Grecja na twórców wczesnego i dojrzalego renesansu. To, w jaki sposób zmieniły one patrzenie na sztukę, ale też na człowieka oraz jego miejsce w świecie i jak do dziś kształtują naszą wyobraźnię. A znajdą się na niej prace najwybitniejszych artystów tego czasu, m.in. Giovanniego Belliniego, Sandra Botticellego czy Andrei Mantegni.

W bliższe nam czasowo regiony zaprasza **Muzeum Narodowe w Krakowie**. 23 czerwca otworzy się wystawa Jana Matejki, który – jak żaden inny malarz – wpłynął na wyobraźnię historyczną Polak i Polaków (czynna do 7 stycznia 2024). Zaplanowana w dużej skali – ponad trzyście dzieł, także mało znanych i od lat publicznie nieekspozowanych – ma pokazać, w jaki sposób malarz patrzył na naszą przeszłość i jak kreował jej obraz. Już niedługo będzie można się przekonać, czy twórcom tej wystawy uda się wyjść poza stereotypowe postrzeganie Matejki i uczynić jego dzieła aktualnymi.

Natomiast już teraz w krakowskim muzeum można oglądać ekspozycję „Wilno, Vilnius, Vilne 1918-1948” (czynna do 3 września br.). Nieszablonową, pokazującą po raz pierwszy w Polsce wielonarodową kulturę tego miasta. Pozwala ona zobaczyć sztukę powstającą w mieście nad Wilęjką, tworzoną przez białoruskich, litewskich, polskich i ży-



Hanna Milewska, Przy stole, pod parasolem, ok. 1934 r.

MATERIAŁY PRASOWE MNK

Tego, co ważne w sztuce najnowszej, szukać dziś trzeba w małych, najczęściej samorządowych galeriach i muzeach albo w galeriach prywatnych.



Tola Certowicz, Pokora, przed 1918 r.

Muzeum Narodowe w Warszawie

dowskich artystów. Obok siebie znalazły się dzieła m.in. Jana Bułhaka, Hadassy Gurwicz-Grodzkiej, Vytautasa Kairiūkštisa, Ferdynanda Ruszczyca i Mojżesza Worbiejczyka. Jednak przede wszystkim jest to opowieść o mieście i jego burzliwych dziejach w I połowie XX w.

Niedawno otwarto też dwie ważne ekspozycje Andrzeja Wróblewskiego, jednego z klasyków naszej współczesności. W krakowskim **Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej „Manggha”** trwa wystawa „Tatry” (do 5 listopada br.), w której jego czarno-białe prace poświęcone górcom zestawiono z dziełami poprzedników: grafikami Leona Wyczółkowskiego oraz bardzo mało znanymi tatrzańskimi fotografiami Mieczysława Karłowicza, który powszechnie znany jest jako kompozytor. Z kolei w **Muzeum Narodowym w Lublinie** prace Andrzeja Wróblewskiego pokazano z dziełami artystów reprezentujących kolejne pokolenia, od grupy Wprost, przez Grupę, po Ładnie, ale też Władysława Hasiora, Mirosława Bałki, Oskara Dawickiego czy Katarzyny Kozry. Twórcy wystawy wyszli poza sztampowe skojarzenia, ukazując nieoczywiste związki, powiązania, inspiracje.

Tego lata zobaczymy efekty kolejnych nominacji ministra Piotra Glińskiego. Wystawy przygotowywane przez największe państwowe instytucje poświęcone sztuce współczesnej stają się – delikatnie mówiąc – coraz mniej interesujące. Tego, co dziś ważne, szukać trzeba w mniejszych, najczęściej samorządowych galeriach i muzeach lub też w galeriach prywatnych. Wystarczy wymienić dwie wielkie wystawy poświęcone Tony’emu Craggowi, jednemu z kluczowych artystów dla sztuki brytyjskiej ostatniego półwiecza – w **Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie** oraz **Centrum Sztuki Współczesnej Znaki Czasu w Toruniu** (pierwsza czynna do 15 października, druga do 10 września). Tym bardziej podczas podróży po Polsce warto sprawdzać, co dzieje się w Białymstoku, Lublinie, Tarnowie czy Zielonej Górze.

© PIOTR KOSIEWSKI

OSOBOWOŚĆ I SZTUKA UWODZENIA SŁUCHACZY

JAKUB SOKOŁOWSKI: Czego możemy się spodziewać na tegorocznej edycji Summer Jazz Festival Kraków?

WITOLD WNUK: Dbamy o to, żeby każdego roku ściągnąć do Krakowa przynajmniej kilka największych gwiazd światowego jazzu. W tym roku będą to m.in. Marcus Miller, Michel Camilo, Yellowjackets, Markus Stockhausen, Jan Garbarek i Trilok Gurtu. Ale program to nie tylko wielkie sale i nazwiska, również dziesiątki mniejszych koncertów, które odbywają się w krakowskich klubach jazzowych, takich jak Harris Piano Jazz Bar, Piwnica pod Baranami czy Globus Music Club. Jest też sporo wydarzeń towarzyszących, jak tradycyjna Niedziela Nowoorleańska z Paradą, solowe koncerty pianistyczne, elementy nowoczesnego jazzu, które pojawiają się m.in. w Alchemii, czy czterodniowy cykl Spiritual Music Days, w ramach którego m.in. w Operze Krakowskiej zagra Jan Garbarek i Trilok Gurtu, a Grażyna Auguścik w kościele św. Katarzyny zaprezentuje pieśni maryjne Kolberga w jazzowej interpretacji.

Formuła festiwalu jest o tyle nietypowa, że trwa on dwa miesiące i odbywa się w blisko dwudziestu różnych salach i klubach.

To łącznie ponad 130 koncertów, które gromadzą ponad 70 tys. widzów. Czyni to nasz festiwal jednym z największych na świecie. W programie znajdziemy zarówno jazz tradycyjny, nowoorleański, swingowy, ale też nowoczesny, łączony z takimi gatunkami jak fusion, funky czy world music. Można więc powiedzieć, że lato w Krakowie po prostu pachnie jazzem. Bo ja zawsze powtarzam, że to nie gwiazdy muzyki, ale sam Kraków jest głównym bohaterem festiwalu.

Co czyni Kraków tak szczególnym miejscem dla jazzu?

Kraków już w tym momencie jest jedną ze stolic europejskiego jazzu, a w przyszłości może stać się nawet jego mekką. O wyjątkowości tego miejsca świadczą nie tylko bogata historia, liczba klubów jazzowych, ale też to, co w prywatnych rozmowach mówią nam artyści. Muzycy tacy jak np. Jan Garbarek czy Pat Metheny zawsze podkreślają, że dla nich wizyta w naszym mieście jest wręcz przeżyciem metafizycznym. Kraków to też nieomal mała armia muzyków jazzowych. W tej chwili czynnych w mieście jest około 1000 zawo-



**WITOLD WNUK, DYREKTOR
SUMMER JAZZ FESTIVAL KRAKÓW**

dowych muzyków oraz studentów wykonujących jazz. To ewenement.

Jak powstaje program festiwalu?

Po pierwsze, chcemy, aby w Krakowie pojawili się wszyscy największy artyści jazzowi świata. Do tej pory na festiwalu gościliśmy ponad 100 największych ikon jazzu, w tym m.in. Herbiego Hancocka, Chicka Core'a czy Branforda Marsalisa. Zresztą, trudno wymienić choćby kilku czołowych aktywnych sław jazzowych, których nie było na naszym festiwalu. Po drugie, zależy nam na pokazaniu czołówki polskiego jazzu, gdzie prym wiodzie legendarna Piwnica pod Baranami, z którą jesteśmy związani od początku, bo przecież to sam Piotr Skrzynecki podsunął pomysł na organizację festiwalu. Po trzecie, musimy brać pod uwagę czynnik merkantylny, czyli proponować taki program, na który po prostu znajdą się odbiorcy.

Dużo się mówi o kryzysie czy nawet śmierci jazzu.

Summer Jazz Festival Kraków zdaje się przeczyć takim opiniom.

Wierzmy, że muzyka jest dla ludzi czymś większym, transcendentnym. I dopóki ludzie będą podzielać tę wiarę, to o przyszłość jazzu czy muzyki w ogóle się nie boję. Sądzę też, że aby trafić do ludzi, szczególnie młodych, trzeba nie tylko dobrze grać, ale też mieć osobowość, własne brzmienie, a przede wszystkim rozumieć, czego ludzie chcą słuchać. Świetnie czuł to np. Jarek Śmietana, który jak wchodził na scenę, to wszyscy aż drżeli. A jak zagrał, to wszyscy słyszeli, że to on. Miał tak unikatowy sound. Muzyka to akt twórczy. To sztuka, w której artyści uwodzą słuchaczy.

© Rozmawiał JAKUB SOKOŁOWSKI





Publiczność Open'er Festival. Gdynia, 2 lipca 2022 r.

Kapryśne lato

JAN BŁASZCZAK

Po latach hossy na rynku muzycznych festiwali widać oznaki kryzysu. Wciąż jednak jest w czym wybierać. Od Białegostoku po Sokołowsko. Od techno do awangardy. Oto krótki przewodnik po najlepszych imprezach lata.

Czy pamiętają państwo „Kapryśne lato” Jiříego Menzla? Majora, księdza i właściciela kąpieliska spędzających leniwe dni w podupadłym kurorcie? Ich słoneczną powolność, ich przyjemną rutynę? Myślę o nich, kiedy wspominam letnie festiwale muzyczne sprzed kilku lat. Oczywiście ich organizatorzy mieli więcej pracy niż Antonín Důra przy swojej pływalni – sen z powiek spędzały im finansowe zobowiązania, humorzaści artyści, polityczne układanki w samorządach.

Z pewnością tak było. Dziś jednak wiadać, że mimo wszystko był to złoty czas dla masowych imprez pod chmurką. Każdy powiat chciał mieć swój festiwal,

każdy organizator mógł traktować polskich artystów z pozycji siły (bo mógł sobie ściągnąć kogośkolwiek skądkolwiek), każdy dziennikarz oburzał się natomiast, gdy na listę dziecięciu najlepszych imprez Europy nie trafiały co najmniej dwie polskie. Tamte czasy minęły. Lato – nawet to kapryśne – kiedy się kończy. I nie warto wierzyć, że po pandemii wrócimy teraz do tamtych realiów. Nie wrócimy. A przy najmniej nieprędko.

Było to widoczne w ostatnich miesiącach, kiedy kolejnym informacjom o zaproszonych do Polski artystach towarzyszyły komunikaty o odwołanych koncertach. Przeglądając tegoroczną ofertę, nie mogę znaleźć wszystkich wyszuki-



wanych przeze mnie imprez. Filmowe Nowe Horyzonty czy teatralna Malta potrafiły kiedyś ściągać publiczność z całej Polski także za sprawą muzyki. Dziś rezygnują z takich wydarzeń lub tną je do absolutnego minimum. Strona OPO Festival (znanego wcześniej jako: Opole Songwriters Festival) – artystycznego spadkobiercy nieistniejącego już białostockiego Halfway Festivalu – wygasła. Ostatnia wiadomość w ich mediach społecznościowych pochodzi z grudnia ubiegłego roku. Na świątecznych życzeniach urywa się także komunikacja Kraków Live Festival. Gdański Soundrive, będący wspólną wizytówką polskiej sceny alternatywnej, już rok temu zegnał się ze swoją publicznością. A Nowa Tradycja? Co się stało z Nową Tradycją?

Dla pozostałych festiwali – to jest tych, które się odbędą – to wyjątkowy rok. Można o tym zapomnieć, ale tak naprawdę przed nami pierwszy popandemiczny sezon. Kiedy rok temu pytałem znajomych organizatorów o sprzedaż biletów, często rozkładali ręce. Wiele karne-
tów zakupionych jeszcze w 2019 r. czekało na odmrożenie. Czy ich właściciele zrealizują swoje bilety, czy zwrócą je na ostatniej prostej? Nerwowo było do końca.

Ostatecznie organizatorzy wielkich nadmorskich festiwali takich jak Mystic Festival czy Open'er Festival ogłaszali frekwencyjny sukces. Ci pierwsi cieszyli się ze sprzedaży rekordowej liczby karne-
tów „blind bird” (dostępnych przed ogłoszeniem pierwszych wykonawców), ci drudzy donosili o największej frekwen-



JACEK BODZAK / REPORTER

Koncert Kadabra Dyskety Kusaje podczas festiwalu Wschód Kultury – Inne Brzmienia. Lublin, 10 lipca 2022 r.

cji w historii. Przy czym organizatorom Open'era humor popsła potężna burza, która wymusiła na nich ewakuację publiczności i odwołanie kilku koncertów. W środowisku nikomu nie było do śmiechu – anomalia pogodowa to coraz bardziej realne zagrożenie dla branży, która i bez nich jest sektorem wysokiego ryzyka.

Czy publiczność dopisze w tym roku? Nie wiadomo, ale mamy już za sobą prognozy, które mogą napawać optymizmem. Na kilka tygodni przed rozpoczęciem imprezy wyprzedził się katowicki Festiwal Nowa Muzyka. Wydaje się, że jego organizatorzy bardzo rozsądnie po-

deszli do programu. Koncerty rozpoczęły się dopiero wieczorami, a wśród występujących można było znaleźć zarówno modnych, ważnych dla współczesnej sceny artystów (Oneohtrix Point Never, Billy Woods, Sudan Archives), jak i sprzedających bilety weteranów (Orbital, Röyksopp).

Z drugiej strony: czy sprzedażowy sukces Nowej Muzyki to na pewno powód do radości dla organizatorów innych imprez? Czy fan rapu, który pojechał do Katowic na koncert Woodsa, będzie miał dość pieniędzy, by wybrać się do Gdyni na Kendricka Lamara? Czy po wytańczeniu się przy Orbital w czerwcu fance szybszych rytmów wystarczy środków, by poruszać się przy Moderacie w lipcu? To pytania, które ważą coraz więcej w obliczu inflacji i rosnących cen festiwalowych karnetów. Napięcie pomiędzy ich dostępnością a zawartością portfela publiczności rośnie. Kiedy osiągnie wartość krytyczną, nie wie nikt.

Nawet jeśli liczba festiwali zmniejszyła się, a ich program – uszczuplił, wciąż jest w czym wybierać. W Warszawie właśnie startuje festiwal **Ephmera** (15-18 czerwca). Rozsiana po stołecznych klubach i instytucjach młodsza siostra krakowskiego Unsoundu prezentuje bardzo różnorodny program: od karkołomnej muzyki tanecznej po zawieszoną poza czasem ambientowe pejzaże. Szczególnie polecam koncerty zaplanowane na 17 czerwca w Studiu Koncertowym Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego. Najpierw wystąpią dwie wciąż

intrygujące, a przecież już uznane polskie kompozytorki: Teoniki Rozynek i Aleksandra Słyż. Twórczynie zaprezentują nowy utwór na elektronice i trio instrumentów dętych. Po nich na scenie pojawi się Phil Elverum – słusznie wielbiony w Polsce reprezentant eksperymentującego folku nagrywający pod pseudonimem Mount Eerie. „A Crow Looked at Me” – album z 2017 r. stanowiący dziennik choroby i śmierci jego żony Geneviève Castrée to jedna z najbardziej wstrząsających płyt ostatnich lat. Silnych emocji spodziewam się również następnego dnia podczas koncertu Oleha Shpudeiko – ukraińskiego kompozytora i producenta, którego specjalnością jest przekładanie muzyki dawnej na język syntezatorów modularnych. Występujący pod pseudonimem Heinali twórca w Warszawie prezentuje materiał ze swojej nowej, ambientowej płyty „Kiev Eternal”.

Ci, którzy na festiwalu chcą przede wszystkim potać, powinni tradycyjnie wybrać się do Białegostoku albo Płocka. Na Podlasiu w dniach 23-24 czerwca odbędzie się festiwal **Up To Date**. Impreza, która wpisała się już na stałe w kalendarze miłośników techno, ghetto house'u czy UK Bassu. Z Chicago przybędzie DJ Slugo, z Tunezji – Azu Tiwaline, a ze Szczecina – Dynasonic. Dokąd dokładnie? Nie wiadomo, bo organizatorzy informację o lokalizacji imprezy utrzymują w tajemnicy.

Odbijające się w ostatni weekend lipca płockie **Audioriver** mocniej wchodzi w główny nurt. Obok klasycznego →

REKLAMA

BWA
TARNÓW

6.06.-24.09.2023

Wstęp wolny

Biurow Wystaw Artystycznych
w Tarnowie
ul. Słowackiego 1

www.bwa.tarnow.pl

ZIMNE SPOJRZENIE THE COLD EYE

Ostatnie zdjęcia rodzin żydowskich
z getta w Tarnowie



nhm
naturhistorisches
museum wien

Städtisches
Museum
Tarnobrzeg

**TOPOGRAPHIE
DES
TERRORS**

→ pakietu DJ-ów i producentów szeroko pojętej muzyki klubowej festiwal śmiało eksploruje obszary elektronicznego popu. Nie tylko, zapraszając LSDXOXO – producenta, który sprawnie manipuluje pop-kulturowymi tropami i kliszami, ale także m.in. brytyjską raperkę i wokalistkę Shygirl. W Płocku zagra też Moderat, który popowy co prawda nie jest, ale taką popularnością nie cieszył się w Polsce żaden Niemiec od czasów Steffena Möllera.

Nie po raz pierwszy wartych polecenia artystów goszczą mniejsze sceny **Open'era**. Mam na myśli brytyjską producentkę Kelly Lee Owens, która krąży gdzieś pomiędzy trip-hopem i techno, niezwykle eklektyczne trio Young Fathers, post-hardcore'owców z Touché Amoré i Zulu – tegoroczną sensację, która przywraca zaangażowany hardcore czarnej Ameryce. Mam jednak wrażenie, że te – rozrzucone po całym festiwalu – koncerty nie uzasadniają wydatku, jakim jest karnet na festiwal. Do tego potrzeba headlinerów. W tym roku są nimi Lizzo, Kendrick Lamar, Arctic Monkeys, Lil Nas X, Queens Of The Stone Age i SZA – jeśli

choć dwójka z nich przyspiesza u państwa bicie serca, to pewnie warto prze-myśleć wyprawę do Gdyni.

Po odkrycia warto wybrać się do Lublina, gdzie 6 lipca zaczyna się festiwal **Wschód Kultury – Inne Brzmienia**. Poza weteranami electropopu z Ladytron

■ Liczba letnich festiwali się zmniejszyła, a ich program – uszczuplił, ale wciąż jest w czym wybierać.

nie ma tu może jakichś wielkich gwiazd, ale warto zaufać selekcji organizatorów. Zwłaszcza w zakresie artystów z Polski i Ukrainy. W Lublinie wystąpią m.in. świetny wrocławski post-punkowy Atol Atol Atol, reinterpretujące wielkopolskie tradycje trio Tuleje, a zza wschodniej gra-

nicy przyjedzie jazzowe Hyphen Dash oraz kijowski producent The Lazy Jesus, który zaprezentuje set będący przekrojem przez niezależną ukraińską scenę elektroniczną.

Poznać to i owo można też w Katowicach podczas **OFF Festivalu**, który odbędzie się w dniach 4-6 sierpnia. Studiowanie programu warto w tym roku rozpocząć od artystów spoza anglosaskiego kręgu. Białoruski Soyuz w czarujący sposób przenosi Mińsk do São Paulo, Balming Tiger gra z k-popową formułą i w rezultacie bliżej im do Brockhampton niż do BTS, a ugandyjska DJ-ka Kampire godnie reprezentuje frenetyczną scenę klubową zgromadzoną pod szyldem afrykańskiej wytwórni Nyege Nyege.

Co do gwiazd, to OFF poszedł tym razem tropem swojego sąsiada z Nowej Muzyki. Headlinerami festiwalu są artyści, którzy sprawdzili się już w Katowicach: Slowdive to najbardziej lubiany z shoegaze'owych zespołów w Polsce (nie będę polemizował), Spiritualized wciąż udanie łączy psychodeliczne tradycje z przestrzennym, space-rockowym monumentalizmem, a niezapomniany ba-

REKLAMA

Jazz
Around
Festival

21-22.07.2023
MCK/
NOSPR/Katowice

21.07

INCOGNITO · THE COMET IS COMING · STEPHEN DAY
DOROTA MIŚKIEWICZ FEAT. HENRYK MIŚKIEWICZ
MABASO & KUBA BADACH · OLE BØRUD
MAREK NAPIÓRKOWSKI OKTET STRING THEORY
KLAWO · AFTER 'OURS · MYCHELLE · US09001

22.07

JACOB BANKS · CORY WONG · BENJAMIN CLEMENTINE
BROOKLYN FUNK ESSENTIALS · THEO CROKER
MONIKA BORZYM · MONONEON · MÖRK
TERTIA MAY · CANDLELIGHT FICUS
KASIA PIETRZKO TRIO / MACIEJ KADZIĘLA
/ ANDRZEJ CHYRA „NORWID”



ORGANIZATOR

PARTNERZY

PATRONI MEDIALNI

GOOD
TASTEKATOWICE
RADIO

NOSPR MCK

wyborcza.pl

jazzforum

Jazzpress

P&P

Presto

PROMENADA

RADIO 357

ryton Archy'ego Marshalla (King Krule) wciąż przeskakuje z gracją pomiędzy post-punkiem a hip-hopem, Cohenowską balladą i no-wave'em. Ten ostatni artysta w 2012 r. dał kameralny koncert w stolicy Górnego Śląska na zamknięcie Festiwalu Nowa Muzyka, teraz wraca do Katowic jako gwiazda światowego formatu.

Artystów o takim statusie nie spotkamy na festiwalu **Spokój**, który potrwa od 27 do 29 lipca w Dąbrowie na Kaszubach. Ta niezależna impreza ma w swoim credo kameralny charakter – biegunowo odległy od wielkomiejskich masówek. W programie przede wszystkim polscy twórcy z kręgu niezależnego rocka (bardzo intrygujące hage-o), jazzu (spontaniczne, funkujące Klawo) czy bezpretensjonalnego hip-hopu (Kuba Knap). Pojawianie się podobnych festiwali: małych, ściągających raczej lokalnych artystów, zlokalizowanych w mniejszych ośrodkach i unikających medialnej wrzawy to zresztą trend widoczny w Polsce już od kilku lat.

Fani jazzu mają już pewnie zakreślone daty 6-9 lipca, kiedy w Warszawie odbędą się **Warsaw Summer Jazz Days**. W tym

roku organizatorzy proponują bardzo eklektyczny program. Jego największą gwiazdą jest zapewne słynny gitarzysta Al Di Meola, który zagra ze swoim trio, choć dla fanów młodego, brytyjskiego jazzu będzie nią raczej świetna saksofonistka i protegowana Shabaki Hutchingsa – Chelsea Carmichael, która wystąpi na festiwalu ze swoim kwintetem. Jeśli jednak ktoś z państwa uzna, że to wszystko tylko rozgrzewka przed występem skorego do awangardy kontrabasisty – Dave'a Hollanda, to przecież nie będę się kłócił.

Do Katowic przenosi się w tym roku festiwal **Jazzaround** (21-22 lipca), którego wydarzenia rozdzielono pomiędzy przestrzenie MCK i NOSPR-u. Dużo tu zabarwionego jazzem popu (Benjamin Clementine, Jacob Banks), ale tym obowiązkowym koncertem jest występ The Comet Is Coming – elektroniczno-funkowo-jazzowej bomby rozpisanej na trio, któremu przewodzi wspomniany wyżej Hutchings – saksofonista, kompozytor, jedna z najważniejszych i najbardziej wpływowych postaci współczesnej europejskiej sceny.

Co prawda żaden to festiwal, ale miłośnicy improwizacji nie powinni zapomnieć o koncercie grupy **Marc Ribot Ceramic Dog**. Słynny amerykański gitarzysta, który ma na koncie występy z McCoyem Tynerem i Tomem Waitsem, Elvisem Costello i Johnem Zornem, wystąpi 8 lipca w warszawskim klubie Pardon, To Tu. Tradycyjnie awangardowemu gitarzyście o wyjątkowym brzmieniu towarzyszyć będą perkusista Ches Smith i wspaniały multiinstrumentalista Shahzad Ismaily.

Awangarda tym razem kroczy na końcu. Nic jej to jednak nie ujmuje. Po ekstremalne wrażenie dźwiękowe warto udać się do Sokołowska (11-13 sierpnia). Podczas festiwalu **Sanatorium Dźwięku** szesnastoosobowa orkiestra The Orchestra of Futurist Noise Intoners przyjrzy się manifestowi Luigiho Russolo „Sztuka hałasów”, któremu w tym roku stuknęło 110 lat. Można się więc spodziewać krótkiego, ale dość głośnego turnusu.

Udanych podróży!

© JAN BŁASZCZAK

REKLAMA

WSCHÓD KULTURY

inne BRZMIENIA

6-9.07.2023

LUBLIN

WSCHÓD KULTURY **inn:**

LADYTRON (GBA)

TO ROCOCO ROT (DEU)

WHISPERING SONS (BEL)

STIAN WESTERHUS (NOR)

NUHA RUBY RA (GBA)

I INNI

WSTĘP WOLNY

**WIĘCEJ NA:
INNEBRZMIENIA.EU**

ORGANIZATORZY | ORGANIZERS

GŁÓWNY PARTNER | MAIN PARTNER

SPONSOR



RUACH

32. FESTIWAL KULTURY ŻYDOWSKIEJ W KRAKOWIE 28 VI – 2 VII 2023

32. FKŻ odbywa się pod Honorowym Patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy i jest współfinansowany ze środków Miasta Krakowa oraz ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego, w ramach programu Muzyka, realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca.



32.jewishfestival.pl



Media

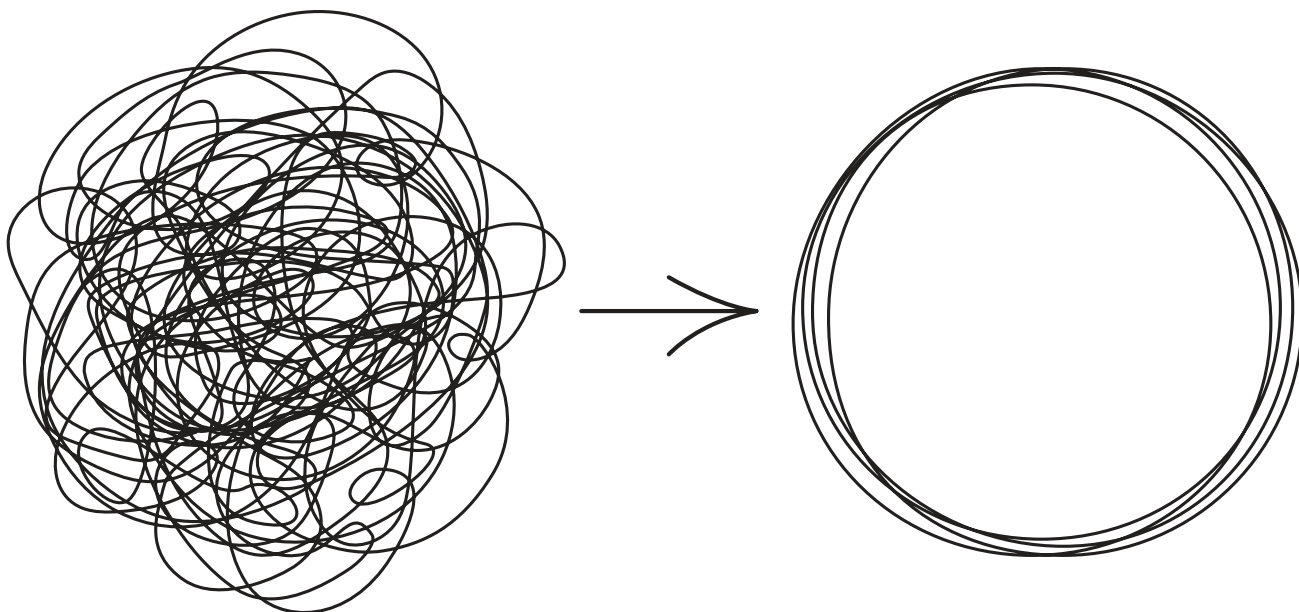


Partnerem 32. FKŻ jest Województwo Małopolskie



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

najprościej



Zamów prenumeratę, a „Tygodnik” sam trafi w twoje ręce.

**PRENUMERATĘ WYDANIA Drukowanego
można zamówić przez:**

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Dyrz w godz. 11–15
od poniedziałku do piątku
pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Chmielowski w godz. 10–14
pod nr. tel. **660 692 099** lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	100 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy
Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES||manago
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

ŻYCIE MI LEŻY

KATARZYNA NOSOWSKA, PIOSENKARKA:

Moja mama, kobieta koło siedemdziesiątki, powiedziała mi ostatnio:
„Kasia, ja tam w środku jestem nadal tą samą młodą dziewczyną”.
To było piękne, bo mam dokładnie tak samo.

EWELINA BURDA: Jaka jest teraz u Ciebie pora roku?

KATARZYNA NOSOWSKA: Dokładnie taka, jaka została zaserwowana nam wszystkim. I bardzo mi się ona podoba.

W piosence z nowej płyty śpiewasz tak: „Nie zawodzi tylko wiosna / /Punktualnie / Nie na rozkaz / Stawia się”.

Od ładnych kilku lat jestem świadoma i przytomna na tyle, żeby dostrześć to, co się dzieje wokół. Nie wiem, czy to kwestia wieku i dojrzałości, czy zmiany, która we mnie zaszła, ale nie obrażam się już na pory roku. Bardzo mi się podoba to, jak natura spokojnie, miarowo działa. Lubię to obserwować. Teraz widzę tej natury więcej, bo mieszkam w lesie. Lubię być w kontakcie z nią, ko mi. Tym bardziej że wiem, jak kiedyś żyłam.

A jak żyć?

Ta informacja płynąca z natury przeciekała mi przez palce. Nie zauważałam niuansów. Byłam skoncentrowana na sobie w takim stopniu, który uniemożliwiał mi dostrzeganie tego piękna. Więc teraz jestem niesamowicie wdzięczna za to, że dziś po prostu widzę tę przemyślaną konstrukcję. I biorę ją w całości, bo gdybym wyzuła ze swojego życia te ciemne jesienie i zimy, to ono byłoby niekompletne. Staram się mieć głęboki szacunek do wszystkich odśłon, które przynosi codzienność.

Kiedy o tym mówisz, może się wydawać, że to przychodzi Ci gładko. Prosto.

I chyba teraz już tak jest. Nie ma we mnie już buntu przeciwko temu, że czasami doświadczam jakiegoś mikropadku. Nie dyskutuję z tym procesem, jakim jest życie: ono przychodzi, a ja patrzę, co mogę z nim zrobić, w jaki sposób mogę się w nim odnaleźć. Nie mam żadnych oczekiwań, czyli potem nie jestem rozczarowana.

Wobec siebie też nie masz dziś oczekiwań?

Odpowiem przykładem: dwa i pół roku temu – to już kawał czasu – zaczęliśmy pracować nad nową płytą z Foksiem, czyli Michałem Królem, moim producentem. Zrobiliśmy pierwsze dwie piosenki, ale dalej nam nie szło. Nie podobałam się sama sobie. Wiedziałam, że jestem przegaszona i że to nie jest opowieść, którą chcę snuć. I dawniej pewnie bym się załamala, stwierdziła, że się skończyłam, już nie umiem, a ten mój muzyczny kramik nadaje się tylko do zamknięcia.

Co wtedy pomyślałaś?

Że skoro tak jest, to tak ma być. I że najlepiej, jeśli zrobię przerwę, zajmę się codziennością w tej najmniej, a jednocześnie w jej najbardziej spektakularnej odsłonie.

Co to było?

Dom i zwierzęta. Pranie i sprzątanie.

Lubisz ten codzienny grajdół?

Bardzo. Potrafię dobrze wysprzątać dom, jak tylko mi się chce. Staram się świadomie robić te codzienne czynności, nie błądzić myślami po przeszłości albo po przyszłości, których przecież nie ma. Tamtej już, a tej jeszcze. A miałam to kiedyś w zwyczaju.

Dziś już nie lubisz wspominać?

Rzadko oddaję się takim rozrywkom jak na przykład oglądanie zdjęć. Mam swoje archiwum, w nim dużo starych, analogowych fotografii. Ale przy ostatniej przeprowadzce zrobiłam w nim solidne porządki, zachowałam tylko te naprawdę ważne, nie potrzebuję piętnastu zdjęć z jednego, nawet wspaniałego ogniska. Wiele wyrzuciłam. Nie chcę się przywiązywać, otaczać rzeczami. Pozbywam się ich bez żalu, żeby kiedyś nie były kłopotem dla mojego syna czy kogoś, kto będzie zajmował się sprzątaniami po mnie domu.

Interesuje Cię wyłącznie dziś?

KATARZYNA NOSOWSKA

(ur. 1971 r. w Szczecinie) jest piosenkarką i autorką tekstów.

Przez lata wokalistka zespołu Hey, z którym wydała kilkanaście albumów, a który w tym roku świętuje 30-lecie pierwszej płyty „Fire”. Właśnie ukazała się „Degrengolada”, ósmy solowy album artystki.



→ Tak. Świadome najadanie się teraz, przeżywanie chwili.

W jednej z nowych piosenek śpiewasz: „Co u Ciebie / czy na szczycie mocno wieje / czy samotność kęsa aż do teraz / (...) czy wspinaczka opłacała się / mów szczerze jak jest”. A Twoja wspinaczka, opłaciła się?

Myślę, że tak. W tej piosence myślę o tych, którzy bardzo pragną szczytu, są w gorączce wspinaczki, liczą, że jak już tam dotrą, to poczują wreszcie spokój i szczęście.

Nie będzie tak?

Samotność, która na szczycie zawsze się w końcu pojawia, jest trudna, jeżeli człowiek nie jest w dobrej komitywie ze sobą. Bóg mi świadkiem, że ja nigdy nie pragnęłam sławy, kariery. Nie pragnęłam tego szczytu.

To czego pragnęła debiutująca Nosowska?

Na początku najbardziej tego, żeby wydać prawdziwą płytę CD. Chciałam, żeby w domu rodzice powiedzieli, że są ze mnie dumni. Zawsze marzyłam o tym, żeby ludziom było po drodze z tym, co ja robię. Wszystkie momenty, kiedy byłam w świetle naprawdę mocnych reflektorów, były dla mnie trudne, czułam się zawsze bardzo niekomfortowo. Też sobie wybrałam zawód, prawda?

A na scenie, jak się czułaś?

Są takie miniaturowe ręczniczki, które są suche i maksymalnie skompresowane, a kiedy włoży się je do wody, to rosną w oczach. Kojarzysz je? I to jestem ja na koncertach: na początku jestem suchym, małym ręczniczkiem, a jak przychodzą ludzie, ta moja woda, staję się nagle wielką płachtą.

Często mierzyłam się też z takimi myślami, że najchętniej to tylko bym nagrywała kolejne płyty w ciemnym studiu, żeby nikt nie robił wielkich afer z tego powodu, a potem natychmiast wracała do domu i znikła w swoich pieleszach.

Presja zawodowa dziś zmalęła?

Nie zmieniło się na pewno to, że każda kolejna płyta jest dla mnie niepewnością. Nie wiem, co się wydarzy: czy ludziom się spodoba? Będą chcieli jej słuchać? Przyjdą

Nosowska ma głos



■ FIRE

Pierwsza płyta, na której można usłyszeć głos i słowa Nosowskiej – studyjny debiut grupy Hey z 1993 r. Z okazji jej

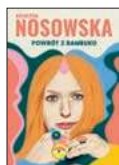
30-lecia zespół, który w 2017 r. zawiesił działalność, wystąpi jesienią w katowickim Spodku. Obok „Teksańskiego” czy „Zazdrości” najpopularniejszym jej utworem jest „Moja i twoja nadzieja”, który stał się hymnem dla poszkodowanych w powodzi tysiąclecia.



■ PUK. PUK

Równolegle z rozwojem popularności Hey Nosowska pracowała na własny artystyczny rachunek: jej pierwsza solowa pły-

ta ukazała się we wrześniu 1996 r. Na „Puk.Puk” dominowały ciemne klimaty trip-hopowe, z domieszką rockowych i punkowych. Ulubioną przez słuchaczy stała się piosenka „Jeśli wiesz co chcę powiedzieć”, która trafiła potem do filmu „Gry uliczne” Krzysztofa Krauze.



■ POWRÓT Z BAMBUKO

Po wielu latach pisania tekstów piosenek Nosowska dała się poznać jako autorka książek, debiutując w 2018 r.

„A ja żem jej powiedziała”. Dwa lata później wydała „Powrót z Bambuko” (Wielka Litera). Obśmiewa w niej kategoryczne mądrości, dzieli się swoimi przeżyciami i udziela rad. Lękacie się, co ludzie powiedzą? „Nie wahajcie się użyć własnego życia, by żyć, jak wam się podoba”.



■ DEGRENGOLADA

Ósmy solowy album artystki ukazał się w maju 2023 r., po pięciu latach od płyty „Basta”.

Nostalgiczna, melancholijna, pełna motywów z natury, które od lat wracają w piosenkach. Muzycznie chce czerpać z wielu stylów, pojawiają się goście: rapujący syn artystki Miki Krajewski, popowa wokalistka Natalia Szroeder i kontratenor Jakub Józef Orliński.

na koncerty? Tego nigdy nie biorę za pewnik.

Zmieniło się na pewno to, że może i ktoś mnie tam czasem ciśnie zawodowo, bo sam ma taką robotę, ale ja sobie boku nie wyrwę. To jest właśnie wspaniały czas w moim życiu, kiedy, bez przemocy w stosunku do drugiego człowieka, nie spełniam oczekiwań, jeżeli nie są moje.

Ta młodsza Kaśka je spełniała?

Ciągle. I to był okropny stan, teraz dopiero mogę to stwierdzić. Nie czułam się dobrze w sobie, bolał mnie brzuch z nerwów, często się bałam. Właściwie chyba bez przerwy się bałam.

Czego się bałaś?

Tego, że ktoś będzie zawiedziony albo się obrazi: fani, wytwórnia, koledzy. I żyłam tak większość tego mojego życia artystycznego. Na każdej płycie, którą wcześniej wydawałam, znajduje się przynajmniej jeden kawałek, którego nie powinno w ogóle być, który mnie drażni, którego nie lubię grać na koncertach. A „Degrengolada” jest płytą, na której nie ma takiego utworu, lubię je wszystkie i chyba także o to walczyłam w życiu.

I czujesz, że wywalczyłaś?

Ta cała moja przemiana, którą lubię też nazywać powrotem do samej siebie, powstała na gruncie ogromnej degrengolady życiowej, która się wydarzyła kilka lat temu. Miałam wrażenie, że destrukcji uległo wszystko, co moje, wszystko, co wokół mnie. Niby wiedziałam, że nie-
szczęścia chodzą parami, ale żeby aż tak?

Co wtedy zrobiłaś?

To nie przyszło od razu, ale bardzo chciałam wyrwać się z tego stanu, żyć inaczej. Na początku docierało do mnie powoli, że nie ma czegoś takiego jak „jednoznacznie złe” i „jednoznacznie dobre”, że te dwa ważne pojęcia zawsze funkcjonują w pewnej symbiozie. Chyba trzeba trochę dłużej pożyć, żeby sobie to poukładać, i dlatego mi się wreszcie udało. Chociaż wiem, że są też młodzi ludzie, którzy mają wysoko rozwiniętą taką interpretację życia. Ja niestety musiałam na to poczekać.

Jaką masz teraz interpretację?

Zdjęłam odpowiedzialność ze świata za moje życie, co okazało się przełomowe. Przez lata wydawało mi się, że coś mi się



KRZYSZTOF ZATYCKI / FORUM

Koncert w Hali Stulecia, Wrocław, 30 kwietnia 2023 r.

należy. Znajdowałam zawsze usprawiedliwienia: bo przecież moje dzieciństwo nie było idealne; bo kiedy trenowałam pływanie, trener był niewłaściwy; bo koleżanka zabrała mi chłopaka i czułam się zraniona. Odpowiedzi, dlaczego moje życie kuleje, zawsze szukałam na zewnątrz.

Coś jeszcze?

To całe moje szukanie siebie było bardzo samotnym procesem. Ważne było uświadomienie sobie, że ja przecież jestem człowiekiem: aż człowiekiem, ale też – tylko nim. Takim, który robi aż tyle i tylko tyle, ile w danym momencie potrafi. Czasami jest to po prostu bardzo mało, ale gdyby mógł lepiej, jestem przekonana, że by zrobił lepiej. Długo uczyłam się, żeby zastosować tę zasadę również wobec siebie: dziś wszystko, co mogę zrobić, to za mało. I to też jest okej.

A w miłości?

Przez lata miałam poczucie, że jeśli coś dają partnerowi, on powinien mi to oddać – żeby przynajmniej była ta równowaga. A najlepiej, żeby to ja dostawała więcej.

Ten czas życiowych kryzysów dotyczył też mojego małżeństwa. Jesteśmy z Pawłem 22 lata razem, czyli bardzo, bardzo długo. Przeżyliśmy rzeczy piękne, ale też okropne. I te jeszcze okropniejsze, jak uzależnienie i współuzależnienie. Tego już absolutnie najgorszego kryzysu, ekstremalnego, doświadczyliśmy w 2017 roku. Miałam, mieliśmy szczęście, że mój mąż też postanowił siebie jakoś wtedy poszukać. To była jego niezależna decyzja, którą podjął dla siebie. Ale sprawiło to, że spotkaliśmy się tacy inni,

Marzenie?
Chciałabym mieć kawałek
ziemi, gdzie widać, jak
z każdego ziarna coś wyrasta.
I kiedy ktoś do mnie mówi,
że cudów nie ma,
**odpowiadam: jak to nie ma,
a to? Popatrz!**

nowsi, odświeżeni. I tylko dzięki temu ta nasza historia opowiada się nadal.

Jakieś relacje się zakończyły?

Tak. Okazało, że było sporo osób, które dobrze się czuły z tym moim uleganiem, z moją nieprzystojnością dotyczącą samej siebie. Korzystały na tym. Te relacje zupełnie łagodnie się rozmyły, same z siebie. Nie jestem typem człowieka, który mówi kategorycznie: to koniec, nie pasujemy do siebie, odchodzę. To działo się naturalnie, jakbym przestała wydziełać zapach, który przyciąga pewien typ osób. I zrobiło się wtedy sporo miejsca na nowych, którzy zupełnie bez szukania po prostu przyszli do mojego życia. Ciekawie poukładała się też moja relacja z mamą.

Opowiedz o niej.

Po wielu latach znowu mieszkamy razem. To jest moja najbliższa, najdłuższa relacja, przecież ja kiedyś mieszkalam nie tylko u niej, a w niej. I po tych swo-

ich zmianach, porządkach, musiałam nauczyć się stawiać granice wobec niej. To przyszło mi późno, byłam już przecież bardzo dorosłą babą.

Dziś w jakimś sensie moja mama stała się bezsilna wobec mnie, dawniej potrafiła mną manipulować, teraz stare metody już nie działają. Widzi, że traci władzę. Nie walczę już, gdy ona próbuje robić swoje teatry w salonie, wtedy usuwam się do swojego pokoju, znajduję sobie tam coś do roboty.

Co dzieje się dalej?

Moja mama nie może mnie teraz tyle naprzytylać, żeby mi zaleczyć jakieś braki z dzieciństwa. Teraz już jest moja kolej. Teraz ja biorę siebie w ramiona.

Lubię za to obserwować, jak pomału zaczyna rozumieć, że przez bardzo długi czas coś jej się tylko wydawało na mój temat. A ja jestem wolnym człowiekiem, mam dla niej dużo miłości i szcunku, natomiast są pewne granice, które już są we mnie nieprzekraczalne. Lubię też patrzeć, jak szuka jakiegoś nowego klucza do mnie: czyta, słucha, szuka nawet na YouTube treści o ludzkich relacjach. Starsi ludzie są mocno ukształtowani i to jest niezwykle patrzeć na nią, jak się także przy mnie zmienia. Jest też dla mnie bardzo cenną nauczycielką, testuje mnie. Myślę o tym, że robi mi takie „kartkóweczki” z tej przemiany. Sprawdzam, czy mnie najlepiej.

A te długie blond włosy, które teraz nosisz i zaplatasz często w dwa dziewczęce warkoczki, skąd się wzięły?

→ Nie ma za tym jakiejś wielkiej, skomplikowanej teorii. Jestem jak każda babka, któregoś dnia coś mi strzeli do głowy i się przefarbuję, ciachnę, coś pozmieniam. Bo zobaczyłam w necie, na ulicy, jakieś gazecie. Nie zatrudniam osób od wizerunku. Pewnie, że korzystam z makijażystów i innych specjalistów, ale od lat wymyślam siebie sama.

Na Instagramie napisałaś niedawno, że „starsza niż teraz nie byłaś, ale bliższa sobie też nie”.

Mało mam w sobie elementu próżności, który by sprawiał, że lubiłabym ciągle patrzeć na siebie, z przyjemnością pozować do zdjęć. Kiedyś to miało bezpośredni związek z kompleksami, bo nigdy nie czułam się dobrze ze sobą na tyle, żeby się na przykład bawić sesją zdjęciową; na ostatniej mi się to udało. I to nie jest kwestia fizyczności, bo gdy byłam młoda i naprawdę chuda, też tego nie lubiłam. Dziś mam więcej luzu, szukam go, bo chcę przestać się boksować za to, jak wyglądam.

Udaje się?

Chyba tak. Pomyślałam ostatnio, że gdyby nie lustra, to nawet do końca nie wiedziałabym, jak wyglądam. Ktoś mógłby podejść i powiedzieć, że wyglądam wstrętnie lub niewstrętnie – ale to byłaby tylko jego opinia. Moja mama, kobieta koło siedemdziesiątki, powiedziała mi ostatnio: „Kasia, ja tam w środku jestem nadal tą samą młodą dziewczyną”. To było piękne, bo dokładnie tak samo czuję. I chyba dlatego jest mi naprawdę wszystko jedno, jak wyglądam.

Na pewno chciałabym schudnąć dla zdrowia, żeby długo czuć się sprawna, cały ten nadmiar gdzieś upłynąć, ale wierzę, że to się stanie wtedy, kiedy ma się stać. Teraz jestem gdzieś indziej niż przed lustrem: jestem przy drzewach, przy krecich kopcach. I tam jest wspólnie, mogę polecić to miejsce.

**„Krecie kopce liczę na sen”
– słyhać na płycie. Dużo ich
w Twoim ogrodzie?**

Mieszkamy prawie w lesie i mam wrażenie, że krety, przeganiane ze wszystkich pięknych ogrodów sąsiadów, ładują ostatecznie u nas.

Jaki jest Twój ogród?

Jest dziki, na pewno nie wygląda jak u Kardashianów. Nie ma w nim dużo słońca, bo rosną tam wysokie sosny i dużo drzew liściastych. Słońce operuje w koronach, ale na poziom roślin przy glebie dociera go mało. Niektórzy nasi sąsiedzi powycinali te stare, wysokie drzewa, żeby sadzić kolorowe rzeczy, ale ja nie byłabym w stanie tego zrobić. Dlatego zrobiliśmy sobie ogród hybrydowy.

Czyli jaki?

Mój Paweł wsadził mi parę sztucznych traw, jakichś kolorowych roślin w ziemię. Nawet trochę przypominają żywe i wygląda to całkiem nieźle.

Ale gdybym miała mieć jedno takie swobodne marzenie, to chciałabym mieć kawałek ziemi, gdzie widać, jak z ziarna coś wyrasta. I kiedy ktoś do mnie mówi, że cudów nie ma, to odpowiadam: jak to nie ma, a to? Popatrz!

O czymś jeszcze marzysz?

Żeby kiedyś żyć w jakimś cichym miejscu, gdzie próbujemy być samowystarczalni: sami sadzimy, sami zbieramy, sami zjadamy to, co wyhodowaliśmy. Mamy zwierzęta, ale tylko po to, by były z nami. Może tutaj odzywiają się na starość moje korzenie? Bo cała moja rodzina, babcie, pradziadkowie, oni wszyscy żyli blisko przy ziemi.

Śpiewasz w jednej z piosenek, że „pora odpocząć”. Potrafisz to robić?

Bardzo umiem w odpoczywanie.

Zawsze tak umiałaś?

Nie, kiedyś miałam po tym wyrzuty sumienia. Jak byłam nastolatką, mama często mówiła mi, że jestem leniem. Dziś wiem, że leżenie na kanapie wcale nie musi być lenistwem. Przeciwnie. Dużo tej pracy nad sobą, o której tak ciągle mówię, wykonywałam właśnie na kanapie. Ciało sobie leży, a w głowie powstają rzeczy, które potem wyśpiwuję. Ale umiem też tak po prostu być – zupełna nowość dla mnie. Chyba nie umiem jeszcze o takich rzeczach sensownie opowiadać, ale spróbujemy: gdy leżę i zamykam oczy, czuję życie w sobie. I jak to wszystko dobrze działa. Przepiękny stan.

© Rozmawiała EWELINA BURDA

Rozgość się, smutku

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

W amerykańskiej kulturze opowiadania zajmują miejsce szczególne. Nie są wprawką ani odrzutem, tylko destylacją sensów w niewielkiej fabule. Carson McCullers jest ich mistrzynią.

WYOBRAŻAM JĄ SOBIE SIEDZĄCĄ w ciemnym kinie i patrzącą na słynną scenę, w której Scarlett O'Hara, grana przez Vivien Leigh, ucieka z płonącej Atlanty. Carson McCullers ma wówczas prawie 23 lata i właśnie skończyła pisać powieść „Serce to samotny myśliwy” (1940), która przyniesie jej zasłużone miejsce w kanonie amerykańskiej literatury. Już nie mieszka w rodzinnym Columbus, drugim po Atlantycie największym mieście Georgii, ale często tam wraca. Filmowa adaptacja powieści Margaret Mitchell jest spektakularna i być może ogląda ją z fascynacją. Sądzę jednak, że patrząc na gorejącą Atlantę, bastion konfederatów, myśli: „Niech płonie!”.

Jednym z bohaterów jej ostatniej ukończonej powieści „Zegar bez wskazówek” (1961) jest sędzia Clane, który „Przeminęło z wiatrem” uważa za najprawdziwszą opowieść o amerykańskim Południu. Co prawda twierdzi, że napisałby je lepiej – „Nie pozwoliłby Bonnie umrzeć i zmieniłby trochę Rhett Butlera”. Planuje też sądową batalię o zadośćuczynienie strat, jakie gospodarka Południa poniosła wskutek zakazu niewolnictwa. O historię i teraźniejszość rasizmu spiera się z wnukiem, darzącym homoerotyczną fascynacją czarnego mężczyznę zatrudnionego przez dziadka. Po wydaniu powieści w 1961 r. autorka otrzymuje pogroźki od Ku Klux Klanu.

„Komu ukazał się wiatr?”, opublikowany właśnie przez Wydawnictwo Czarne tom opowiadań i nowel McCullers, należy do czołówki wydarzeń literackich tej wiosny. Jego zapowiedzią, czy raczej teaserem, była wydana w lutym książka Jenn Shapland pt. „Moja autobiografia Carson McCullers”. Odkrywana na nowo pisarka nie jest w Polsce autorką ani nieznana, ani zupełnie zapomniana. W latach 60. i na początku 70. ukazały się po polsku wszystkie jej ukończone powieści, a ta najbardziej uznana, „Serce to...”, była wielokrotnie wznawiana, także w ostatnich latach. Brakowało natomiast jej opowiadań.

W amerykańskiej kulturze literackiej krótkie formy, *stories*, zajmują miejsce szczególne. Nie są wprawką ani odrzutem, ale autonomiczną sztuką kondensacji wielu sensów w niewielkiej fabule. A McCullers jest mistrzynią budowania z drobnych rodzajowych scen niepokojących moralitetów. Decyzja wydawnictwa, by zbiór jej tekstów zainaugurował serię „Opowiadania amerykańskie”, jest więcej niż trafna.

Wunderkind

Bohaterką jej debiutanckiego opowiadania „Wunderkind”, opublikowanego w 1936 r. w czasopiśmie „Story”, jest młodziutka pianistka Frances. Od pewnego czasu nic jej nie wychodzi. Interpretacje Bacha, Händla, Beethovena są płaskie, ozięble i banalne. Jeszcze kilka miesięcy temu hołubiono ją, była nadzieją nauczyciela muzyki. Co się stało? Obierając kryzys twórczy z kolejnych warstw, narratorka podaje czytelnikom kolejne dowody na to, że nie stało się nic. Frances nie utraciła wyjątkowego talentu, bo nigdy go nie miała. Kilka lat wcześniej nauczyciel nazwał ją na wyrost cudownym dzieckiem, a ona uczepiła się tej myśli jak sennego marzenia. Później oboje znaleźli się w pułapce. Nauczyciel nie chciał rozczarować dziecka diagnozą przeciętności. Uczennica nie chciała zawieść wiernego kibica.

To wczesne opowiadanie zapowiada jeden z wiodących wątków twórczości McCullers, jakim jest niepewność statusu. Frances zaczynając wątpić w to, że jest wybitną pianistką, traci grunt pod nogami. Ekscentryczna kompozytorka z opowiadania pt. „Madame Zilensky i król Finlandii” kłamie jak z nut i wtedy



Carson McCullers, 1955 r.

dopiero czuje się naprawdę sobą. Ken Harris, bohater tytułowego „Komu ukazał się wiatr?”, tak usilnie gra rolę awangardowego pisarza (trzynastcie lat wcześniej napisał jedyną dobrze ocenioną przez krytyków powieść), aż wreszcie traci twarz, a może i głowę. Z kolei protagonista króciutkiego opowiadania „Sztuka i pan Mahoney”, który w prowincjonalnym teatrze jako jedyny oklaskuje pianistę przed końcem występu, idzie na wieczorne przyjęcie jak na szafot. Jest święcie przekonany, że odtąd w oczach małomiasteczkowych koneserów muzyki będzie pariasem.

Jej kariera była szybka, błyskotliwa i bez większych potknięć. Jej życie było za krótkie, wypełnione cierpieniem fizycznym i psychicznym. Ale na swój sposób było to życie pełne. Podobnie jak Frances z „Wunderkind” i Mick z „Serce to...”, urodzona w 1917 r. Lula Carson Smith chce

zostać pianistką. Często choruje i traci kontakt z rówieśnikami. Za to dużo czyta i ćwiczy na pianinie. Mając 17 lat rusza do Nowego Jorku studiować w wyższej szkole muzycznej Juilliard, ale zamiast tego zaczyna kurs pisarski na Uniwersytecie Columbia. Jej pierwsza powieść jest dojrzała i przenikliwa, zbiera doskonałe recenzje. Kolejne także są przyjmowane bardzo dobrze i nie doświadcza syndromu słabej drugiej książki. Jest młodą, obiecującą pisarką, która nie zawodzi. Wiele razy gości w Yaddo, elitarnej kolonii dla genialnych twórców. Przez pewien czas mieszka też w artystowskiej komunie The February House. Do bliskiego kręgu jej znajomych należą Paul i Jane Bowlesowie, W.H. Auden, Christopher Isherwood i Tennessee Williams. Później dołącza do nich Truman Capote. Pije i jada z Eriką Mann, Karen Blixen, Arthurem Millerem i jego żoną Marilyn Monroe.

→ Mimo to czuje się oszustką, a pod koniec lat 50. przeżywa okres twórczej niemocy. Trafia wówczas na terapię do Mary Mercer. Z jej sesji terapeutycznych, do których dotarła Jenn Shapland, dowiadujemy się, że kiedy mając 20 lat Carson bierze ślub, nie ma pewności, kim jest. Lesbijka?

Z kapralem Reevesem McCullersem tworzą lawendowe małżeństwo. Oboje chcą zostać pisarzami, ale talent ma tylko jedno z nich. Mimo to, jak podkreśla Shapland, „przez całe życie Carson liczni krytycy i recenzenci uznawali Reevesa, pisarza, który nigdy nie pisał, za »prawdziwą« Carson McCullers, za autora jej książek”. Po szybkim rozwodzie on jedzie na wojnę i odnosi rany w Normandii. Wraca z odznaczeniem w lutym 1945 r. W marcu ponownie biorą ślub. Shapland tłumaczy tę desperacką decyzję determinacją eksmeża i społecznym imperatywem, by kobiety dawały pocieszenie dzielnym weteranom. I tak cudowne dziecko musi dorosnąć.

Południe w sercu

„Ileż ktoś mnie pyta, dlaczego autorzy Południowcy ze szczególnym upodobaniem piszą o odmienicach, odpowiadam, że robimy to, bo jeszcze umiemy odmienić rozpoznąć. Trzeba mieć do tego jakieś wyobrażenie o człowieku jako jedni, a na Południu ogólna koncepcja człowieka nadal jest w przeważającej mierze teologiczna” – pisze Flannery O'Connor, druga po McCullers wytrawna opowiadaczka z Georgii, w esejju pt. „Pewne aspekty groteski w prozie Południa” ze zbioru „Misterium i maniery” (przeł. M. Kłobukowski, Karakter, 2020). Obecna w prozie ich obu groteska pozwala uczynić okrucieństwo losu bohaterów „opowiadalnym” i znośnym dla czytelników.

Dla O'Connor, żarliwej konserwatywnej katoliczki, inność stanowi jednak zakłócenie oraz przestrożę, by nie zbaczać ze ścieżki wyznaczonej przez tradycyjny moralny kompas. Dla McCullers odmieniec ściska w dłoni klucze do drzwi z napisem „Wolność”. Ale nie będzie mógł ich użyć, ponieważ leży z twarzą w ziemi, powalony przez zastępy „porządnych” Amerykanów. Mierzyła się z brakiem języka służącego do nazwania wielości i niejednoznaczności ludzkiej jaźni – także tej płciowej i seksualnej. Dlatego rozpisywała odmienności na symboliczne partie.

W jej utworach często ci, którzy są zmarginalizowani, potrafią być najbar-

Wszystkie jej utwory są o miłości pozbawionej wymiaru szczęścia.

Miłość formuje bohaterów McCullers i ich łamie.

Jest ich początkiem i końcem.

dziej wolni. „Najbardziej groteskowi ludzie mogą budzić miłość”. Krytyczna wobec południowego rasizmu oraz poruszona antysemicką polityką III Rzeszy, nieraz obsadza czarnych Amerykanów i Żydów w roli odmieńców bezskutecznie domagających się osobistej autonomii. Jej pierwszym pełnowymiarowym bohaterem jest John Singer, głuchy pomocnik jubitera o żydowsko brzmiącym nazwisku. „Serce to samotny myśliwy”, której jest centralną postacią, uchodzi za powieść o tym, jak łatwo przeoczyć człowieka, codziennie z nim rozmawiając. Singer, potrafiąc czytać z ruchu ust, mimowolnie staje się powiernikiem czterech przygodnie poznanych osób, białych i czarnych, które zachwycają się jego umiejętnością „słuchania”. Wynoszą go pod niebiosy, bo ich nie ocenia. Nigdy nie pytają o jego własny los.

Jednak pierwsza powieść McCullers jest przede wszystkim historią miłosną. Opowiada o wielkim uczuciu łączącym dwóch głuchych mężczyzn, z których jeden doznaje rozstroju psychicznego i zostaje umieszczony w szpitalu, a drugi niewyobrażalnie tęskni. Z grzeczności nie przerywa perorującym sąsiadom i uprzejmie im potakuje. Nie rozumie większości z tego, co mu mówią. Genialna scena, gdzie trzeźwo i nieco kąśliwie opisuje czworo sfrustrowanych ludzi, którzy uczynili go lekarzem od duszy, jest listem miłosnym. „Nie będę miał żadnych kobiet i mężczyzn przed tobą”, zdaje się mówić Singer swojemu ukochanemu.

Jej ukochane

To banał powiedzieć, że w zasadzie wszystkie utwory Amerykanki są o miłości pozbawionej wymiaru szczęścia. Ale w każdym banale jest trochę prawdy. Miłość formuje bohaterów McCullers i ich łamie. Jest ich początkiem i końcem. Przekonuje się o tym dwunastoletnia bohaterka „W weselnym gronie”, która

rozpaczliwie chce być kochana, ale nie wymalowała sobie żadnego obrazu kochanka. Znajduje się w takim momencie życia, że może być nim/nią każdy/a. Narzeczona brata, nauczycielka muzyki, koleżanka ze szkoły, prymus z liceum dla czarnych Amerykanów albo młody żołnierz na przepustce. To, jakim skandalem w jej świecie jest czysta miłość, przekona się, kiedy zobaczy w zaułku czułość między dwoma czarnymi chłopcami. Wątpi, że kiedykolwiek podobnej doświadczy.

We wczesnych utworach McCullers unika słowa „miłość” w odniesieniu do związków homoerotycznych, pisze za to o „męskiej przyjaźni”. W późniejszych tekstach będzie bardziej jednoznaczna, ale do końca życia woli pisać o relacjach dwóch mężczyzn niż dwóch kobiet. Bohaterki jej utworów spychają swoje pragnienia i namiętności w obszar niejednoznaczności. Młode próbują różnicy, nie nazywając jej. Starsze są psychicznie rozchwiane, szantażują otoczenie i za dużo piją. Życie bohaterów „Domowego dylematu” i „Chwili z godziny po...” przenika się z biografią pisarki i jej męża. Jego rysy znajdziemy zarówno w protagoniście „Komu ukazał się wiatr?”, jak i w bohaterce „Znękanego chłopca”. Rozpacz nie ma w tej prozie płci. McCullers była alkoholczką, podjęła też próbę samobójczą. Ale w pewnym momencie decyduje się leczyć, bo chce żyć i pisać. Kiedy jej niepiszący i niemogący znaleźć sobie miejsca w społeczeństwie mąż namawia ją na wspólne samobójstwo, ucieka od niego. Gdy on odbiera sobie życie we Francji, ona nie przyjeżdża na jego pogrzeb.

Kobiety, które McCullers kocha, określa mianem „zmyślonych przyjaciółek”. Zakochuje się m.in. w szwajcarskiej dziennikarce i podróżniczce Annemarie Schwarzenbach, tragicznie zmarłej w 1942 r. Po tej relacji zachowała się korespondencja, którą szerzej przedstawia Shapland w „Mojej autobiografii...”, podobnie jak zbiera przekonujące dowody na głęboko uczuciowy związek McCullers z terapeutką Mary Mercer. Kodem „szczególnej przyjaźni” opisywali jej relacje z kobietami biografowie pisarki. Dopiero Shapland, która swoją tożsamość czyta równoległe z pisaniem o życiu McCullers, powiedziała stanowczo „nie”. Nazywa „przyjaciółki” pisarki kochankami, bliskość – miłością, a niepewność – tożsamością *queer*.

Jednak obieranie pisarki z Georgii za patronkę otwartej nieheteronormatywnej egzystencji, co czyni Shapland, wydaje się przedwczesne. Być może McCullers „zmyślając” swoje przyjaciółki, chroniła je i siebie przed karzącym okiem społeczeństwa lepiej niż najzarliwsze wyznania miłości.

Idolka i naśladowcy

Jej organizm dewastuje długo niezdiagnozowana gorączka reumatyczna. W latach 40. przechodzi kilka udarów, niedowidzi, nie włada lewą ręką, pogarsza się jej pamięć. Żyła ledwie 50 lat, z czego ostatnie kilka w wielkim cierpieniu.

McCullers zapożyczała się u stosunkowo niewielu, to autorzy młodszy będą zapożyzczać się u niej. Niejedna praca naukowa powstała na temat relacji między jej twórczością a stylem Trumana Capote’a i Flannery O’Connor. Przez autora „Z zimną krwią” poznała Harper Lee, kolejną kronikarkę rasizmu Południa. Uważała, że inspiracje, na które pozwoliła sobie o dekadę młodsza pisarka, są nadmierne, wręcz bezczelne. Literacko zafascynowana nią była też Françoise Sagan. Poznały się w połowie lat 50. w domu Tennessee Williamsa w Key West. Po latach Sagan wspominała starszą koleżankę w autobiograficznym tomie „Avec mon meilleur souvenir” z czułością, ale i onieśmieniem. W twórczości Francuzki, która debiutując głośną powieścią „Witaj, smutku”, była jeszcze młodsza niż McCullers, kiedy ukazało się „Serce to...”, rozpacz także ma wiele tonacji i gam. Ale to u Amerykanki każdy błysk nadziei przemija, „ledwie obłókszy się w słowa”.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK



Carson McCullers **KOMU UKAZAŁ SIĘ WIATR?**

przetł. Michał Kłobukowski,
Czarne, Wotowiec 2023



Jenn Shapland **MOJA AUTOBIOGRAFIA CARSON MCCULLERS**

przetł. Anna Gralak,
Czarne, Wotowiec 2023

Sędzinie

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Wyspiański szukający sposobu, by na scenie oddać głos kobiecie, to ktoś zupełnie inny, bardziej nam współczesny niż wieszcz narodowy sprowadzający do teatru Konrada, bohatera Polaków.

NAPISANY W PIERWSZYM RZUCIE 123 lata temu dramat „Sędziowie” ma w twórczości Stanisława Wyspiańskiego status dziwaczny. Zaliczany do okresu poprzedzającego najbardziej znane, kanoniczne dramaty z „Weselem” na czele, jest zarazem ostatnim jego ukończonym dziełem. Poprawiany bardzo długo, ukazał się drukiem niewiele ponad miesiąc przed jego śmiercią w 1907 r.

Znawczyni twórczości Wyspiańskiego Maria Prussak dowodziła, że ten dramat wskazuje kierunek, w którym jego sztuka mogłaby się rozwinąć, gdyby nie tak przedwczesny kres. Można by nawet powiedzieć, że to właśnie w „Sędziach” Wyspiański wskazuje drogi, którymi dramat pójdzie w XX wieku – drogi precyzji i oszczędności słowa, a zarazem aranżacji jego brzmień, kondensacji fabuły i sensów doprowadzonych do takiej gęstości, że nie ma już miejsca na żadne podpowiedzi i przesłania.

Słuchacze raczej niż widzowie tego teatru są konfrontowani z sytuacją, w jakiej odnajdują się istoty ludzkie zderzone z porządkiem przekraczającym ich codziennność i zaczynające podejrzewać, że źródłem tej nadludzkiej mocy jest pustka. Wobec ustalonych kanonów sztuki „narodowej” zabrzmi to dziwnie, ale można całkiem racjonalnie a inspirująco przyjąć, że roztańczone „Wesele” i (anty)romantyczne „Wyzwolenie” należą do wczesnej, młodzieńczej fazy twórczości Wyspiańskiego, „Sędziowie” zaś otwierają jego – niestety już nie-dokonaną – dojrzałość.

Tragedia galicyjska

Standardowe i podstawowe informacje na temat „Sędziów” najprościej ująć się dają w ukutej kiedyś przez Kazimie-

rza Wykę formule „tragedia galicyjska”. Oznacza ona, że Wyspiański oparł dramat mający ambicję stania się nowoczesną tragedią na wydarzeniu z kroniki kryminalnej.

W nocy z 9 na 10 lipca 1899 r. w podkarpackiej wsi Jabłonica zastrzelona została dziewiętnastoletnia Jewdocha Abrahamczuk. Kula trafiła w głowę i dziewczyna straciła przytomność, ale nie umarła od razu. Konała długo, w męczarniach (umierając poroniła płód), właściwie nieratowana, a tylko kontrolowana przez ciekawskich śledczych, czekających (daremnie), aż odzyska zmysły choć na chwilę i powie, kto do niej strzelał. Sensacyjna notatka z krakowskiej „Nowej Reformy” wprost oskarżała o zabójstwo młodego Żyda, Nuta, który miał być kochankiem Jewdochy. Aresztowano go i sądzono, ale winy nie uznano ostatecznie za udowodnioną.

Wyspiański opracowywał ten kryminalny temat długo, jakby dając sobie czas na oczyszczenie go z wszystkiego, co pachniało melodramatem o uwiedzionej dziewczynie, oraz na wydobyć go z klasycznych wzorców i schematów tragedii greckiej. Prussak podkreślała, że tragiczność „Sędziów” nie polega na szkolarsko rozumianym konflikcie tragicznym dwóch wartości i na „niezawinionej winie”, ale raczej na rozpoznaniu „tragizmu sytuacji człowieka w świecie i jego odpowiedzialności za własne życie”.

W tym kontekście zazwyczaj umieszczano w centrum postać starego Samuela. Jego finałowy monolog jest uznawany za jedno z największych dokonań poetyckich i teatralnych Wyspiańskiego, a do legendy polskiego aktorstwa przeszły jego wypowiedzenia przez Wiktora Sadeckiego w inscenizacji Konrada Swinarskiego z 1968 r. →

→ i Jerzego Treli w spektaklu Jerzego Grzegorzewskiego z 1999 r. Do rzadkości należały natomiast wybitne inscenizacje.

Niezależnie od tego, jak ważną rolę w dramacie odgrywa patriarchalny Samuel, nie można nie zauważyć, że Wyspiański pisząc „Sędziów” spełnił podstawowy akt sprawiedliwości i dokonał tego, na co daremnie czekali w Jabłonicy śledczy: oddał Jewdosze głos, którego dziewczyna za życia nie zdołała już z siebie wydobyć.

Wyspiański szukający sposobu, by oddać głos i scenę kobiecie, to ktoś inny, bardziej nam współczesny niż wieszcz narodowy sprowadzający do teatru Konrada, bohatera Polaków.

Wykołysanka

Takiego właśnie Wyspiańskiego odnalazła Anna Augustynowicz w swojej inscenizacji zrealizowanej w Teatrze Fredry w Gnieźnie. Jechałem tam w przekonaniu, że to arcydzieło poetyckiej mowy oszczędnej a muzycznej jest stworzone dla reżyserki słynącej z minimalizmu widowiskowego i bogactwa brzmień i sensów. Nie zawiodłem się. Ale też i czekała mnie ekscytująca niespodzianka – oryginalna, przeprowadzona subtelnie, precyzyjnie i przekonująco reinterpretacja wydobywająca na pierwszy plan proces rozpoznania sytuacji politycznej, egzystencjalnej i metafizycznej kobiet w świecie, którego protagoniści postępują według woli Ojca.

Najważniejszą z tych kobiet jest oczywiście Jewdocha, grana przez debiutującą na zawodowej scenie Katarzynę Lis. Tak znakomity debiut w tak trudnej roli to rzadkość. Jewdocha jest skąpiona i zwarta w sobie jak słowa, które wypowiada. Nie epatuje ani rozbudowaną partyturą działań, ani wirtuozerią scenicznego krasomówstwa, ale jej organiczna obecność ma moc natychmiastowego przykuwania uwagi. Wypowiada niełatwe wiersze Wyspiańskiego z naturalnym wschodnim akcentem, ale bez żadnej stylizacji na ludowiznę. Jej bijąca mocą chłopskość polega raczej na głębokim związku z ziemią i tym wszystkim, co ona symbolizuje jako „matka”. Mając już na sumieniu dzieciobójstwo, chodzi po scenie w czarnej sukni i wyrażonej ciężkości. Zabija i znów rodzi. Sama nie pragnie jednak niczego innego jak tylko śmierci.



JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Anna Augustynowicz

Jeśli już wiemy, że teatr Ojca to teatr śmierci, jaką inną scenę moglibyśmy ustanowić w jego miejsce,
**jaki teatr przyszłości
powołać?**

W tym pragnieniu właśnie wyraża się radykalizm jej buntu. Dzięki temu, jak twórczyni prowadzi rolę Jewdochy, jej prośba o śmierć nie ma znamion aktu rozpacz i bezradności. Jewdocha chce umrzeć, by nie czuć już bólu, ale jej śmierć stanowi krańcowy wyraz skandalicznego, prowokacyjnego, bluźnierczego buntu przeciwko światu, na którym nie ma dla niej miejsca. Wydobyć aspektu antypatriarchalnego aktu odrzucenia pokory i pokuty, jego świadome wyakcentowanie w ustach współczesnej młodej kobiety, natychmiast wpisuje go w bunt i odmowę wyrażane na polskich ulicach przez córki współczesnych dziadów.

W zmienionej przez reżyserkę finałowej scenie po pozostawione skrzypce sięga Feiga (Katarzyna Kalinowska). U Augustynowicz to imię nosi niema postać w czarnej sukni, która przewija się przez cały spektakl, wykonując działania jednocześnie nawiązujące do oryginalnej postaci starej żydowskiej posługaczki, jak i tworzące poetycko obrazowy lejtmotyw spektaklu. Także lejtmotyw muzyczny, bo w szczególnych sekwencjach Feiga przechodzi w głębi sceny ciągnąc za sobą pierzynę i śpiewając cicho jakąś pieśń, któ-

rej nie można rozpoznać. I właśnie teraz, w finale – śpiewa ją pełnym głosem. Tuląc w ramionach skrzypce jak małe dziecko, śpiewa żydowską kołysankę, która – jak wszystkie prawdziwe kołysanki świata – obiecuje szczęśliwą przyszłość i zarazem jest przepojona gorzką wiedzą, że ona nigdy nie nadejdzie.

Śpiewając ją, Feiga cofa się w głębi sceny. Zatrzymuje się pod zamykającym ją ekranem i natychmiast dołączają do niej pozostali wykonawcy. Przedstawienie kończy się błyskawicznie i nieodwołanie w chwili, gdy kobiety zostają wykołysane z ojcowskiego świata.

Ojcowizna

Teraz wróćmy do Samuela, tego od słynnego finałowego monologu. Zmiany dokonane przez reżyserkę sprawiają, że jego *grande finale* traci podniosłość metafizycznej rozpacz. Ale nie traci głębi znaczeń. Grający tę postać Roland Nowak, na początku ustanowiony twarzą Jehowy, wypowiada swój końcowy monolog jak bosko-ludzkie solilokwium. Nie tyle rozmawia z milczącym Jahwe, co sprawia wrażenie, jakby sam siebie rozliczał z ubóstwionego ojcostwa, które określało dotąd jego pozycję.

Jeśli Samuel rzeczywiście staje się figurą patriarchalnego Boga, władcy świata, to w tym, że rozpoznaje jego tragiczność i uznaje swoją za nią odpowiedzialność. Uświadomienie jej sobie czyni go bezradnym i bezsilnym. Siada na stołku nagle skurczony i postarzały, a ostatnie słowa, „że chciałeś zabrać mi syna”, mówi jak akt przyznania się do winy.

Zmieniony w ten sposób finał usuwa z przedstawienia scenę wejścia Księdza, który z wiatykiem i ostatnim namaszczeniem idzie w dramacie Wyspiańskiego ku Jewdosze umierającej za sceną, w komorze, gdzie raz w życiu zaznała miłości. Najwybitniejsze współczesne interpretatorki dramatu, Ewa Miodońska-Brookes i Maria Prussak widzą w niej akt rzużenia światła chrześcijańskiej łaski w mrok świata bez przebaczenia. Skreślając tę scenę, Augustynowicz nie tylko odmawia (jak Jewdocha) przyznania księdzu prawa do oceny i rozstrzygania o winie, ale też przekreśla możliwość jakiegokolwiek ocalenia świata tragedii i fatum fundowanego na prawie Ojca.

W tym właśnie kontekście umieścić bym zauważane natychmiast po premie-



DAWID STUBE / TEATR IM. ALEKSANDRA FREDRY W GNIEŹNIE

Scena ze spektaklu „Sędziowie”, reż. Anna Augustynowicz

rze gnieźnieńskiego spektaklu scenograficzne nawiązania do Teatru Śmierci Tadeusza Kantora. W jednej z najpiękniejszych scenografii, jakie ostatnio widziałem, Marek Braun w sposób oczywisty cytuję dobrze znane z „Wielopola, Wielopola” ustawienia sceny. Ale cytując, zarazem je przekreśla i unieważnia. Najwyraźniej jest to widoczne w przypadku najbardziej oczywistego i natychmiast rozpoznawalnego cytatu, czyli drewnianej ściany zamykającej przestrzeń sceniczną. U Kantora była to rozsuwana brama, zza której wynurzali się, czy może lepiej powiedzieć – wylewali groteskowi zmarli w cielistych kostiumach znaczących na-gość. U Brauna i Augustynowicz ta ściana to ekran, na którym wyświetlane są niespektakularne, ale porywające swoim wysmakowaniem projekcje Wojciecha Kapele. Ich podstawowy motyw to wędrujący po pustej scenie aktorzy w zapożyczonych od Kantora cielistych trykotach.

Ściana nie jest już więc bramą do jakiegoś innego świata – pamięci, wyobraźni, rzeczywistości wyższej czy niższej rangi. Jest zamykającym przestrzeń ekranem, na którym pojawiają się widma, podważające swoją sobowtórzą obecnością postacie dramatu, różniące się od nich tylko

narzuconymi na trykoty kostiumami (Tomasz Armada) znaczącymi role, jakie przyszło im wykonywać. Oto prawdziwy teatr śmierci i tylko śmierci, z którego nie ma ucieczki i do którego nie ma powrotu. Patrząc na tę wspianą widmową kompozycję nie miałem wątpliwości, że nawet jeśli Augustynowicz przywołuje teatr Kantora, to po to, żeby zacytować go jako przykład jałowej męki i pustki, jakim ostatecznie staje się męski świat pod władzą Ojca.

Wysmakowane nawiązania i cały – jak to u Augustynowicz – pozornie chłodny spokój przepajający przedstawienie bardzo mocno odróżniają je od zaangażowanego, prowokacyjnego, gorącego teatru, którego najlepszym przykładem (i teraz widać, że to nie przypadek) była „Kłątwa” z Teatru Powszechnego. Gnieźnieńscy „Sędziowie” nie tylko tonacją odróżniają się mocno od tamtego przedstawienia. Stanowią jego przeciwieństwo także w tym, że demaskując śmiertelnie tragiczny świat ojcowizny nie sprowadzają go do politycznej ojczyzny.

Diagnoza odnosząca się do sytuacji kobiet, stosunku Kościoła do nich, ba – nawet aborcji jest w sumie podobna w obu spektaklach. Ale choć Augustynowicz nie unika politycznych aspektów roz-

poznawanej sytuacji, wydaje się zajmować raczej jej egzystencjalnymi i metafizycznymi konsekwencjami. Tak jak Wyspiański, nie podsuwa odpowiedzi, a raczej konfrontuje nas ze stanem sytuacji i pytaniem, co wobec niego możemy zrobić. To zasadnicze pytanie, jakie stawiają gnieźnieńscy „Sędziowie”, można by sformułować tak: jeśli już wiemy, że teatr Ojca to teatr śmierci, jaką inną scenę moglibyśmy ustanowić w jego miejsce, jaki teatr przyszłości powołać?

Nie znam odpowiedzi. Nie sądzę też, by знаła ją Anna Augustynowicz. Może znają ją lub kiedyś znajdą debiutujące na scenie aktorki? A jeśli i one nie, to może chociaż siła ich głosów da nadzieję, że nawet jeśli teatr stary wciąż „mocne ma podstawy”, to kiedyś uda się zbudować teatr nowy? W chwili i sytuacji, w jakiej jesteśmy, nadziei szukać trzeba wszędzie, również w tym, że tak niezwykle przedstawienia, jakie kiedyś tworzone na scenach dumnie narodowych, dziś powstają w małym teatrze w Gnieźnie.

Powstrzymam się przed snuciem daleko idących analogii, ale może to jakiś znak, że wracamy do „kolebki”, że znów coś się dzieje w miejscu początku?

© DARIUSZ KOŚIŃSKI

Pogranicze na dopingu

ANITA PIOTROWSKA

„Pamfir” pokazuje przedwojenny kraj w stanie przesilenia – chwilami straszego, chwilami bliskiego groteski. To frapujący i duszny zarazem świat z pogranicza realizmu i baśni.

TAKIM TYTUŁOM NIE TRZEBA DAWAĆ punktów za pochodzenie ani stosować wobec nich taryfy ulgowej w związku z toczącą się wojną. Obok „Klondike” Maryny Er Gorbach to bez wątpienia najciekawszy z wyświetlanych u nas filmów fabularnych powstałych tuż przed pełnoskalową inwazją na Ukrainę. I dowód na to, jak żywotna, suwerenna i samoświadoma może być tamtejsza kultura. Na dodatek z finałem, który czyta się niczym bezślońną deklarację ukraińskiej tożsamości.

W filmie „Pamfir” przywdziewa ona różne maski i przebrania. W końcu zbliża się czas karnawału zwanego Małanką, kiedy stary porządek ulega odwróceniu, a z nowym rokiem ma nastąpić nowe otwarcie. Wydaje się, że tylko w przyrodzie, bo dla ukazanych na ekranie mieszkańców Bukowiny raczej niewiele się zmienia. Mężczyźni nadal będą parą się kontrabandą kursującą za rumuńską granicę albo wyjadą za chlebem na Zachód. A ich synowie, chcąc nie chcąc, wejdą w te same koleiny, zmierzając ku zatraceniu; w najlepszym razie ku wyobcowaniu. Na skąpanym w błocie i mgłę karpacim pograniczu, podobnie jak w wielu

innych tego typu rejonach zmitologizowanych przez westerny, trudno bowiem utrzymać pion. Rządzi tu bardziej pięć niż prawo. Nadal panoszą się posowiecki chaos i wielopiętrowa korupcja, co uosabia miejsca „ojciec chrzestny”. Oficjalnie to szef nadleśnictwa, prywatnie sympatyczny dziadzia, ale każdy wie, że trzęsie przemytniczym interesem, że potrafi przekupić wszystkie instytucje, z policją i Kościołem włącznie; że zastraszy bądź zniszczy każdego, kto wkroczy na jego teren.

Dlatego tytułowy Pamfir (w tej roli Ołeksandr Jacentiuk) porzucił ongiś ryzykowny szmuglerski fach i woli harować w Polsce. Chciałby zagwarantować synowi dobrą edukację, czego ceną jest brak codziennego kontaktu. Pewnego dnia przyjeżdża jednak do wsi, by spędzić z najbliższymi bukowiński karnawał. A wtedy nastoletni syn, pragnąc za wszelką cenę zatrzymać ojca, podpala dom modlitwy i zadłużony Pamfir będzie zmuszony wrócić na przestępczą drogę. W ten sposób, za sprawą toposu „ostatniego zadania”, ludzki dramat zamienia się w tragedię iście antyczną. Daleko w tle dudni Donbas, coś większego już wiśi w powietrzu, lecz to właśnie on, zdeperowany mąż i ojciec, hardy i dumny, choć prawie niepiśmienny kopacz studni i dawny bokser, zamienia się w ikonę ukraińskiego kowboja. Oczywiście z hajdamackim wąsem. W walce z dużo silniejszym przeciwnikiem ma do stracenia wszystko oprócz godności – i przyszłości swego potomka.

Ta brutalna, chwilami wręcz naturalistyczna historia o ojcach i synach (Pamfir ma też srogie porachunki ze swoim tatą) nosi cechy wielu filmowych gatunków. Łatwo dopatrzeć się w niej motywów z kina gangsterskiego, biblijnej przypowieści, a nawet folkowego thrilleru, w czym kojarzy się z opisywanym niedawno na tych łamach „Prześwieceniem” Cristiana Mungiu, osadzonym po drugiej stronie zielonej granicy. Ukraiński film składa się przy tym z warstw, które wyłaniają się bez pośpiechu, po czym – dzięki ponadprzeciętnym umiejętnościom inscenizowania i opowiadania, nie mówiąc o psychologicznych niuansach – idealnie się przenikają. Choć przecież rzecz dotyczy znanych dylematów. Suchołytki-Sobczuk, niczym Martin Scorsese z czasów „Ulice nędzy”, penetruje moralne pogranicza, najważniejsze zaś (i najtrudniejsze) zdaje się pytanie: jak czynić dobro, chronić najbliższych, pozostać w zgodzie ze sobą w totalnie skorumpowanym świecie? Owo rozdarcie ujawnia się tutaj w wielu wymiarach, np. związanym z religią (trwają przygotowania do prawosławnego święta o pogańskim rodowodzie, podczas gdy Ołena, żona głównego bohatera, należy do mniejszości protestanckiej). Ale jest także „Pamfir” fascynującą opowieścią o męskości. Gdy tzw. kurierzy ruszają z nielegalnym ładunkiem na drugą stronę granicy i w ciężkich warunkach leśno-górskich muszą osiągnąć maksymalną skuteczność, wspomagają się środkami dopingującymi, które powodują erekcję, aczkolwiek skutkiem



**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”. Słuchaj nas
w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM

Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE

PAMFIR

– reż. Dmytro
Suchołytky-Sobczuk.
Prod. Ukraina/Polska/
/Francja/Luksemburg/
/Chile 2022.
Dystryb. Gutek Film.
W kinach
od 23 czerwca.

Dmytro Suchołytky-
Sobczuk to ukraiński
filmowiec urodzony
40 lat temu
w Humaniu,
a wykształcony
w Czerniowcach
(architektura)
i Kijowie (reżyseria).
Mając doświadczenie
w dokumencie
i krótkim
metrażu nakręcił
koprodukowany
z Polską debiut
pt. „Pamfir”,
który podbił m.in.
festiwal w Cannes.
Był też nominowany
do Europejskich
Nagród Filmowych
w kategorii „Odkrycie
roku”.

ubocznym może być impotencja. Miejscowi mówią o tym tyle, że staje się to naszą metaforą. W świecie zbudowanym na nieustannym siłowaniu się, zwierzęcych instynktach i hardych legendach najwyższa pora, ażeby przerwać prymitywny łańcuch zależności i przebić balon sztucznie pompowanej odwagi.

Ten film chwilami wręcz dyszy dziłością i zmysłową cielesnością, choć nie poprzestaje na egzotygowaniu karpaczkich rubieży, gdzie człowiek w imię przetrwania musi stać się wilkiem i podporządkować się przywódcy stada. Tego rodzaju obrazy zbyt często zamieniają się w pocztówki z orientalnego skansenu. I przyznać trzeba, że eksponowane w fabule demoniczne karnawałowe maski, słomiane wdżianka czy cały bukowiński folklor mają w sobie coś uwodzącego. Zresztą w 2013 r. ukraiński reżyser nakręcił na ten temat etnograficzny dokument „Krasna Małanka”. Tym razem, składając hołd rdzennym rytuałom, które oparły się kulturowej urawniłowce z czasów sowieckich, ukazuje ludzi w potrzasku swojej peryferyjności i będących zakładnikami tradycji. Czego przykładem są również kobiety. Co z tego bowiem, że Ołena, zagrana przez Sołomiję Kyryłową, stoi na straży rodziny i racja jest po jej stronie, skoro całkowicie ulega patriarchalnym regułom. Jeśli Suchołytky-Sobczuk opowiada o szeroko rozumianej Ukrainie, czuje się w tym postulat mentalnej zmiany. Leonid, nazwany kiedyś przez lokalsów Pamfirem, czyli Skałą, wciela niezłomne ukraińskie cnoty, jakże potrzebne w dzisiejszych okolicznościach, lecz to zupełnie inne pokolenie, reprezentowane przez jego syna Nazara (gra go Stanisław Potiak), ciągle jeszcze ślepo wpatrzony w ojców, będzie przeobrażać swój kraj.

Kamera Nikity Kuzmenki wykonuje pracę godną wszelkich nagród, by wciągnąć nas we frapujący i duszny zarazem świat z pogranicza surowego realizmu i baśni. Scenariusz nadaje temu wyraźną strukturę mitu i pokazuje przedwojenny kraj w stanie przesilenia – chwilami strasznego, chwilami bliskiego groteski, uwieczony w symbolicznym tunelu między przeszłością a przeszłością. Już za chwilę, 24 lutego 2022 r., zmieni się tutaj wszystko i bardzo chce się wierzyć, że nie po to, żeby wszystko pozostało takie samo. ©

Lektor: To już dziś?



■ Inga Iwasiów
PÓŹNE ŻYCIE
Wydawnictwo Drzazgi,
Okoniny 2023,
ss. 295

WCHODZIMY W TEN ŚWIAT STOPNIOWO, POPRZECZ MONOLOGAMI wewnętrzne kolejnych postaci, przede wszystkim (ale nie tylko) kobiecych. I do końca towarzyszyć nam będzie podwójność: wskrzeszana w monologach przeszłość i mimochodem jakby szkicowana, fragmentarycznie pokazywana terażniejszość.

Dziwna zresztą ta terażniejszość: niby tu i teraz, z pandemią i wojną w tle, niby zwykła nadmorska miejscowość letniskowa z wybudowanym niedawno hotelowym molochem, który góruje nad okolicą, ale nic tu normalnie nie działa, nawet ów hotel zwany H'oteliskiem, który miał rzekomo realizować coś w rodzaju ekologicznej utopii. Jakby zanikała pamięć długofalowych celów, którym nasze działania miały służyć, jakby kruszały związki przyczynowo-skutkowe albo powoli wyłączano naszemu światu dopływ życiodajnej energii, nie mówiąc już o przerwach w dostawie internetu. „Co w końcu jebnęło, czy jak się teraz nazywa w moim języku ojczystym kompletny reset na łączach rzeczywistości?” – zastanawia się Polka ze Szwecji, zaangażowana do zarządzania H'oteliskiem. Co więcej, stan postępującego rozkładu nikogo zdaje się nie dziwić. A świadomość bohaterów krąży często między jawą a snem.

Mamy więc preludium końca, początek apokalipsy? Może tak, choć ten wątek wcale nie wybija się na plan pierwszy. Może to tylko metafora stopniowego przechodzenia do innej rzeczywistości, przełomu także i biologicznego. Dogodny czas podsumowań i rozliczeń dotychczasowego życia. Bo głos – zwłaszcza kobiet – mocno w tej powieści wybrzmiewa, a jest to głos będący pochwałą niezależności, prawa do wyboru i wybijania się na niepodległość. Dodajmy jeszcze, że w rozbitych na osobne całości monologach powracają te same postaci, a uważny czytelnik może nakreślić mapę powiązań między nimi, sieć zależności – także emocjonalnych i erotycznych – która sprawia, że „Późne życie” jest rzeczywiście powieścią, a nie zbiorem opowiadań.

Inga Iwasiów jest pisarką i badaczką literatury, wypowiada się też mocno i odważnie w sprawach publicznych. W jej nowej powieści nie ma jednak zupełnie publicystycznego tonu ani tym bardziej polityki, a diagnoza współczesności – bo to jest także podsumowanie minionych trzech dekad – postawiona została zupełnie innymi środkami. Co nie znaczy, że nie jest mocna. I odważna. ©

OLGA

Drenda:

Gdy trudne jest proste



GDY BYŁAM W TRZECIEJ KLASIE PODSTAWÓWKI, a była to zwyczajna tysiąclatka, naszą szkołę odwiedził kompozytor muzyki współczesnej. Takie to były czasy – zdarzało się, że niespodziewające się niczego szczawiki znie-
nacka traktowano kulturą wysoką.

Wiele dałabym, żeby przypomnieć sobie, kto to był, bo niestety zapamiętałam prawie wszystko – oprócz nazwiska. Być może do wizyty władze szkoły zachęciła sława Wojciecha Kilara, który podbijał wówczas popową publiczność dzięki „Drakuli”, i postanowiono konsekwentnie pielęgnować wizerunek Śląska jako krainy muzyką bogatej? Niezależnie od tego, kto był gościem szkoły, trafił we właściwy czas i miejsce. Gdy opowiadał o tym, jak to jako mały brzdąc napisał pierwszy utwór zainspirowany widokiem motyla na kwiatku, rozległa się niebawem nie skoczna melodia, jakiej być może spodziewały się nasze młode uszy, ale burzliwa, atonalna miniatura. Cokolwiek to było, spodobało mi się to pierwsze zderzenie z muzyką współczesną, choć nie przypominało niczego, co leciało wówczas w MTV, a i moi (zdecydowanie rockowi) rodzice nie przyznawali się do tego rodzaju koneserstwa. Wystarczy jednak czasem szczęśliwe zrządzenie losu – fragment muzyki zasłyszany w kreskówce (pozdrawiam wszystkich, którzy poznali operę za sprawą „Królika Bugsa”), w filmie *science fiction*, ilustracja w przypadkiem przejrzanym gazecie czy niespodziewane spotkanie – by do zwykłego młodego zjadacza chleba i chipsów przemówiło dzieło uznawane za „trudne”. Trik polega

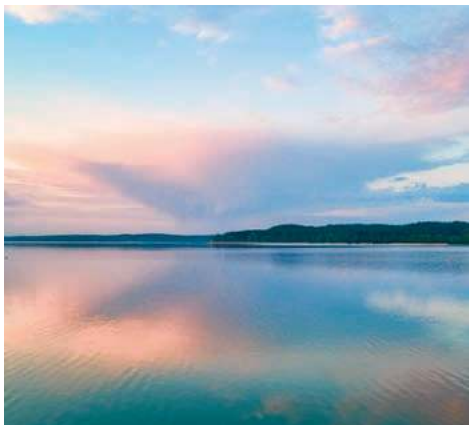
na tym, żeby nie wiedzieć o jego domniemanej trudności i potraktować je jako – no właśnie – np. dziwny, lecz ciekawy utwór o motylu. Aż się prosi, by użyć wytartej frazy „efekt motyla”, więc niech będzie.

To spotkanie przypomniało mi się, gdy dotarła do mnie smutna wiadomość o śmierci Kaiji Saariaho. To kompozytorka niezbyt w Polsce znana, choć stworzyła kiedyś „Nokturn” dedykowany pamięci Witolda Lutosławskiego. Powściągliwa, wyważona, spokojna, tajemnicza (była znana z upodobania do stosowania *misterioso* jako określenia charakteru utworu), komponowała dzieła, które w teorii mogły wydawać się nieprzystępne, jednak bezpośredni kontakt z nimi błyskawicznie ujawniał jasność i piękno trafiające od razu do właściwego ośrodka w mózgu. Spektralizm, szkoła kompozycji, z której wywodziła się Saariaho, jako podstawę kompozycji muzycznej traktuje analizę widma dźwięku i bez uprzedniej wiedzy o teorii muzyki może wydawać się nieprzystępny, ale spróbujmy na chwilę udawać, że tego nie wiemy. Zostaje nam wtedy „L'amour de loin”, operowa opowieść o średniowiecznym trubadurze Jaufrém Rudelu; „Emilie”, solowy popis sopranowy – sceniczny monolog poświęcony XVIII-wiecznej matematyce Emilie du Châtelet; oratorium dedykowane Simone Weil, którego inspiracją były, według Saariaho, „ascetyczna surowość i oddanie w poszukiwaniu prawdy” – tak powstała muzyka precyzyjna i przejrzysta, do której nie potrzebujemy koniecznie przewodnika. Przypomina chwilami kontakt z malarstwem, w którym poprzez najprostsze jakości przemawia do nas jasno symbol i mit – jak u Hilmy af Klint czy Urszuli Broll. To odmiana sztuki, w kontakcie z którą czujemy spokój: ktoś dla nas skondensował w muzykę czy obraz niepojęte fenomeny.

Pięknie jest poznawać złożoną fizyczną i matematyczną strukturę zjawisk, ale w bezpośrednim kontakcie działają poprzez proste doświadczenie: kształt, kolor, dźwięk. Większość z nas dysponuje aparatem do ich odbioru i możliwościami własnej interpretacji. Każdy moment, w którym niespodziewanie trafia do nas urywek dzieła sztuki i mamy szczęście odebrać je na własny sposób, może wciągnąć się, może poczuć ambiwalencję, może pokonać dysonans i w końcu pokochać – to skarb: samodzielnie i po swojemu odkrywamy dla siebie kawałek nowego świata. Nie bójmy się próbować.

W często przywoływanym cytacie z jednego z wywiadów Kaija Saariaho wspominała o tym, jak ważne są dla niej marzenia sennie. „Traktuję je jako wrota do bytów ukrytych – np. śmierci i miłości – rzeczy podstawowych, o których nie mamy pojęcia” (za artykułem Doroty Kosińskiej „Nieuchwytna struktura kryształu”). Takim korytarzem, który zbliża do podstawowych zjawisk, bywa też obraz i dźwięk, zwłaszcza taki, którego się nie spodziewaliśmy, taki, który z daleka wydaje się trudny, a olśniewa oczywistą klarownością i pozwala powiedzieć sobie z satysfakcją: a więc to tak.

Światło,
kolor,
kształt.



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo: Rzymska stołówka ma się dobrze



ĆWIERĆ MILIONA TURYSTÓW DZIENNIE przebywa w granicach 3,5-milionowego Rzymu. A jeszcze bardziej soczyście będzie, gdy stwierdzimy, że w zeszłą Wielkanoc przybyło ich milion z okładem. To liczby bliskie prawdy, bo wyciągnięte z zapisów

logowania telefonów komórkowych. Któż by bowiem ufał takim danym, jak rejestry hotelowe czy zestawienia sprzedaży usług w kraju, gdzie nawet premierka mówi o podatkach jako „haraczu dla państwa”, a *scontrino*, czyli paragon, to wulgaryzm.

Długo się wydawało, że oplakany stan infrastruktury i wszelkie niedomogi, które zamieniają życie w nieustanną walkę z wrogiem w postaci państwa i magistratu, wynikają z tego, że skoro nie ma wpływu podatków, to nie ma z czego zapłacić za odpowiednio wykwalifikowanych ludzi lub sprawny sprzęt. Np. za autobusy, które nie ulegają nagle samozapłonowi, takie bowiem igrzyska dostają czekający na przystanku rzymianie. Gdy nagle jednak trafiła się okazja dostać dużo uniijnej gotówki z postpandemicznego funduszu odbudowy, okazało się, że problem jest umysłowy, nie finansowy. My tego funduszu nie możemy dostać, choć umielibyśmy sprawnie wydać – oni dostali, ale nie są w stanie zebrać się do kupy, stworzyć projektów, przepchnąć decyzji i skoordynować robót.

Oczekując na kluski w pewnej gospodzie na Zatybrzu gapilem się w rozbabraną od lat przebudowę placyku, pełną porzuconych gratów i rozwalonych płotków, szczątków narzędzi, z centralnie ustawionym plastikowym kiblem, który jako jedyny wyglądał na to, że jeszcze do czegoś służy. Na budowie w Krakowie przynajmniej stałby dyskretnie w kącie. Czemu ten cały bajzel, zdradzający powszechną tu niezborność i zerowe poczucie odpowiedzialności za wspólnotę dalszą niż krąg ziomali, mnie nie gnębił? To proste: cała reszta scenerii, fasada zamkniętego na kłódkę barokowego kościołka, żółtopomarańczowe kamieniczki czy wreszcie gmach urzędowy z trawertynu, który mimo nasprejowanych mazajów koili oko elegancką stylistyką faszystowskiego racjonalizmu, cała ta więc reszta posiadała naddatek piękna, czasem zamierzonego, częściej mimowolnego. Wielki nawis harmonii, dyskretny, nieco szczerbatej, w sumie bardziej sympatycznej niż ta z Witruwiusza. Bufor estetyczny pozwalający miejscowym nonszalancko szpecić

i śmiecić. To niesprawiedliwe, ale im więcej wolno. U nas trzeba jednak uważać, gdzie postawimy kibel.

Równie niesprawiedliwe, że turystyczny biznes, który przecież na naszych oczach kosi dobre knajpki i dołuje jakość, nie naruszył jeszcze pokładów energii kulinarnej tego miasta: pomimo że każda dziura, choćby ukryta w głębi podwórka, może wyżyć z miliona turystów przypędzonych przez apki i instagramy, to parę moich dawnych pewniaków, jakie zdążyłem po ośmiu latach przerwy nawiedzić, karmi dalej równie serdecznie, nie idąc na łatwiznę. Jedno z tych miejsc, taką małą dziurę bez szyldu o nazwie Alfredo e Ada, kiedyś wam tu opisałem jako „moją rzymską stołówkę”. Nic się nie zmieniło na gorsze. A drobne zmiany na lepsze, niektóre ewidentnie pod turystów, też cieszą. Pojawiły się w karcie pozycje dla wegetarian (kiedyś jarosz mógł od biedy wyblagać makaron z samym pomidorem) – jak choćby lazania z karczochami oraz makaron *cacio e pepe*. Kiedyś go nie robili, ale uznali, że warto, skoro w przewodnikach to „najbardziej rzymskie danie”. Dla równowagi po stronie mięsnej mamy inny hit z przewodników – gulasz z krowiego ogona i flaki po rzymsku, mniej papkowate od tych florenckich. W ogóle to, że pojawiła się karta (a raczej tablica na ścianie) to *novum*, dawniej odbywała się tylko szybka recytacja, widać było z tym za dużo zamieszania. Wino niezmiennie uczciwe, tylko tyle i aż tyle, bo niestety w niektórych miejscach „domówka” wyraźnie spsiała. Kawy nie dają, za mało miejsca, by wstawić porządny ekspres, odsyłają do baru obok, pod nazwą Amore. Której to miłości nie zepsujcie, prosząc o cappuccino po południu. © P

Zanim u Alfreda i Ady pojawiło się cacio e pepe, zawsze robili świetną carbonarę, która z dużym prawdopodobieństwem ma rzymskie (choć młode, XX-wieczne) korzenie. Jest oczywiście o to spór, bo o swoje prawa upomina się też Neapol. Jeszcze większy spór,

wykorzystywany nawet na billboardach ostatniej kampanii wyborczej, dotyczy rodzaju świniny: pancetta (boczek) czy guanciale (rodzaj podgardla)? Weźmy boczek, jaki w Polsce da się kupić, niekoniecznie musi być ten włoski, suszony (a nie wędzony).

Najważniejszy nie jest rodzaj boczku, tylko kremowa konsystencja, uzyskana obowiązkowo bez śmietany. Używamy tylko żółtek; jedno na osobę (plus jedno „dla miski”) rozkręcamy z równą ilością kopiających łyżek tartego pecorino romano (lub pół na pół z parmezanem) w dużej misce, szklanej lub metalowej, żeby przejęła część ciepła z klusek, które dorzucimy prosto po wyjęciu z garnka. Bardzo szybkie mieszanie ruchem od spodu do góry uratuje nas przed powstaniem jajecznicy. Ewentualnie dodajemy chochelkę wody z gotowania makaronu, jeśli krem wyszedł ścisły. Łączymy z boczkiem przesmażonym na chrupko, a na trzecią nożkę świeżo zmielony pieprz.





Kanały i rozlewiska Międzyodrza, w oddali niemieckie miasteczko Gartz, marzec 2023 r.

MIĘDZY ODRAM I

Oto kraina spuszczone z łańcucha – bywa, że wiatr oderwie od lądu trawiastą kępę, a potem taka pływająca wyspa zaczopuje śluzę.

TEKST **ADAM ROBIŃSKI**, ZDJĘCIA **PIOTR PIZNAL**



PIERWSZE, CO WIDAĆ, TO CHMURA KOMARÓW. WYSTARczyło zejść z chodnika na niepozorną ścieżkę, by wpaść w ich rój. Na szczęście jest rano, a one nie wydają się jeszcze specjalnie żarłoczne.

– Jak się mieszka w Gryfinie, to trzeba umieć z nimi żyć – mówi Łukasz Ławicki, zachodniopomorski ornitolog, przecierając szlak. Nie, nie będziemy się niczym spryskiwać, pora się przyzwyczaić. Przedept jest wąski, trzeba iść gęsiego, więc rozmowa oznacza przekrzykiwanie brzęczenia. Trudno uwierzyć, że drepczemy wałem przeciwpowodziowym – jest ni-

ski i zjada go wszechogarniająca zielen. W koronie wierzby śpiewa wilga.

Międyodrze to kraina ptaków, więc dobrze spojrzeć na nią z ich perspektywy. Na zdjęciach z drona widać bezlik kanałów oraz całą masę bezludnej ziemi: trzcinowisk, łąk, łęgowych lasów porośniętych wierzbowymi krzakami. Można w tym zobaczyć układ krwionośny: niektóre kanały są wytyczone od linijki melioranta, inne to dawne starorzecza, więc wiercą się bez ładu i składu niczym polodowcowe pojezierze. Wszystko razem stanowi 6 tysięcy hektarów opasanych dwoma płynącymi południkowo odnogami Odry: Zachodnią, stanowiącą jej naturalne koryto, oraz Wschodnią, przekopaną w XIX wieku w ramach poprawiania żeglowności. Obie rzeki rozdzielają się w okolicach wsi Widuchowa, łącząc kilkadziesiąt kilometrów później, za szczecińskim Jeziorem Dąbie. Przy czym to wschodnią odnogą płynie dziś większość odrzańskich wód.

– Na początku XX wieku Niemcy wybudowali tu ponad 170 km wałów przeciwpowodziowych. Do tego prawie 130 najróżniejszych urządzeń hydrotechnicznych. Małe i duże śluzy, przepompownie, przepusty, przewały i jazy, które dziś wpisane są do rejestru zabytków. Cała ta infrastruktura służyła oczywiście regulacji przepływu. Wodę można było magazynować lub spuszczać, wedle aktualnych potrzeb, na przykład po to, by skosić i wywieźć siano – tłumaczy Ławicki.

Celem naszego spaceru jest jedna ze śluz, dawno już nie używana, przerdzewiała, pozbawiona kluczowych elementów. Oraz przekonanie się, jak bardzo Międzyodrze jest dziś krainą spuszczoną z łańcucha. Zdziczała i pozbawiona kontroli.

Ryba i rak

– Zobaczcie, jak wyglądało kiedyś, a jak dziś – Ławicki wyciąga z plecaka archiwalną fotografię sprzed stu lat, a potem podtyka ją pod nos. Razem z prof. Agnieszką Szlauer-Łukaszewską, hydrobiolożką z Uniwersytetu Szczecińskiego, przenosimy oczy ze zdjęcia – panorama Gryfina z lotu ptaka, za Odrą bezkresna połać skoszonych łąk, jakby to była piłkarska murawa – na pejzaż współczesny: trzcinowiska, wierzbowy gąszcz, horyzont zasłonięty koronami niewysokich łóz. Ta przemiana to kwestia ostatnich sześciu dekad. Bezpośrednio po II wojnie światowej na Międzyodrze prowadzono jeszcze w miarę regularny wypas bydła, a łąki były wykaszane.

W połowie lat 60. porzucono wszelką gospodarkę tym terenem. Otwarte przestrzenie się zakrzaczyły, tam, gdzie było mokro, wyrosły trzcinowiska. Wszystko, co dało się ukraść, zostało wywiezione, śluzy straciły swą funkcjonalność – są nieustannie otwarte. Międzyodrze stało się krainą wiecznej wody. Kanały nie są głębokie, ale nigdy nie wysychają. Jeśli stają się nieżeglowne, to dlatego, że zarosły. Zdarza się, że wiatr oderwie od ładu trawiastą kępę, a potem taka pływająca wyspa zaczopuje śluzę.

Ścieżka brnie przez trawy po kolana, czasem wymijając powalone drzewa i polskie słupki graniczne. Za Odrą Zachodnią migają czarno-czerwono-żółte. Obserwujemy żerujące sarny i polującego błotniaka stawowego. Na krzaku krząta się para gąsiorków. Trzciniaak peroruje swoim kosmicznym terkotem, który dawniej naśladowano czymś na kształt rapowej

→ zwrotki: ryba, ryba, rak rak rak. Przemiana, która dokonała się w krajobrazie, miała kluczowe znaczenie dla tutejszej fauny.

– Jeśli znikają tereny otwarte, to wraz z nimi cała masa gatunków, które są od nich uzależnione. Przede wszystkim wszelkie siewki, na przykład rycyki, krwawodzioby albo czajki. Jeszcze w połowie lat 90. w okolicach Gryfina śpiewało do dwudziestu samców wodniczki. Dziś nie ma jej wcale, za to świetnie ma się choćby rokitniczka, której w trzcinowiskach jest ponad pięć tysięcy par. Wypadły gatunki, które ustępują w całej Europie. Zyskały te o wiele bardziej powszechne. Jak słowik szary, który uwielbia takie krzaczory.

Przechodzimy przez ruiny dwóch niepozornych przepustów, by po godzinie marszu dojść do większej śluzy, szerokiej na kilka metrów. Jej wrota są uchylone niczym furtka tajemniczego ogrodu. Dawno zardzewiały mechanizm stanowi pojedyncza korba, która sugeruje, że ten cud techniki mogła obsługiwać jedna osoba. Choć mamy za sobą raptem dwa kilometry, to koniec wyprawy. Dalej, jak mówią wytrawni krajoznawcy, „nie puści”. Mokradła i chabazie. Międzyodrze to nie jest teren dla pieszego turysty. Ławicki mówi o dwóch innych możliwych trasach wycieczkowych, które – podobnie jak nasza – ciągną się dawnymi wałami. Trudno oprzeć się jednak wrażeniu, że to jak oglądanie zakurzonych zabawek na sklepowej wystawie. Dlatego jutro będziemy pływać.

Dwa parki

W połowie lat 90. na polsko-niemieckim pograniczu pojawiła się wspólna koncepcja transgranicznego obszaru chronionego. Po obu stronach Odry miały zostać powołane dwa parki narodowe stanowiące przyrodniczą ciągłość. Orędownikami idei było m.in. profesorskie małżeństwo Mieczysława i Janiny Jasnowskich, botaników związanych z ówczesną Akademią Rolniczą w Szczecinie. Choć w polskich realiach prawnych był to dobry czas dla ochrony przyrody, Park Narodowy Dolina Dolnej Odry nigdy nie powstał. Dlatego dziś nad graniczną rzeką funkcjonują dwa nierównorzędne byty. Niemiecki Nationalpark Unteres Odertal o randze narodowego oraz istniejący od 1993 r. polski park krajobrazowy. Jak przekonuje Ławicki, mimo niższej rangi prawnej obszar po naszej stronie granicy był zarządzany sprawnie. Zatrudniał kilkanaście osób, które doskonale znały teren. Wśród nich strażnicy i zespół merytoryczny z botanikiem i ornitologiem prowadzący regularny monitoring siedlisk. Kolejne reformy przyniosły jednak zarządzanie parkami krajobrazowymi w gestię samorządu. Od 2011 r. kierownictwo paru zachodniopomorskich parków scalono jedną dyrekcją z siedzibą w Szczecinie. Zredukowano zespoły ich pracowników, posadzono ich za biurkami. Międzyodrze znów straciło gospodarza.

W ubiegłym roku Ławicki wraz z grupą lokalnych naukowców, artystów i działaczy społecznych znad Odry założyli nieformalny front na rzecz przekształcenia parku krajobrazowego w narodowy. Polska ma dziś 23 parki narodowe, zajmują niecały procent powierzchni kraju. O tym, dlaczego od 20 lat nie udało się ustanowić żadnego nowego, pisaliśmy w „Tygodniku” parokrotnie. Znowelizowana ustawa o ochronie przyrody dała samorządom na każdym szczeblu prawo weta wobec postulatów utworzenia parku lub powiększenia



już istniejącego. W opinii wielu ekspertów, obecne prawo jest niezgodne z konstytucją (zapisano w niej, że zachowanie środowiska naturalnego dla przyszłych pokoleń to obowiązek władzy centralnej, a nie lokalnej). W efekcie każda nowa inicjatywa jest torpedowana, przede wszystkim przez mające duże wpływy w samorządach Lasy Państwowe – większość projektów dotyczy obszarów znajdujących się w zarządzie państwowej spółki. Kontynuatorzy myśli Jasnowskich przekonują, że z Międzyodrzem mogłoby być inaczej. Całe 6 tysięcy hektarów to tzw. nieużytki; obszar, na którym nie prowadzi się żadnej gospodarki. Trudno mówić o jakiegokolwiek ewentualnej stracie ekonomicznej w sytuacji, gdy nie ma żadnego zysku. Jak przekonują Ławicki i Szlauer-Łukaszewska – również zaangażowana w inicjatywę na rzecz parku – kłody pod nogi może rzucać jedynie lobby łowieckie. Na Międzyodrze poluje się na ptaki, dziki i jeleniowate. Świadectwem obecności myśliwych są zarosnięte trawą koleiny po oponach w miejscu, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy wjeżdżać autem.

Żeby zobaczyć, jak mógłby wyglądać park w sąsiedztwie Gryfina, trzeba pojechać na południe. Za Widuchową zza horyzontu wyrastają kominy niemieckiego Schwedt. Między miastem a rzeką rozpościera się płótno niemal łysych rozlewisk. Wałem po niemieckiej stronie granicy jedzie rowerzysta. To już park Unteres Odertal z rozbudowaną infrastrukturą turystyczną. Z mokradeł startuje bielik, w szponach trzyma rybę, jej łuski mienia się w słońcu. Przelatuje ze zdobyczą do Polski, po czym znika ponad koronami sosen. Jak przekonuje Ławicki, to sprawdzona metoda wielu ptaków – żer w Niemczech, sen w Polsce. Tak wygląda m.in. dobowy rytym tutejszych żurawi.



Żurawie w Dolinie Dolnej Odry, listopad 2022 r.

Kiedy wrócą algi

– To, co widzisz, to po prostu regularnie zalewana dolina rzeczna. Te cykle są warunkowane funkcjonowaniem śluz, którymi steruje park narodowy. Wiosną woda jest napuszczana, zalewa pastwiska, a siewki, mewy, rybitwy dostają idealne warunki do gniazdowania. Są tu ich ogromne kolonie. Potem, po łęgach wodno-błotnego ptactwa, a więc w lipcu czy sierpniu woda jest spuszczana. Czyni to dokładnie ten sam system śluz i przepompowni, dzięki któremu wcześniej powstały rozlewiska. Kiedy już zrobi się sucho, do parku wjeżdżają rolnicy i koszą łąki. Dokładnie to samo dzieje się w polskim Parku Narodowym „Ujście Warty”, gdzie wciąż działa stara poniemiecka infrastruktura hydrotechniczna. I mogłoby na polskim Międzyodrzu – mówi Ławicki.

Jednocześnie zastrzega, że nie chodzi o to, by stało się ono kopią niemieckiego parku: – Raczej o stworzenie mozaiki. Zachowanie dzikiego charakteru na części obszaru, z wprowadzeniem ochrony czynnej na reszcie. Tak, żeby zachować istniejące siedliska i jednocześnie przywrócić te, które zniknęły. Może tysiąc, może dwa tysiące hektarów? To oznaczałoby po pierwsze podniesienie atrakcyjności krajobrazowej, po drugie wzrost wartości przyrodniczej. Pojawiliby się turyści, których obecnie nie ma, bo wszystko tonie w chaszczach. Mogłyby też wrócić gatunki ptaków, które dawno zapomniały o tym miejscu.

Będąc wiosną 2023 r. nad Odrą, nie da się nie pamiętać o wydarzeniach z ubiegłorocznego lata, kiedy namnożenie się tzw. złotych alg doprowadziło do masowego ginięcia ryb i mięczaków. Katastrofa ekologiczna uwidoczniła to, o czym przyrodnicy i organizacje ekologiczne trąbiły od lat – że Polska traktuje Odrę jak ściek. Do rzeki zrzucane są odpady prze-

mysłowe, a górnictwo prowadzi do jej zasolenia. Według szacunków Niemieckiego Instytutu Rybactwa Śródlądowego, zginęło wówczas do 50 proc. wszystkich ryb występujących w rzece. Szlauer-Łukaszewska mówi również o 90 proc. małż, przede wszystkim szczeżui, które charakteryzują się delikatną muszlą.

Rekomendacje naukowe, które powstały po analizie przyczyn katastrofy, były klarowne. „Należy wstrzymać prace regulacyjne i podjąć działania na rzecz renaturyzacji Odry i jej dopływów oraz przynajmniej fragmentów jej doliny zalewowej pod kątem zwiększenia zdolności buforowej rzeki i jej potencjału adaptacyjnego do zmiany klimatu i innych zaburzeń antropogenicznych” – pisali eksperci interdyscyplinarnego zespołu doradczego ds. kryzysu klimatycznego działającego przy prezesie Polskiej Akademii Nauk.

Mimo jasnych wytycznych, władze nie tylko nie podjęły wskazanych kroków, ale wręcz jawnie się im przeciwstawiły. Jadąc w górę rzeki, trafiamy w sąsiedztwo Kostrzyńskiego Rozlewiska, kolejnego ważnego siedliska m.in. oharów, batalionów, gęsi i żurawi. Droga w kierunku rzeki jest utwardzona i szeroka. Na jej polskim brzegu trwa budowa szeregu ostróg – urządzeń hydrotechnicznych, których zadaniem jest pogłębienie rzeki i przesunięcie jej głównego nurtu. Wały są szerokie, kamieniste, wbijają się w rzekę prostopadle, klinem. Brzeg przypomina plac budowy. Ale ostrogi powstają tylko po polskiej stronie rzeki. I to mimo grudniowej decyzji Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie, który nakazał natychmiastowe przerwanie prac regulacyjnych (Wody Polskie zaskarżyły ją do Naczelnego Sądu Administracyjnego, ale wniosek został oddalony).



Resort infrastruktury wyrok zignorował, tłumacząc, że przerwanie prac regulacyjnych groziłoby katastrofą budowlaną. „Nie można wykonać tak idiotycznych, radykalnych działań. Opieramy się na prawomocnym pozwoleniu na budowę” – pisał na Twitterze wiceminister Marek Gróbarczyk. Podróżując wzdłuż Odry z przyrodnikami, nie da się nie wyczuć poczucia beznadziei, które towarzyszy ich pracy. Warto to podkreślić raz jeszcze: kosztowna (według dawno nieaktualnych wyliczeń z 2016 r. prace na rzece miały kosztować 30 mld zł), jednostronna, a więc siłą rzeczy nieskuteczna regulacja Odry prowadzona jest wbrew jednoznacznym wyrokom sądów oraz rekomendacjom naukowym. I to jeszcze na kredyt w Banku Światowym.

– W takich okolicznościach trudno nie spodziewać się latem powtórki z katastrofy – mówi Ławicki. – A to może oznaczać, że w rzece nie będzie już żadnych małży i ryb. Za nimi znikną też ptaki, bo nie będą miały co jeść. Być może przeniosą się na jezioro Dąbie? Ono w zeszłym roku nie ucierpiało, bo spowodowana wiatrem cofka zatrzymała złote algi przed Szczecinem. Pomogło też Międzyodrze, które zadziałało jak filtr. Przy innym scenariuszu z wiatrami możemy nie mieć tyle szczęścia, a w konsekwencji ucierpi nie tylko Odra i Zalew Szczeciński, ale również Zatoka Pomorska.

Doskonałą ilustracją ponurej wizji ornitologa jest pejzaż, który zastajemy w Porzeczcu niedaleko Kostrzyna, kolejnych kilkadziesiąt kilometrów na południe, gdzie dolna Odra wkracza w sfałdowaną zlodowaceniami dolinę. Pośród jej starorzeczy żerują dudki, w skarpie siedzi zimorodek, w cieniu pomnikowych dębów pasą się krowy. Jest piątek wieczór, prognozy mówią o słonecznym weekendzie, więc nad rzeką parkują pojedyncze samochody. Tu namiot, tam kamper. Tu wędkarz, tam grill. Strasznie to wszystko malownicze i sielskie. Ale tylko do czasu, gdy nie stanie się na wysokiej skarpie brzegowej i spojrzy w nurt rzeki. Woda jest mętna, niemal brązowa, o zerowej przejrzystości. Z jej nurtem brzuchem do góry płynie skrzący się w zachodzącym słońcu półmetrowy leszcz. Na starym murze po niemieckiej stronie ktoś namalował mural: #SAVEODER [Ratujmy Odrę – przyp. AR].

Szczęśliwy pajak

Ulica Pionierów to najbardziej ptasi adres w Gryfinie. W piętrowym domu mieszka nie jeden, ale dwóch zawodowych ornitologów. Sąsiadem Ławickiego jest Dominik Marchowski z Muzeum i Instytutu Zoologii PAN, który zajmuje się



Ornitolog Łukasz Ławicki, 2022 r.

Jesteśmy w regularnie
zalewanej dolinie rzecznej.

**Cykle są warunkowane
funkcjonowaniem śluz.**

Wiosną woda jest
napuszczana, zalewa
pastwiska, a siewki, mewy,
rybitwy dostają idealne
warunki do gniazdowania.

badaniem ptaków wodnych w okresie migracji i zimowania, licząc je m.in. z pokładu samolotu. Następnego dnia spotykamy się we trzech w gryfińskiej przystani, by motorową łódką wypłynąć na kanały Międzyodrza.

O zmierzchu wpływamy w jedną ze śluz. Przestrzeń dookoła robi się wyjątkowo klarowna: woda, trzcina, łabędź, słowik, Wenus i może jeszcze plusk. Tylko czasem, kiedy już dawno straciłem orientację i kierunki, z ust przewodników padają słowa pozwalające zasiedlić ten pusty z pozoru świat opowieścią. Na przykład o rodzinie wilków, która jakiś czas temu przyszła na Międzyodrze, żywiąc się tutejszymi bobrami i nielicznymi jeleniowatymi. Albo o starej drodze, którą dawniej rolnicy jeździli po siano, ale dawno zarosła i straciła wszystkie mosty. Z łódki widać tylko zgłiszczą podpór i pozostałości po brodzie, przez który pędzono krowy. Klucząc trudnymi do zmapowania w głowie kanałami docieramy do ruiny dawnej przepompowni. Betonowy kloc wyrasta spośród trzcin niczym pamiątka po jakiejś apokalipsie. Na jego widok Marchowskiego bierze na wspomnienia. Opowiada o ptasich obozach z lat 90., w których brał udział jako pracownik parku krajobrazowego.

W czasach przed wejściem Polski do Unii Europejskiej jedynymi ludźmi, jakich tu widywali, byli pogranicznicy. Żeby zadzwonić do domu, trzeba było wpiąć słuchawkę w jeden z ich słupów telefonicznych. Przez kilka tygodni zupełnej izolacji Marchowski liczył ptaki, zasypiając w blasku światła nabrzeża niemieckiego miasteczka Gartz. Pamiątką po tamtych czasach są wyblakłe już malunki na ścianach wewnątrz przepompowni: zimorodek, kulik wielki, biegusy. Z paru zatechłych materacy wylazi gąbka. Na stole stoi samotny kalosz, pod schodami niczym buddyjskie flagi modlitewne, jedna obok drugiej, wiszą pajęczyny.

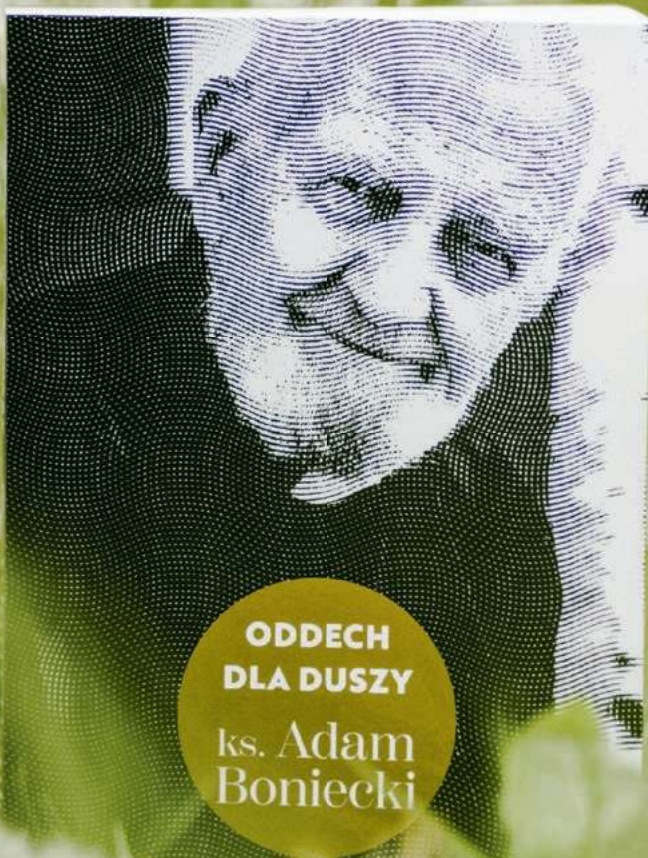
– Pokażę wam najszcześniejszego pajaka na świecie – mówi Marchowski, kiedy jeden po drugim wspina się po kilkunastu-metrowej drabinie na dach budynku. Znow ten sam widok – chmara bzyczących owadów i on, samotny, na środku wielkiej jak patelnia sieci, w którą co rusz się coś łapie. – One nas nie żądają, bo to nie komary, tylko ochotki. Hałasują i wyglądają jak komary, ale nic sobie z nas nie robią – mówi ornitolog.

Jeszcze jedna pocztówka z Międzyodrza: flauta na kanale, rymowana piosenka trzciniaka, która próbuje przebić się przez jednostajne brzęczenie ochotek, i najszcześniejszy z pajaków. Za plecami dwóch niemieckich wędkarzy w łódkach. Gartz już śpi.

© ADAM ROBIŃSKI

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Najnowsza książka księdza Adama Bonieckiego



**Już w księgarniach
i na vivelo.pl**

WYDAWCA

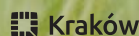


vivelo.pl

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNERZY WYDANIA

„Tygodnik Powszechny” dziękuje swoim partnerom i dobroczyńcom za pomoc przy wydaniu książki – **Miastu Kraków, Miastu Gdańsk, firmom Orange Polska i Santander Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych S.A., Stowarzyszeniu Autorów ZAiKS oraz Polskiej Radzie Biznesu.**



OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jaśle pod sygn. akt I Ns. 189/23 z wniosku Michaliny Frodymy toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Annie Wojdyle, zm. 26 listopada 2022 r. w Krośnie, ostatnio przed śmiercią zamieszkałej w Jaśle. W skład spadku wchodzi własnościowe spółdzielcze prawo do lokalu mieszkalnego położonego w Jaśle przy ulicy 3 Maja.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 160/22 toczy się postępowanie z wniosku Zakładu Ubezpieczeń Społecznych III Oddział w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Mariuszu Pawle Wachowiczu, nazwisko rodowe Wachowicz, s. Adama i Anny, zm. 17 stycznia 2020 r. w m. Beżnik, a mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w m. Kolonia Dębiny, gm. Przysucha, woj. mazowieckie.

Wzywa się spadkobierców ww. zmarłego, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Przysusze i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Łomży i Wydziałem Cywilnym toczy się postępowanie w sprawie I Ns 320/23 z wniosku Kazimierza Nikiela o stwierdzenie nabycia własności przez zasiedzenie nieruchomości w postaci działki o nr. 655, o powierzchni 3,1469 ha, położonej we wsi Łacha, gm. Turośl.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Łomży, w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie nieruchomości, jeżeli zostanie ono udowodnione.

STANISŁAW

Mancewicz:

Oczy i szczęki



DZIEŃ DZIECKA DNIEM POLAKA – WYMYŚLIŁIŚMY to powiedzonko niedawno i zaraz je polubiliśmy. Jest w nim – popatrzmy – bezdyskusyjna prawda, która się nie dezaktualizuje, jest i rzewność, jest w nim także łagodność z domieszką macierzyńskiego ciepła i świąteczność, jest to więc hasło sympatyczne, które nikogo nie obraża ani nie może oburzać. Wymyślenie takiego wymaga nie lada wysiłku. Dziś jakiegokolwiek hasło musi kogoś obrazić, inne nie mają powabu. Chcieliśmy zatem – jak widać – zacząć od dobrej myśli. Od także myśli złotej, słodkiej, ładnej, w której zawarta jest niebudząca złych emocji prawda. Hasło to winno być haftowane na szarfach ciągniętych przez samoloty, tak nam się wydaje. Jest więc – owszem – miło, ale czas teraz opuścić krainę łagodności i prześlizgnąć się po niedawnych wydarzeniach, a zacząć wypada od wypadku krwawego.

Oto przeczytaliśmy w popularnym serwisie, że w Egipcie rekin pożarł człowieka, „żywcem”, co kilkakrotnie, a rezolutnie zaznaczyła autorka notatki. Żywcem! To mogłoby sugerować, że rekiny na ogół spożywają żywność przetworzoną, że jedzą „żywcem” tylko czasem, jak Bóg da. Od święta. Na szczęście – dodajemy to od siebie – zjedzony został Rosjanin, a nie Polak, co łąco mogło się zdarzyć, bo – co wie każde dziecko – Egipt jest u nas „popularną destynacją”. Słowem, cud w Egipcie. W depeszy przykuła naszą uwagę wypowiedź przywołanego eksperta. Uwielbiamy ekspertów w polskich mediach i mamy absolutną słabość do polskich ekspertów z każdej branży. Od wędkarstwa poprzez grzybobranie, konsumpcję sromotników bądź nadmiaru kiełbas z różną. Lubimy wszelkie eksperckie porady dotyczące medy-

cyny, depilacji, zgagi, zapuszczania brody, mycia przypalonych garnków, seksu, prasowania i w ogóle każdej czynności wymagającej aktywności centralnego układu nerwowego. Bez tych porad mądrych ludzi, dzielących się z nami swą przenikliwością i wiedzą, zostalibyśmy dawno przysypani przypalonymi patelniami, bylibyśmy pokryci szkodliwą grzybnia i złośliwymi bakteriami, nie wiedzielibyśmy, co to jest seks i, rzecz jasna, zostalibyśmy dawno zjedzeni przez rekiny. Żywcem! Na ulicy.

Głos polskiego eksperta od obyczajów i skłonności rekinów baraszkujących na płytnach Morza Czerwonego (nazwa kwalifikuje się do natychmiastowej zmiany) jest szczególnie ważny, ma bowiem potencjał ocalenia wielu polskich istnień. Mędrzec ten powiada, że kąpiąc się w wodach nawiedzanych przez ludojady należy mieć „oczy dookoła głowy”. Bravo! Każdy przyzna, że człowiek ten powinien dostać podwyżkę. Ktoś teraz złośliwie powie, że niepotrzebnie bądź poniewczasie pobudza nas zidoczenie mediów, że moglibyśmy zamiast narzekać i formułować żarty podszyte żalem, pójść na grzyby. Możliwe, ale jednak wciąż nas porusza dynamika upadku i to dlatego się egzaltujemy.

Związek frazeologiczny o oczach umieszczonych dookoła głowy jest, rzecz jasna, używany bardzo często, przy różnych okazach, a o kimś, kto go używa, nie można powiedzieć, że jest oryginalny. Gdyśmy jednak przemogli teraz pokusę, by dalej tu snuć tę znakomitą myśl lingwistyczną, przypomnieliśmy sobie prezydenta A. Dudę i jego ostatnie decyzje dotyczące tzw. komisji weryfikującej wpływy rosyjskie. O tak. Pierwsza z decyzji, czyli podpisanie ustawy powołującej komisję, świadczyła oczywiście o tym, że prezydent jest czujny i ma oczy dookoła głowy, zupełnie jakby wszedł do Morza Czerwonego, ale druga podpisana kilka dni później, psująca poprzednią, także dowodzi, że ma oczy dookoła głowy. To znaczy, że czegośkolwiek prezydent A. Duda nie robi, ma oczy dookoła głowy, ale co rusz widzą one co innego. Za pierwszym razem widziały naburmuszoną buzię Gospodarza i wspierające go stado lokalnych rekinów, za drugim zobaczyły surową twarz prezydenta USA i nieco płetw rekinów finansjery. I najwyraźniej ta druga sceneria przestraszyła go bardziej. Z ręką na sercu przyznajemy się, że mamy podobnie, że „Szczęki” *made in Poland* nas nie przekonują. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



animator

16.
edycja

Kwalifikujący do Oscara®
Międzynarodowy Festiwal
Filmów Animowanych



PO
SZU
KI
WA
NIE

SIE
BIE

21–25.06.
2023 POZNAŃ

26–30.06.
2023 online

animator-festival.com

Organizatorzy:

ESTRADA
POZNAŃ
NISKĄ

KINO
MUZA

Partner Kina Muza:

EUROPA
CINEMAS

Współfinansowanie:



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury.



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ

Patronat honorowy:

POZnań*
Patronat Honorowy
Prezydenta Miasta Poznania

Ambasada
Japonii



Embassy of Iceland
Warsaw



Ambasáid na hÉireann | An Pholainn
Embassy of Ireland | Poland
Ambasada Irlandii | Polska

